



# MANITOU

GRAHAM MASTERTON



GRAHAM MASTERTON  
MANITOU

Z angielskiego przełożył  
WIESŁAW MARCYSIAK



Wydanie elektroniczne

## **Spis treści**

Strona tytułowa  
O autorze  
Strona redakcyjna  
O książce  
Motto

PROLOG  
ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10

NOTA O AUTORZE

## GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem Manitou (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane Magia seksu i Potęga seksu. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy siedem powieści: Białe kości, Upadłe anioły, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych, Siostry krwi, Pogrzebani i Martwi za życia.

Tytuł oryginału:

THE MANITOU

Copyright © Graham Masterton 1975, 1976

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Wiesław Marcysiak 2012

Redakcja: Joanna Morawska

Projekt graficzny okładki: Kat JK Lee

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-082-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

## Najsłynniejszy cykl horrorów Grahama Mastertona

Jasnowidz Harry Erskine i szaman Śpiewająca Skała podejmują walkę z najokrutniejszym i najzłośliwszym z indiańskich demonów, Misquamacusem, który pojawia się we współczesnym świecie w przeróżnych wcieleniach.

Do cyklu należą powieści: Manitou, Zemsta Manitou, Duch zagłady, Krew Manitou oraz Armagedon.

### **MANITOU**

Opowieść porównywana do takich klasyków grozy jak Egzorcysta czy Dziecko Rosemary.

Nowy Jork, czasy współczesne. Do świata żywych powraca po trzystu latach duch największego indiańskiego szamana, Misquamacusa, by dokonać zemsty za dusze swoich braci. Odrodzony w ciele młodej dziewczyny; Karen Tandy; próbuje sprowadzić z przeciwnej strony bytu inne demony. Zbliża się pojedynek, w którym ludzkość może ponieść porażkę. Tylko okultysta Harry Erskine z pomocą indiańskiego szamana, Śpiewającej Skały, podejmują walkę ze starożytną magią i siłami nadprzyrodzonymi.

„Zapytany jakież jest Demona owego wygląd, prastary Czarnoksiężnik Misquamacus zakrył twarz tak, że jeno Oczy jego widać było, po czym dał niezwykłą a Szczegółową Relacje. Prawił, iż jest on czasem mały a masywny, jako Wielka Ropucha, czasem zaś wielki i niby chmura; bez Kształtu lecz z obliczem, z którego wyrastają Węże.”

**H.P. Lovecraft**

## PROLOG

Zadzwieczył telefon. Nie podnosząc głowy doktor Hughes wysunął rękę w poszukiwaniu aparatu. Jego dłoń przesunęła się przez stosy papierów, butelki atramentu, gazety sprzed tygodnia i zgniecione pudełka po kanapkach; wreszcie znalazła i podniosła słuchawkę.

Doktor Hughes przyłożył ją do ucha. Wyostrzona irytacją twarz upodabniała go do wiewiórki, starającej się ukryć swoje orzechy.

- Hughes? Tu McEvoy.

- Słucham? Przykro mi, doktorze McEvoy, ale jestem bardzo zajęty.

- Nie chciałbym panu przeszkadzać, doktorze Hughes, ale mam tu pewną pacjentkę... Powinna pana zainteresować. Hughes pociągnął nosem.

- Co to za pacjentka? - zapytał zdejmując okulary. - Proszę posłuchać, doktorze, to bardzo uprzejme z pana strony, że mnie pan zawiadomił, ale mam tu górę papierkowej roboty i naprawdę nie mogę...

McEvoy nie dawał się zbyć.

- Naprawdę uważam, że to pana zacieka. Interesują pana guzy, prawda? No, więc mam tu guz nad guzy.

- Co w nim takiego niezwykłego?

- Jest zlokalizowany na karku. Pacjentka rasy kaukaskiej, dwadzieścia trzy lata. Żadnych danych na temat poprzednich narośli nowotworowych, ani łagodnych, ani złośliwych.

- Ten guz się porusza - oznajmił McEvoy. - Rusza się, jakby pod skórą było coś żywego.

Hughes rysował długopisem kwiaty. Przez chwilę milczał marszcząc czoło, po czym zapytał:

- Rentgen?

- Wyniki za dwadzieścia minut.



- Pulsacja?
- Na dotyk przypomina każdy inny guz. Tyle, że się wije.
- Próbował pan nacięcia? Może to zwykła infekcja.
- Wolę zaczekać na zdjęcia.

Hughes w zamyśleniu ssał koniec długopisu. Przebiegał w myślach karty wszystkich medycznych książek, jakie w życiu czytał, szukając podobnego przypadku, precedensu, czegokolwiek co by przypominało poruszającego się guza. Jakoś nie potrafił niczego znaleźć. Może był zmęczony.

- Doktorze Hughes?
- Tak, jestem tutaj. Proszę posłuchać, która teraz godzina?
- Dziesięć po trzeciej.
- W porządku, doktorze. Zaraz schodzę na dół.

Odłożył słuchawkę i dłuższą chwilę przecierał oczy. Był dzień Świętego Walentego i na zewnątrz, na ulicach Nowego Jorku, temperatura spadła do minus 10°C, a ziemię pokrywała piętnastocentymetrowa warstwa śniegu. Pod pochmurnym, stalowoszarym niebem samochody pełzły przed siebie niemal bezszelestnie. Widziane z osiemnastego piętra Szpitala Sióstr Jeruzalem miasto jaśniało tajemniczym blaskiem. Jakbym znalazł się na księżycu, pomyślał Hughes. Albo na końcu świata. Albo w epoce lodowcowej.

Były jakieś problemy z ogrzewaniem, więc siedząc w świetle stołowej lampy nie zdejmował płaszcza - wyczerpany młody człowiek w wieku trzydziestu trzech lat, z nosem ostrym i spiczastym jak skalpel i zwichrzoną, ciemnobrązową czupryną. Wyglądał raczej na młodocianego mechanika samochodowego niż na eksperta od nowotworów złośliwych.

Drzwi gabinetu otworzyły się przed pulchną, białowłosą dziewczyną w założonych nad czołem okularach w czerwonej oprawce. Niosła plik dokumentów i filiżankę kawy.

- Jeszcze trochę papierów, doktorze Hughes. Pomyślałam, że przyda się panu też coś na rozgrzewkę.
- Dziękuję ci, Mary - otworzył teczkę, którą przyniosła i mocniej pociągnął nosem.

- Jezu, co to za paskudztwo? Mam tu być konsultantem, a nie urzędasem. Wiesz co? Zabierz to i daj doktorowi Ridgewayowi. On lubi papiery. Lubi je bardziej niż ciało i krew.

Mary wzruszyła ramionami.

- Doktor Ridgeway kazał przekazać to panu.

Hughes wstał. W płaszczu przypominał Charlie Chaplina z "Gorączki złota". Machnął teczką przewracając swą jedyną kartkę na Św. Walentego, którą - wiedział - przysłała mu matka.

- No dobrze, przejrzę to później. Zjeżdżam na dół do doktora McEvoy. Ma tam jakąś pacjentkę i chce, żebym ją obejrzał.

- Czy długo to potrwa, doktorze? - spytała Mary. - O szesnastej trzydzieści ma pan zebranie.

Spojrzał na nią ze znużeniem, jak gdyby zastanawiał się, kim jest.

- Długo? Nie, nie przypuszczam. Tylko tyle, ile będzie trzeba.

Wyszedł z gabinetu na rozjaśniony świetlówkami korytarz. Szpital Sióstr Jeruzalem był drogą, prywatną kliniką i nigdy nie pachniało tu niczym tak funkcjonalnym jak karbol czy chloroform. Korytarze wyłożono grubym, czerwonym pluszem, a na każdym rogu stały świeże kwiaty. Wyglądało to raczej na hotel, jeden z tych, do których wyżsi urzędnicy w średnim wieku zabierają swoje sekretarki na weekendy męczącego tarzania się w grzechu.

Hughes wezwał windę i zjechał na piętnaste piętro. Patrząc na swe odbicie w lustrze doszedł do wniosku, że bardziej wygląda na chorego niż niektórzy z jego pacjentów. Może wybrałby się na wakacje? Matka zawsze lubiła Florydę. Mogliby też odwiedzić jego siostrę w San Diego. Minął dwie pary wahadłowych drzwi i wszedł do gabinetu McEvoya. Doktor McEvoy był niewysokim, krępy męczyzna, którego białe fartuchy niezmiennie mocno cisnęły pod pachami, przywodząc na myśl podwiązaną do operacji żyłę. Przypominającą księżyc w pełni twarz zdobił mały, płaski nos Irlandczyka. Grywał w szpitalnej drużynie futbolowej, dopóki w ostrym zwarciu nie pękła mu rzepka kolanowa. Od tamtej pory kulał - - nieco przesadnie.

- Cieszę się, że pan przyszedł - uśmiechnął się. - To naprawdę dziwny przypadek,

a wiem, że jest pan najlepszym specjalistą na świecie.

- Przesada - odparł Hughes. - Niemniej dziękuję za komplement.

McEvoy wsadził palec do ucha i pokręcił nim w zamyśleniu.

- Zdjęcia powinny być gotowe za pięć, dziesięć minut. Do tego czasu właściwie nie wiem, co robić.

- Czy mógłbym zobaczyć pacjentkę? - spytał Hughes.

- Naturalnie. Siedzi w poczekalni. Na pańskim miejscu zdjąłbym płaszcz, bo pomyśli, że ściągnąłem pana z ulicy.

Hughes odwiesił swoje sfatygowane okrycie i ruszył za McEvoyem do jasno oświetlonej poczekalni. Na fotelach leżały kolorowe magazyny, w akwariu pływały tropikalne rybki. Poprzez żaluzje wpadał niezwykle, metaliczny poblask spadłego po południu śniegu.

W rogu, czytając numer "Sunset" siedziała szczupła, ciemnowłosa dziewczyna. Miała pociągłą, delikatną twarz - jak elf, pomyślał Hughes. Ubrana była w prostą sukienkę koloru kawy, przy której jej cera zdawała się trochę ziemista. Jedynie pełna niedopałków popielniczka i chmura dymu w powietrzu wskazywały, że jest zdenerwowana.

- Panno Tandy - odezwał się McEvoy. - To jest doktor Hughes, ekspert od tego typu chorób. Chciałby tylko panią obejrzyć i zadać kilka pytań.

Panna Tandy odłożyła magazyn i spojrzała na nich.

- Oczywiście - powiedziała z wyraźnym akcentem Nowej Anglii. Z dobrej rodziny, pomyślał Hughes. Nie musiał zgadywać czy jest bogata. Nikt nie przychodził się leczyć do szpitala Sióstr Jeruzalem jeśli nie miał więcej gotówki niż można zmieścić w dłoniach.

- Proszę się schylić - poprosił. Dziewczyna skłoniła głowę.

Odsunął jej włosy. Dokładnie w zagłębieniu szyi tkwiła gładka, kulista narośl wielkości szklanego przycisku do papieru. Hughes przesunął po niej palcami. Zdawała się mieć normalną strukturę łagodnego nowotworu włóknistego.

- Jak dawno pani to ma? - spytał.

- Dwa czy trzy dni - odparła. - Zamówiłam wizytę gdy tylko guz zaczął rosnąć.

Bałam się, że to... no, rak, czy coś takiego.

Hughes spojrział na McEvoya i zmarszczył czoło.

- Dwa lub trzy dni? Jest pani pewna?

- Absolutnie. Dzisiaj jest piątek, prawda? No więc, wyczułam to gdy obudziłam się we wtorek rano.

Hughes delikatnie ścisnął narośl. Była gładka i twarda, lecz nie wyczuwał żadnych ruchów.

- Bolało? - zapytał.

- Czułam jakby łaskotanie, ale nic więcej.

- Czuła to samo, gdy ja to ścisnąłem - wtrącił McEvoy.

Hughes puścił włosy dziewczyny pozwalając jej się wyprostować. Przysunął sobie fotel i zaczął notować na jakimś znalezionym w kieszeni świstku papieru.

- Jak duży był guz, kiedy go pani zauważyła?

- Bardzo mały. Wydaje mi się, że mniej więcej wielkości fasoli.

- Czy rósł przez cały czas, czy tylko w niektórych porach?

- Mam wrażenie, że tylko w nocy. To znaczy, każdego ranka kiedy się budzę, jest większy. Hughes wyrysował staranny zygzak.

- Czy czuje go pani normalnie? To znaczy, czy czuje go pani teraz?

- Jak każdy normalny guz. Ale czasem wydaje mi się, że się porusza.

W ciemnych oczach dziewczyny było więcej lęku, niż w jej głosie.

- To jest tak - mówiła wolno - jakby ktoś próbował ułożyć się wygodnie w łóżku. Wie pan, kręci się przez chwile, a potem dłuższy czas leży nieruchomo.

- Jak często się to zdarza?

Była zdenerwowana. Musiała wyczuć w głosie Hughesa zdumienie i to ją zaniepokoiło.

- Trudno powiedzieć. Może cztery, pięć razy dziennie. Hughes zanotował coś i przygryzł wargę.

- Panno Tandy, czy zauważyła pani jakieś zmiany stanu zdrowia podczas ostatnich kilku dni, odkąd ma pani tego guza?

- Jestem trochę zmęczona. Chyba nie śpiam zbyt dobrze. Ale nie straciłam na wadze ani nic takiego.

- Hmm - Hughes zapisał jeszcze coś i przez chwilę przypatrywał się swoim notatkom. - Jak dużo pani pali?

- Zwykle nie więcej niż pół paczki dziennie. Nie jestem nałogowcem. Teraz się denerwuję.

- Robiła niedawno rentgena - wtrącił McEvoy. - Płuca są czyste.

- Panno Tandy - spytał Hughes. - Czy mieszka pani sama? I gdzie pani mieszka?

- Z ciotką, na 82 Ulicy. Pracuję dla firmy płytowej jako asystent. Chciałam znaleźć własne mieszkanie, ale rodzice uznali, że lepiej będzie, jeśli na pewien czas zamieszkać z ciotką. Ma sześćdziesiąt dwa lata. To cudowna starsza pani. Znakomicie się rozumiemy.

Hughes opuścił wzrok.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chyba wie pani, że muszę o to spytać. Czy pani ciotka cieszy się dobrym zdrowiem i czy mieszkanie jest czyste? Czy nie występuje tam groźba infekcji, na przykład karaluchy, zatkane ścieki czy odpadki żywności?

Panna Tandy uśmiechnęła się, po raz pierwszy odkąd Hughes ją zobaczył.

- Ciotka jest zdrową osobą, doktorze Hughes. Zatrudnia sprzątaczkę w pełnym wymiarze godzin i pokojówkę do pomocy przy gotowaniu i dla towarzystwa.

Hughes pokiwał głową.

- Dobrze. Na razie na tym poprzestańmy. Doktorze McEvoy, może zobaczymy, co z tymi zdjęciami?

Wrócili do gabinetu i usiedli. Dr McEvoy włożył sobie do ust kawałek gumy do żucia.

- I co pan o tym sądzi doktorze?

- Na razie nic nie sądzę - odparł z westchnieniem Hughes.

- Ten guz rozrósł się w ciągu dwóch czy trzech dni, a nie słyszałem jeszcze o nowotworze, który by był do tego zdolny. No i to wrażenie ruchu. Czy pan też wyczuł, że guz się porusza?

- Owszem. Drobne drgnięcia, jakby coś tam było pod skórą.

- Może powodują to ruchy szyi. Dopóki nie obejrzymy zdjęć, trudno cokolwiek powiedzieć.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Ze wszystkich stron przesączały się do pokoju szpitalne odgłosy. Hughes był zmarznięty, zmęczony i zastanawiał się, kiedy będzie mógł wrócić do domu. Ostatniej nocy nie spał do drugiej nad ranem zmagając się z dokumentacją i statystyką, a dzisiejsza nie zapowiadała się lepiej. Pociągnął nosem wpatrując się w swój znoszony, brązowy but.

Po pięciu czy sześciu minutach do gabinetu weszła radiolog, wysoka Murzynka, całkowicie pozbawiona poczucia humoru. Niosła dużą, brązową kopertę.

- Co o tym powiesz, Seleno? - spytał McEvoy biorąc od niej kopertę. Podszedł do podświetlanego ekranu w kącie pokoju.

- Zupełnie nie wiem, doktorze. Jedno jest całkiem oczywiste - że to nie ma żadnego sensu.

McEvoy wyjął czarną, rentgenowską kliszę, przypiął ją do ekranu i włączył światło. Zobaczyli obraz tylnej części czaszki panny Tandy, z boku. Guz był na miejscu - duża, szarawa narośl. W jego wnętrzu, zamiast typowego włóknistego rozrostu, tkwił nieduży, splątany węzeł tkanki i chrząstek.

- Spójrzcie tutaj - McEvoy wskazał końcem długopisu.

- Wygląda to na rodzaj korzeni, kostnych korzeni, przytrzymujących guz przy szyi. Co to może być, do diabła?

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Hughes. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. To w ogóle nie przypomina guza.

McEvoy wzruszył ramionami.

- No dobrze, to nie jest guz. Więc co?

Hughes przyjrzał się zdjęciu z bliska. Mały kłębek kości i tkanki był zbyt bezkształtny i niewyraźny, by dało się coś rozpoznać. Można było zrobić tylko jedno - operować. Wyciąć to i zbadać dokładnie. A biorąc pod uwagę tempo wzrostu, im szybciej, tym lepiej.

Hughes podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Mary? Słuchaj, jestem jeszcze na dole u doktora McEvoya. Czy mogłabyś sprawdzić, kiedy doktor Snaith będzie miał wolny termin na operację? Mam tu coś, co wymaga szybkiego działania... Zgadza się... Tak, guz. Ale bardzo złośliwy i jeśli nie będziemy operować szybko, mogą być problemy. Tak jest. Dzięki.

- Złośliwy? - zdziwił się McEvoy, - Skąd wiemy, że jest złośliwy?

Hughes pokręcił głową.

- Nie wiemy. Ale dopóki nie da się stwierdzić, czy jest niebezpieczny czy nieszkodliwy, będę zakładał, że jest niebezpieczny.

- Chciałbym tylko wiedzieć co to jest, u diabła - stwierdził ponuro McEvoy. - Przejrzałem cały słownik medyczny i niczego takiego tam nie ma.

- Może to nowa choroba - Hughes mimo zmęczenia zdobył się na uśmiech. - Może nazwą ją pańskim nazwiskiem. Syndrom McEvoya. Wreszcie sława. Zawsze chciał pan być sławny, prawda?

- Teraz wystarczyłaby mi kawa i kanapka z wędliną. Nagrodę Nobla mogę dostać w każdej chwili. Zabrzęczał telefon, Hughes podniósł słuchawkę.

- Mary? Dobrze. Znakomicie... Tak, bardzo dobrze. Przekaż doktorowi Snaithowi podziękowania.

- Jest wolny? -- spytał McEvoy.

- Jutro o dziesiątej rano. Pójdę i powiem panie Tandy.

Przeszedł przez podwójne drzwi do poczekalni, gdzie panna Tandy paliła kolejnego papierosa i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w rozłożony na kolanach magazyn.

- Panno Tandy? Gwałtownie podniosła głowę.

- Tak?

Hughes przysunął krzesło i usiadł obok niej splatając dłonie. Starał się wyglądać poważnie, spokojnie i godnie, by zmniejszyć jej wyraźny lęk. Był jednak tak zmęczony, że udało mu się tylko sprawić wrażenie chorego.

- Panno Tandy, moim zdaniem musimy operować. Nie wydaje się, by ta narośl dawała powody do zmartwienia, ale przy tym tempie wzrostu wolałbym usunąć ją najszybciej, jak to tylko możliwe. Sądzę, że pani także.

Podniosła rękę na kark, opuściła ją i kiwnęła głową.

- Rozumiem. Naturalnie.

- Czy mogłaby pani zjawić się tutaj jutro około ósmej rano? Doktor Snaith usunie pani tę narośl o dziesiątej. Doktor Snaith to świetny chirurg i ma wieloletnie doświadczenie z podobnymi guzami.

Panna Tandy spróbowała się uśmiechnąć.

- To bardzo miło z pana strony. Dziękuję.

- Nie ma za co - Hughes wzruszył ramionami. - Wykonuję tylko swój zawód. Naprawdę nie sądzę, by miała się pani czym martwić. Nie będę udawał, że pani stan jest całkiem normalny, bo nie jest. Ale częścią naszej profesji jest właśnie zajmowanie się niezwykleymi przypadkami. Przyszła pani we właściwe miejsce.

Dziewczyna zgasiła papierosa i zebrała swoje rzeczy.

- Czy będzie mi potrzebne coś specjalnego? - spytała. - Parę nocnych koszul, przypuszczam, i coś do okrycia? Hughes skinął głową.

- Niech pani weźmie także kaptcie. Nie będzie pani tak całkiem przykuta do łóżka.

- Dobrze - odparła. Hughes odprowadził ją do drzwi. Patrząc, jak szybkim krokiem idzie korytarzem do windy myślał, jaka jest szczupła, młoda i podobna do elfa. Nie należał do tych lekarzy, którzy myślą o pacjentach jedynie w kategoriach jednostek chorobowych - jak doktor Pawson, specjalista chorób płuc, pamiętający poszczególne przypadki długo po tym, jak zapomniał związane z nimi twarze. Życie to coś więcej niż nieskończona parada guzów i narośli. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Stał ciągle na korytarzu, gdy McEvoy wystawił zza drzwi swoją okrągłą twarz.

- Doktorze Hughes?

- Tak?

- Niech pan wejdzie na chwilę i spojrz.

Ociężałym krokiem wszedł do gabinetu. Podczas jego rozmowy z panną Tandy, McEvoy przeglądał swoje książki. Biurko zaścielały wykresy i zdjęcia rentgenowskie.

- Znalazł pan coś?

- Nie wiem. Rzecz wydaje się tak samo bezsensowna, jak wszystko inne w tej sprawie.



Podał mu gruby podręcznik otwarty na stronie pełnej schematów i diagramów. Hughes zmarszczył brwi i przyjrzał im się uważnie. Potem podszedł do ekranu i jeszcze raz przestudiował zdjęcia czaszki panny Tandy.

- To wariactwo - stwierdził.

McEvoy stanął przy nim opierając ręce na biodrach.

- Ma pan rację - kiwnął głową. - Wariactwo. Ale musi pan przyznać, że wygląda bardzo podobnie. Hughes zamknął książkę.

- Ale nawet jeśli ma pan rację... w ciągu dwóch dni?

- Cóż, jeśli coś takiego jest możliwe, to wszystko jest możliwe.

Dwaj lekarze stali w gabinecie na piętnastym piętrze szpitala, patrzyli z pobladytymi twarzami na zdjęcie i żaden nie wiedział, co powiedzieć.

- Może to mistyfikacja? - mruknął w końcu McEvoy.

- Niemożliwe - Hughes pokręcił głową. - W jaki sposób? I po co?

- Nie wiem. Ludzie wymyślają takie rzeczy z najdziwniejszych powodów.

- Mógłby pan podać choć jeden? McEvoy skrzywił się.

- A może pan uwierzyć, że to prawda?

- Nie wiem - odrzekł Hughes. - Może i prawda. Może to ten jedyny naprawdę prawdziwy przypadek na milion.

Znów otworzyli książkę i przestudiowali zdjęcie, i im dłużej porównywali rysunek z guzem panny Tandy, tym więcej odkrywali podobieństw.

Zgodnie z "Ginekologią kliniczną" kłębek chrząstek i tkanki, który panna Tandy nosiła na karku, był ludzkim embrionem. Jego rozmiar sugerował wiek około ośmiu tygodni.

# ROZDZIAŁ 1

## Z GŁĘBIN NOCY

Jeżeli wydaje się wam, że być jasnowidzem to lekki kawałek chleba, spróbujcie sami wymyślić piętnaście przepowiedni dziennie po 25 dolców za każdą. Zobaczycie, czy długo będzie się wam to podobać.

W chwili, gdy Karen Tandy rozmawiała z dr Hughesem i dr McEvoyem w Szpitalu Sióstr Jeruzalem, ja -- przy pomocy kart Tarota - odkrywałem przed panią Winconis jej najbliższe perspektywy.

Siedzieliśmy w moim mieszkaniu na Dziesiątej Alei, przy pokrytym zielonym suknem stoliku i zaciągniętych szczelnie zasłonach. Kadzidło tliło się sugestywnie w rogu, a moja podrabiana na antyk lampa naftowa rzucała należycie tajemnicze cienie. Pani Winconis była pomarszczona i stara. Pachniała stęchłymi perfumami i lisim futrem. Przychodziła prawie w każdy piątek, wieczorem, po szczegółową przepowiednię na najbliższe siedem dni.

Kiedy rozkładałem karty w krzyż celtycki, wierciła się, wzdychała i wpatrywała we mnie jak zżarty przez mole gronostaj czujący łup. Wiedziałem, że kona z chęci zapytania co widzę, nigdy jednak nic nie mówiłem, dopóki całość nie leżała na stoliku. Im więcej napięcia, tym lepiej. Musiałem odegrać cały spektakl marszczenia czoła, westchnień, przygryzania warg i demonstrowania, że nawiązuję kontakt z siłami spoza tego świata. W końcu za to właśnie płaciła 25 dolarów. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie. Kiedy ułożyłem ostatnią kartę pochyliła się do przodu i spytała:

- Co mówią karty, panie Erskine? Co pan widzi? Czy jest coś o Tatuśku?

"Tatuśkiem" nazywała pana Winconis, grubego, starego dyrektora supermarketu, który palił jedno cygaro po drugim i nie wierzył w nic bardziej metafizycznego niż pierwsza trójka na torze Aqueduct. Pani Winconis nigdy nic takiego nie sugerowała, znać jednak było po sposobie mówienia, co jest największą nadzieją jej życia: że serce Tatuśka odmówi wreszcie posłuszeństwa, a jej przypadnie fortuna Winconisów.

Spojrzałem na karty ze zwykłym, dopracowanym do perfekcji wyrazem koncentracji. Wiedziałem o tarocie tyle co każdy, kto zadał sobie trud przeczytania książki "Tarot dla początkujących". To styl się liczył. Jeśli ktoś chce być mistykiem, co jest znacznie łatwiejsze niż zostać sekretarką w agencji reklamowej, instruktorem na letnim obozie czy przewodnikiem wycieczek autobusowych, to przede wszystkim musi wyglądać na mistyka.

Jestem dość myszowatym trzydziestodwulatkiem z Cleveland w stanie Ohio, z zaczątkiem łysiny pod ciemną czupryną i zgrabnym, choć nieco za dużym nosem na przystojnej acz bladej twarzy. Zadałem więc sobie trud pomalowania brwi w satanistyczne łuki i noszenia szmaragdowego, satynowego płaszcza z naszytymi księżycami i gwiazdami. Na głowę wsadzałem trójkątny, zielony kapelusz. Kiedyś był na nim znaczek drużyny Green Bay Packers, lecz zdjąłem go z oczywistych powodów.

Zainwestowałem w kadzidło, parę oprawnych w skórę tomów Encyclopedia Britannica i poobijaną starą czaszkę ze sklepu ze starzyzną w Village, po czym zamieściłem ogłoszenie w gazetach. Brzmiało tak: "Niewiarygodny Erskine - przeznaczenie odczytane, przyszłość odgadnięta, Twój los odsłonięty".

W przeciągu kilku miesięcy miałem więcej klientów niż mogłem obsłużyć. Po raz pierwszy w życiu stać mnie było na nowego Mercury'ego Cougara i zestaw stereo ze słuchawkami. Ale, jak mówię, nie było to łatwe. Ciągły przypływ głupawo uśmiechniętych dam w średnim wieku tłoczących się w moim mieszkaniu, konających z żądzы usłyszenia, co też się zdarzy w ich nudnym, przeciętnym życiu - wystarczało to niemal, by po wsze czasy pogrążyć mnie w najgłębszej rozpaczы.

- I co? - spytała pani Winconis ściskając w pomarszczonych palcach oprawny w skórę aligatora notes. - Co pan widzi, panie Erskine?

Pokręciłem głową, powoli z godnością.

- Karty przekazują dziś ważne wieści, pani Winconis. Niosą wiele ostrzeżeń. Mówią, że zbyt silnie dąży pani do przyszłości, która jeśli nastąpi, może nie być tak przyjemna, jak pani myśli. Widzę poważnego dżentelmena z cygarem, z pewnością Tatuśka. Mówi coś z żalem. Mówi coś o pieniądzach.

- Co mówi? Czy karty powiedziały, co mówi? - szepnęła pani Winconis. Ile razy wypowiadałem słowo "pieniądze", zaczynała kręcić się i podskakiwać jak ryba na rozgrzanej do czerwoności płycie. Widziałem już w życiu kilka paskudnych pasji, lecz namiętność do pieniędzy u kobiety w średnim wieku może odebrać człowiekowi apetyt.

- Mówi o czymś, co jest zbyt drogie - ciągnąłem swoim specjalnym głuchym głosem. - Coś jest zdecydowanie zbyt drogie. Wiem, co to jest. Widzę, co to jest. On mówi, że łoś w puszkach jest za drogi. Martwi się, że ludzie nie zechcą go kupować za tę cenę.

- Och - westchnęła pani Winconis z irytacją. Ale ja wiedziałem, co robię. Sprawdziłem rano kolumnę cen w "Supermarket Report" i wiedziałem, że łoś w puszkach ma podrożeć. W przyszłym tygodniu, gdy pani Winconis usłyszy narzekającego Tatuśka, wspomni moje słowa i będzie pod wrażeniem mej niezwyklej zdolności jasnowidzenia.

- A co ze mną? Co mnie się przydarzy? Ponuro przyjrzałem się kartom.

- Niestety, nie będzie to dobry tydzień. Zupełnie. W poniedziałek będzie pani miała wypadek. Nic poważnego. Nic gorszego niż upuszczenie dużego ciężaru na nogę, lecz na tyle bolesny, by nie mogła pani zasnąć w poniedziałek nocą. We wtorek zagra pani w brydża z przyjaciółmi, jak zwykle. Ktoś będzie oszukiwał, ale nie odkryje pani kto. Proszę więc grać nisko i nie podejmować ryzyka. W środę zdarzy się pani nieprzyjemny telefon, być może nieprzyzwoity. W czwartek zje pani coś, co pani zaszkodzi i będzie pani żałować, że nie zrezygnowała z posiłku.

Pani Winconis wbiła we mnie spojrzenie swych mętnych szarych oczu.

- Naprawdę jest tak źle? - spytała.

- Nie musi być. Proszę nie zapominać, że karty potrafią ostrzegać, nie tylko przepowiadać. Jeśli podejmie pani kroki dla uniknięcia tych pułapek, to ten tydzień nie musi być zły.

- Dzięki Bogu i za to - westchnęła. - Warto płacić te pieniądze choćby po to, by wiedzieć na co uważać.

- Duchy dobrze o pani myślą, pani Winconis - oznajmiłem swym specjalnym

głosem. - Przejmują się panią i nie chciałyby widzieć pani w krzywdzie lub nieszczęściu. Jeśli będzie je pani dobrze traktować, one odpłacą tym samym.

Wstała.

- Panie Erskine, nie wiem, jak panu dziękować. Powinam już iść, ale zobaczymy się w przyszły piątek, prawda? Uśmiechnąłem się swym tajemniczym uśmiechem.

- Naturalnie, pani Winconis. I proszę nie zapomnieć swego mistycznego motto na ten tydzień.

- Och nie, na pewno nie zapomnę. Jakie ono jest w tym tygodniu, panie Erskine?

Otworzyłem wystrzępioną starą książkę, leżącą obok mnie na stoliku.

- Pani mistyczne motto w tym tygodniu brzmi: "Strzeż dobrze pestek, a owoc wyrośnie bez przeszkód".

Przez chwilę stała nieruchomo z nieobecnym uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

- To piękne, panie Erskine. Będę je powtarzać co rano, gdy tylko się obudzę. Dziękuję panu za cudowną, cudowną sesję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparłem.

Odprowadziłem ją do windy pilnując, by nikt z moich sąsiadów nie zobaczył mnie w tym idiotycznym zielonym płaszczu i kapeluszu. Pomachałem jej czule na pożegnanie, a kiedy tylko zniknęła mi z oczu wróciłem do mieszkania, zapaliłem światło, zgasiłem kadzidło i włączyłem telewizor. Przy odrobinie szczęścia miałem jeszcze szansę zobaczyć sporą część Kojaka.

Szedłem właśnie do lodówki po piwo, gdy zadzwonił telefon. Przytrzymałem słuchawkę pod brodą i otworzyłem puszkę. Głos na drugim końcu przewodu był kobiecy i niespokojny. Oczywiście, jakże by inaczej. Tylko niespokojne kobiety korzystają z usług takich ludzi jak Niewiarygodny Erskine.

- Pan Erskine?

- Erskine brzmi nazwisko me, przepowiadaniem trudnię się.

- Panie Erskine, czy mogłabym się z panem zobaczyć?

- Naturalnie. Opłata wynosi dwadzieścia pięć dolarów za zwyczajne spojrzenie w najbliższą przyszłość, trzydzieści dolarów za roczne prorocstwo, pięćdziesiąt za

odsłonięcie losów całego życia.

- Chciałabym się tylko dowiedzieć, co się zdarzy jutro - głos należał chyba do osoby bardzo młodej i bardzo zmartwionej. Błyskawicznie postawiłem w myślach na ciężarną, porzuconą sekretarkę.

- To coś dla mnie, proszę pani. O której chciałaby pani przyjść?

- Koło dziewiątej. Czy to będzie za późno?

- Doskonale się składa, dziewiąta mi odpowiada. Mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

- Tandy. Karen Tandy. Dziękuję, panie Erskine. Będę o dziewiątej.

Może kogoś zdziwić, że tak inteligentna dziewczyna jak Karen Tandy szuka pomocy u takiego szarlatana jak ja. Jeśli jednak nie bawiliście się przez dłuższy czas w jasnowidztwo, to nie macie pojęcia, jak niepewnie czują się ludzie zagrożeni czymś, czego nie rozumieją. Szczególnie dotyczy to choroby lub śmierci i większość moich klientów ma takie czy inne problemy w związku z własną śmiertelnością. Nawet najbardziej doświadczony i sprawny chirurg nie potrafi odpowiedzieć, co się stanie, gdy nagle zgaśnie życie jego pacjenta.

Nic nie daje mówienie: "Rozumie pani, jeśli pani mózg przestanie wysyłać impulsy elektryczne, będziemy musieli uznać, że jest pani martwa i będzie pani martwa do końca świata". Śmierć jest zbyt przerażająca, zbyt definitywna, zbyt mistyczna. Ludzie chcą uwierzyć w życie pozagrobowe, a przynajmniej w inny świat, po którym włóczą się żałosne duchy ich dawno zmarłych przodków, odziane w niebiańskie odpowiedniki jedwabnych piżam. I właśnie ten strach przed śmiercią ujrzałem na twarzy Karen Tandy, gdy zastukała do moich drzwi. Był tak wyraźny, że poczułem się niezbyt pewnie w zielonym płaszczu i śmiesznym zielonym kapeluszu. Miała delikatną posturę i wąską twarz - typ dziewczyny, która zawsze wygrywa biegi w szkolnych zawodach. Zwracała się do mnie z pełną goryczy uprzejmością, przez co czułem się oszustem bardziej niż kiedykolwiek.

- Pan Erskine?

- To ja. Przeznaczenie odczytane, przyszłość odsłonięta... Zna pani resztę.

Weszła cicho do pokoju spoglądając na kadzielnicę, położyła czaszkę i szczelnie

zasunięte zasłony. Poczułem nagle, że cały ten wystrój jest niesamowicie sztuczny i fałszywy, lecz ona zdawała się tego nie dostrzegać. Podsunąłem jej krzesło i poczęstowałem papierosem. Gdy podawałem ogień zauważyłem, że drżą jej ręce.

- A więc, panno Tandy - zacząłem -- na czym polega pani problem?

- Właściwie nie wiem, jak to wytłumaczyć. Byłam już w szpitalu i jutro rano mam iść na operację. Ale są różne rzeczy, o których nie mogłam im opowiedzieć. Oparłem się wygodniej i obdarzyłem ją uspokajającym uśmiechem.

- Może spróbuje pani opowiedzieć mnie?

- To bardzo trudne - odparła cichym głosem. - Mam uczucie, że to coś groźniejszego, niż by się wydawało.

- Czy powie mi pani, co to jest? - spytałem, zakładając pod zieloną szatą nogę na nogę. Lekliwie podniosła rękę do karku.

- Jakieś trzy dni temu, chyba we wtorek rano, zaczęłam odczuwać jakieś podrażnienie tutaj, z tyłu, na szyi. To się rozrosło i zaczęłam się bać, że może to coś poważnego. Poszłam do szpitala, żeby to obejrzel.

- Rozumiem - stwierdziłem współczująco. Współczucie, jak pewnie się domyślacie, w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach decyduje o sukcesie w fachu jasnowidza. - I co powiedzieli lekarze?

- Że nie mam się czym martwić. Ale równocześnie jakoś bardzo im zależało, żeby to wyciąć.

Uśmiechnąłem się.

- A jaka jest moja rola?

- Moja ciocia była u pana raz czy dwa. Nazywa się Karmann. Mieszkam u niej. Nie wie, że tu jestem, ale zawsze pana chwaliła, więc pomyślałam, że może też spróbuję.

No cóż, miło było usłyszeć, że moje okultystyczne usługi są doceniane. Pani Karmann była przemiłą starszą damą wierzącą, iż jej zmarły mąż stale próbuje nawiązać z nią kontakt skądś ze świata duchów. Przychodziła do mnie dwa czy trzy razy na miesiąc, gdy tylko najdroższy zmarły pan Karmann przesyłał jej wiadomość zza grobu. Zdarzało się to w snach, jak mi zawsze mówiła. Słyszała, jak szepcze w

nieznanym języku, pośród nocy. To było dla niej sygnałem, by podreptać na Dziesiątą Aleję i wydać u mnie trochę forsy. Znakomita klientka.

- Chce pani, żebym postawił karty? - zaproponowałem, unosząc jedną z mych demonicznie wygiętych brwi.

Karen Tandy pokręciła głową. Wydawała się bardziej poważna i zmartwiona niż którykolwiek z moich klientów. Miałem nadzieję, że nie poprosi mnie o coś, co wymagałoby prawdziwych zdolności okultystycznych.

- Chodzi o sny, panie Erskine. Odkąd ten guz zaczął rosnać miewam straszne sny. Pierwszej nocy myślałam, że to zwykły koszmar, ale potem co noc śniło mi się to samo, za każdym razem wyraźniej. Nie jestem nawet pewna, czy mam ochotę kłaść się dzisiaj. Wiem, że znów mi się to przyśni, wyraźniejsze i o wiele gorsze.

W zamyśleniu skubnąłem czubek nosa. Mam taki zwyczaj, ile razy się nad czymś zastanawiam. Niektórzy ludzie, kiedy myślą, drapią się w głowę i dostają łupieżu. Ja pociągam swój nochal.

- Wielu ludzi miewa powtarzające się sny, panno Tandy. Zwykle oznacza to, że niepokoi ich wciąż to samo. Nie sądzę, żeby było się czym przejmować.

Wpatrywała się we mnie tymi wielkimi, głębokimi, czekoladowo brązowymi oczami.

- To nie ten typ snu, panie Erskine. Jest zbyt realny. W zwyczajnym śnie czuje pan, że wszystko odbywa się wewnątrz pańskiego umysłu. Ale ten wydaje się rozgrywać wszędzie, i w moim mózgu, i poza mną.

- No cóż - powiedziałem. - Może opowie mi pani ten sen.

- Zawsze zaczyna się w ten sam sposób. Śnię, że stoję na jakiejś wyspie. Jest zima i wieje lodowaty wiatr. Czuję ten wiatr, chociaż okna mojej sypialni są zawsze zamknięte. Jest noc i chmury przesłaniają księżyc. W pewnej odległości, za drzewami, dostrzegam rzekę; choć możliwe, że to morze. Lśni w blasku księżyca. Rozglądam się i widzę, że w pobliżu stoi rząd mrocznych chat. Wygląda to na wioskę, rodzaj prymitywnej osady. W istocie wiem, że to wioska. Ale wydaje się, że nie ma nikogo w pobliżu. Potem idę po trawie w stronę rzeki. Znam drogę. Czuję, że przez całe życie mieszkam na tej dziwnej wyspie. Czuję, że jestem przestraszona, lecz równocześnie



wiem, że mam pewną ukrytą moc i że prawdopodobnie potrafię przewyciężyć lęk. Boję się nieznanego - rzeczy, których nie pojmuję. Dochodzę do rzeki i staję na piasku. Wciąż jest bardzo zimno. Patrzę na wodę i widzę ciemny żaglowiec zakotwiczony przy brzegu. W moim śnie nie ma niczego, co by sugerowało, że nie jest to zupełnie zwyczajny żaglowiec, lecz jednocześnie napawa mnie on przerażeniem. Wydaje się obcy, nieznan, jakby to był latający talerz z innej planety. Stoję na plaży przez długi czas, aż w końcu widzę małą łódź, która odbija od statku i płynie do brzegu. Nie mogę dostrzec, kto jest przy wiosłach. Zaczynam biec z powrotem do wioski, a potem wchodzę do jednej z chat. Wydaje mi się znajoma. Wiem, że już tu byłam. Właściwie niemal wierzę, że to jest moja chata. Coś pachnie dziwnie, jakby zioła, kadzidło czy coś takiego. Mam rozpaczliwe uczucie, że jest coś, co muszę zrobić. Nie bardzo wiem co, lecz muszę to zrobić, cokolwiek by to było. Ma to jakiś związek z przerażającymi ludźmi w łodzi, z tym ciemnym żaglowcem. Lęk narasta we mnie, aż z trudem potrafię myśleć. Coś ma nadejść z tego statku, coś, co będzie miało straszne skutki. Jest tam coś obcego, coś potężnego i magicznego. Ogarnia mnie rozpacz. Wtedy się budzę.

Mówiąc skręcała w palcach chustkę do nosa. Jej głos był cichy i spokojny, lecz pełen niemal bolesnej pewności, a to napełniało mnie niepokojem. Patrzyłem jak mówi i miałem wrażenie, że wierzy, iż cokolwiek śniła, przydarzyło się naprawdę.

Zdjąłem kapelusz Green Bay Packers, który w tych okolicznościach wydawał mi się niezbyt stosowny.

- To niezwykły sen, panno Tandy. Czy zawsze jest taki sam, w każdym szczególe?

- Dokładnie. Zawsze tak samo. Zawsze czuję lęk przed tym, co nadchodzi ze statku.

- Hmm. Mówi pani, że to żaglowiec. Jakiś jacht czy coś takiego?

Pokręciła głową.

- To nie jacht. Raczej galeon. Wie pan, trzy maszty i mnóstwo olinowania. Pociągnąłem czubek nosa i zacząłem intensywnie myśleć.

- Czy jest coś, co pozwalałoby rozpoznać ten statek? Czy ma nazwę?

- Jest za daleko. Jest za ciemno.

- Czy ma jakąś flagę?

- Ma, na maszcie. Ale nie potrafię jej opisać.

Wstałem i podszedłem do biblioteczki z kieszonkowymi wydaniem książek okultystycznych. Wyciągnąłem "Dziesięć tysięcy wyjaśnionych snów" i kilka innych. Położyłem je na stole i sprawdziłem jeden czy dwa odnośniki do wysp i statków. Niezbyt mi to pomogło. Podręczniki okultystyczne nigdy nic nie wyjaśniają, a czasem wręcz potęgują zamęt. Nie przeszkadza mi to zresztą wyciągać mrocznych i tajemniczych wniosków na temat nocnych marzeń moich klientów.

- Statki łączą się zwykle z jakąś podróżą lub z otrzymaniem wiadomości. W pani przypadku statek jest ciemny i przerażający co może sugerować, że nie będą to dobre wiadomości. Wyspa symbolizuje izolację i lęk, w istocie rzeczy symbolizuje panią samą. Jakiegokolwiek byłyby te wiadomości, jest to bezpośrednie zagrożenie dla pani jako osoby.

Karen Tandy kiwnęła głową. Nie wiem dlaczego, ale serwując jej ten chłam poczułem wyrzuty sumienia. Była w niej jakaś naturalna bezbronność i napięcie. Siedziała tam z tymi ciemnymi, obcięzonymi na pazia włosami i bladą twarzą elfa, tak poważna i tak zagubiona, że zacząłem się zastanawiać, czy jej sny nie były rzeczywiście prawdziwe.

- Panno Tandy - powiedziałem. - Czy mogę nazywać panią Karen?

- Oczywiście.

- Ja mam na imię Harry. Babka nazywa mnie Henry, ale nikt inny tego nie robi.

- To ładne imię.

- Dziękuję. Posłuchaj więc, Karen. Będę z tobą szczery. Sam nie wiem czemu. Jest w twoim przypadku coś, co różni go od spraw, jakimi się zwykle zajmuję. Wiesz, starsze panie próbujące nawiązać kontakt ze swoim pieskiem pekińczykiem przebywającym w szczęśliwej rajskiej psiarni i tego typu bzdury. W twoim śnie jest coś... czy ja wiem, autentycznego.

Wcale jej to nie pocieszyło. Ostatnia rzecz, jaką ludzie chcą usłyszeć, to to, że ich lęki mają realne podstawy. Nawet inteligentni i wykształceni osobnicy lubią być pocieszani, że ich nocne przeżycia to tylko takie słodziutkie bzdurki. To znaczy, Jezus,

gdyby połowa koszmarów, które się ludziom roją była prawdziwa, wszyscy byśmy powariowali. Częścią mojego zawodu było uspokajanie przerażonych klientów i przekonywanie ich, że rzeczy, o których śnią, nigdy się nie zdarzą.

- Co to znaczy "autentycznego"?

Podaliśmy jej papierosa. Tym razem, gdy go zapalała, ręce nie trzęsły się jej tak bardzo.

- To jest tak, Karen. Niektórzy ludzie, choć nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, mają potencjalną możliwość zostania medium. Innymi słowy, są bardzo wyczuleni na różne okultystyczne trzaski latające w atmosferze. Medium przypomina radio albo telewizor. Jest tak zbudowane, że potrafi wychwytywać sygnały, których inni nie zauważają, i tłumaczyć je na dźwięk lub obraz.

- Jakie sygnały? - zmarszczyła czoło. - Nie rozumiem.

- Są różne rodzaje sygnałów - wyjaśniłem. - Nie widzisz sygnału telewizyjnego, prawda? A przecież jest wokół ciebie przez cały czas. Cały ten pokój jest zapchany wizerunkami i duchami, obrazami Davida Brinkleya i reklamówkami płatków kukurydzianych Kelloga. Trzeba tylko odpowiedniego odbiornika, żeby je wyłapać.

Karen Tandy wypuściła kłęb dymu.

- Chcesz powiedzieć, że mój sen jest sygnałem? Ale jakim sygnałem? Skąd może pochodzić? Dlaczego właśnie ja go odbieram?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem, czemu właśnie ty i nie wiem, skąd pochodzi. Skądkolwiek. Istnieją potwierdzone raporty o ludziach w Ameryce, którzy mieli sny dające im szczegółowe informacje o kimś z dalekich krajów. Był taki farmer w Iowa, któremu śniło się, że tonie podczas powodzi w Pakistanie, a tej samej nocy w Pakistanie był monsun i zginęło czterysta osób. Można to wytłumaczyć tylko wtedy, gdy potraktujemy fale myślowe jako sygnały. Farmer, poprzez swoją podświadomość, wychwycił sygnał jakiegoś tonącego nieszczęśnika z Pakistanu. To niezwykle, wiem, ale to się zdarzyło. Spojrzała na mnie błagalnie.

- Więc jak mogę się dowiedzieć, o co chodzi w moim śnie? A jeśli to sygnał od kogoś, gdzieś w świecie, kto potrzebuje pomocy, a ja nawet nie wiem, kto to jest?

- Jeżeli naprawdę chcesz się dowiedzieć, to jest tylko jeden sposób - odparłem.

- Proszę... powiedzieć, co mam robić. Naprawdę chcę. To znaczy, jestem przekonana, że ma to jakiś związek z tym., guzem i chcę się dowiedzieć, co to jest.

- Dobrze, Karen - kiwnąłem głową. - A więc musisz zrobić tak. Dziś wieczorem położysz się jak zwykle i jeżeli znów będziesz miała ten sen, to spróbuj zapamiętać tyle szczegółów - fizycznych szczegółów - ile zdołasz. Rozejrzyj się po wyspie, może znajdziesz jakieś punkty charakterystyczne. Kiedy dojdiesz do rzeki, postaraj się zapamiętać przebieg linii brzegowej. Jeśli jest tam jakaś zatoka czy coś takiego, spróbuj utrwalić w pamięci jej kształt. Jeśli jest coś na drugim brzegu, przystań, góra, cokolwiek, zapamiętaj to. I jeszcze jedna ważna sprawa: postaraj się przyjrzeć fladze na statku. Naucz się jej. Potem, gdy tylko się obudzisz, zanotuj wszystko to szczegółowo, jak tylko potrafisz i z tyloma rysunkami, ile ci się uda. Wszystko, co widziałaś. Te notatki przynieś do mnie.

Zgniotła niedopałek w popielniczce.

- Muszę być w szpitalu o ósmej rano.

- W którym szpitalu?

- Sióstr Jeruzalem.

- Dobrze. Posłuchaj, ponieważ jest to najwyraźniej istotne, wpadnę tam. Możesz zostawić mi te notatki na portierni. Co ty na to?

- Panie Erskine... Harry, to wspaniałe. Po raz pierwszy czuję, że do czegoś dochodzimy.

Podszedłem do niej i uścisnąłem jej dłoń. Na swój chochlikowaty sposób była ładną dziewczyną. Gdybym nie był tak całkowitym profesjonalistą, traktującym klientów czysto zawodowo i gdyby nie szła jutro do szpitala, na pewno zaprosiłbym ją na kolację, przyjacielską przejażdżkę moim Cougarem, a w końcu z powrotem do centrum okultystycznego Erskine'a na noc ziemskich rozkoszy.

- Ile jestem ci winna? - spytała, rozpraszając czar.

- Zapłacisz w przyszłym tygodniu - odparłem. Zawsze poprawia to samopoczucie ludzi idących do szpitala, gdy prosi się ich, by zapłacili po operacji. Nagle nabierają nadziei, że może jednak przeżyją.

- Dobrze, Harry. Dziękuję ci -- powiedziała i wstała by wyjść.

- Nie obrazisz się, jeśli nie odprowadzę cię do windy? spytałem dla wyjaśnienia powiewając moją zieloną szatą. - • Rozumiesz, sąsiedzi. Myślą, że jestem transwestytą albo czymś jeszcze gorszym.

Uśmiechnęła się i wyszła życząc mi dobrej nocy. Ciekawe, czy rzeczywiście będzie dobra, pomyślałem. Usiadłem w fotelu i zacząłem się zastanawiać. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Zwykle, kiedy klienci wpadają do mojego mieszkania, żeby drżąc z emocji opowiedzieć mi swoje sny, są to banalne historyjki w technikolorze, mówiące o frustracji seksualnej i erotycznym niezaspokojeniu. Na przykład ktoś idzie na przyjęcie do Vanderbiltów i nagle stwierdza, że jego/jej szorty wloką się wokół kostek. Opowiadano mi sny o lataniu i sny o jedzeniu, sny o wypadkach i o nienazwanych lękach. Żaden z nich jednak nie miał tej niesamowitej, fotograficznej precyzji, tej logicznej konsekwencji, co sen Karen Tandy.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

- Halo - odezwał się głos starszej osoby. - Kto mówi?

- Pani Karmann, tu Harry Erskine. Przepraszam, że niepokoję panią tak późno.

- Och, pan Erskine! Jak miło usłyszeć pana głos. Byłam w wannie, wie pan, ale teraz jestem już opatulona w ręcznik.

- Strasznie mi przykro, pani Karmann. Czy zechce mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie? Zachichotała.

- Jeśli tylko nie będzie nazbyt osobiste, panie Erskine.

- Raczej nie, pani Karmann. Czy przypomina sobie pani sen, o którym opowiadała mi pani dwa czy trzy miesiące temu?

- Który sen, panie Erskine? Ten o moim mężu?

- Zgadza się. Ten o pani mężu, proszącym panią o pomoc.

- Zaraz, chwileczkę... Jeśli dobrze pamiętam, to stałam nad brzegiem morza, był środek nocy i było potwornie zimno. Pomyślałem, że powinnam przed wyjściem włożyć jakiś płaszcz. Potem usłyszałam mojego męża, jak szeptał coś do mnie. On zawsze szepcze, wie pan. Nigdy nie mówi głośno i nie wrzeszczy mi do ucha. Szeptał coś, czego nie zrozumiałam, lecz jestem pewna, że prosił o pomoc.

Poczułem się dość dziwnie. Nie mam nic przeciwko duchom pod warunkiem, że zachowują się przyzwoicie. Ale kiedy zaczynają robić numery, czuję lekkie dreszcze.

- Pani Karmann - powiedziałem. - Czy widziała pani w swoim śnie jeszcze coś, poza brzegiem morza? Czy był tam może jakiś statek albo łódź? Może jakieś chaty czy wioska?

- Nic więcej nie pamiętam - oświadczyła pani Karmann. - Czy jest jakiś szczególny powód, że pan pyta?

- Chodzi o taki artykuł na temat snów, który właśnie piszę do magazynu. Nic ważnego, pani Karmann. Pomyślałem, że może dołączę opis jednego czy dwóch pani snów. Są zawsze takie ciekawe.

Niemal widziałem, jak starsza pani trzepoce powiekami.

- Och, panie Erskine, to ogromnie miło z pana strony, że pan tak uważa.

- Jeszcze jedna sprawa, pani Karmann. I to ważna.

- Tak?

- Proszę nikomu nie wspominać o naszej rozmowie. Absolutnie nikomu. Rozumie pani?

Sapnęła głośno, jakby plotka była ostatnią rzeczą na świecie, jaka by jej przyszła do głowy.

- Nikomu nawet nie szepnę. Przysięgam.

- Dziękuję, pani Karmann. Bardzo mi pani pomogła - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę, wolniej i bardziej starannie, niż robiłem to kiedykolwiek w życiu.

Czy to możliwe, żeby dwoje ludzi miało identyczne sny? Jeśli tak, to może te bzdury o sygnałach są prawdą. Może Karen Tandy i jej ciotka, zdolne są do odbierania sygnałów stamtąd - z głębin nocy i odtwarzania ich w swoich umysłach?

Nie zwróciłem najmniejszej uwagi na stwierdzenie pani Karmann, że to jej mąż starał się z nią porozumieć. Wszystkie podstarzałe wdowy uważają, że mężowie unoszą się wokół nich w eterze i za wszelką cenę próbują przekazać im jakieś niezwykle ważne wiadomości. Tymczasem to, czym najprawdopodobniej zajmują się ich zmarli towarzysze życia w świecie duchów, to gra w golfa, obmacywanie młodych duszyczek płci żeńskiej i rozkoszowanie się kilkoma latami ciszy i spokoju, zanim

dołączą do nich ich ukochane małżonki.

Pomyślałem, że ta sama osoba stara się nawiązać kontakt z nimi obiema, by przekazać nieokreśloną trwogę, która ją ogarnęła. Przypuszczałem, że to kobieta, choć o duchach trudno coś konkretnego powiedzieć. Powinny być mniej lub bardziej bezpłciowe. Chyba dość trudno byłoby kochać się z ponętą damą duchem nie mając niczego bardziej namacalnego niż penis z ekto plazmy.

Siedziałem we własnym mieszkaniu snując te wszystkie frywolne myśli, gdy nagle doznałem niesamowitego wrażenia, że ktoś stoi za mną, tuż za polem mojego widzenia. Nie chciałem się oglądać, gdyż byłoby to przyznaniem się do idiotycznego strachu, lecz jednocześnie czułem jakby swędzenie na karku. Nie mogłem się powstrzymać od rzucania szybkich spojrzeń na boki by sprawdzić, czy na ścianach nie widać jakichś niezwykłych cieni.

W końcu wstałem i odwróciłem się błyskawicznie. Naturalnie, niczego nie zobaczyłem. Nie potrafiłem jednak pozbyć się myśli, że coś lub ktoś był jeszcze przed chwilą - ktoś mroczny i milczący jak mnich. Gwiżdżąc dość głośno nalałem sobie szkockiej na trzy czy cztery palce. Jeśli istniał spiritus, który w pełni aprobowałem, to tylko ten. Ostry smak słodu i jęczmienia ściągnął mnie szybko na ziemię.

Postanowiłem rozłożyć karty i sprawdzić, co one mają na ten temat do powiedzenia. Ze wszystkich bzdur na temat jasnowidzenia i spirytyzmu tylko dla Tarota żywię pewien mimowolny szacunek. Nie chcę w niego uwierzyć, lecz w jakiś sposób potrafi on dokładnie określić, w jakim stanie się znajdujecie, nieważne jak bardzo próbowalibyście to ukryć. I każda karta budzi dziwne uczucie, jakby wspomnienie snu, którego nigdy nie potraficie sobie dokładnie przypomnieć.

Potasowałem karty i rozłożyłem je na suknie stolika. Używam zwykle układu celtyckiego krzyża na dziesięć kart, gdyż jest najłatwiejszy. "To w tobie, to cię czeka, to pod tobą, to za tobą..."

Zadałem Tarotowi jedno proste pytanie i stosując się do reguł myślałem o nim twardo przez cały czas. Pytanie brzmiało: "Kto mówi do Karen Tandy?"

Wykładając karty, jedną po drugiej, nie mogłem powstrzymać się od marszczenia brwi. Nigdy w życiu nie zdarzył mi się tak niezwykły układ: niektóre karty Tarota

prawie nigdy się nie odkrywają, a kiedy to się zdarzy, rzucają się od razu w oczy, ponieważ są takie odmiennie. Układy większości ludzi pełne są drobnych, niewiele mówiących kart, lub kart wskazujących na pożądanie pieniędzy czy kłótnie w domu - wszystkie te pomniejsze puchary, różdżki i pentagramy. Bardzo rzadko widuje się karty straszliwych katastrof, jak choćby Wieżę, na której malutkich ludzi strąca z zamku zygzakowata błyskawica. Ani razu nie wyłożyła mi się Śmierć.

Tym razem odsłoniła się - w swej czarnej zbroi, na czarnym, czerwonoookim koniu, z kłaniającymi się jej biskupami i dziećmi. Tak samo Diabeł z nieprzyjemnym, wrogim spojrzeniem, baranimi rogami i nagimi ludźmi przykutymi do jego tronu. Tak samo Czarnoksiężnik, odwrócony. Na tej stronie karta oznaczała lekarza lub maga, chorobę psychiczną i niepokój.

Wpatrywałem się w te karty przez prawie pół godziny. Co, u diabła, mogły oznaczać? Może Karen Tandy była psychicznie chora? Możliwe. Ten guz na karku mógł jej uszkodzić mózg. Problem z tym piekielnym Tarotem polega na tym, że nigdy nie daje on konkretnych odpowiedzi. Istnieje cztery czy pięć różnych interpretacji i samemu trzeba się w nich połapać. Czarnoksiężnik? Znow potasowałem i ułożyłem karty Czarnoksiężnika jako pytania. W tym celu trzeba ułożyć ją na środku, przykryć inną kartą i rozłożyć celtycki krzyż od nowa. Karty powinny wtedy dać mi bardziej szczegółową informację, co on oznacza.

Rozłożyłem dziewięć kart, po czym odwróciłem dziesiątą. Poczulem gniewanie w żołądku i znow wydało mi się, że ktoś na mnie patrzy. Stało się to niemożliwe. Dziesiątą kartą też był Czarnoksiężnik.

Uniosłem kartę zakrywającą moją kartę-pytanie. Pod spodem leżała Śmierć. Może się pomyliłem. Wszystko jedno, byłem pewien, że położyłem najpierw Czarnoksiężnika. Zebrałem karty, ułożyłem go jeszcze raz mocno na stole, przykryłem dwoma różdżkami i dalej rozkładałem karty, aż została mi tylko jedna.

Nic na niej nie było. To była czysta karta.

Nie wierzę w całe to odgadywanie losów, ale odniosłem nieodparte wrażenie, że ktoś tam mówi mi głośno i stanowczo, żebym pilnował swojego nosa.

Spojrzałem na zegarek. Była północ. Dobra godzina dla duchów i upiórów. Dobra



godzina, by wreszcie iść do łóżka. Jutro muszę zobaczyć, co Karen Tandy zostawiła dla mnie w kopercie.

## ROZDZIAŁ 2

### W CIEMNOŚĆ

Następnego ranka, w sobotę, mniej więcej o wpół do jedenastej wyszło pomarańczowe słońce i śnieg na ulicach zaczął zmieniać się w kupy brązowego błota. Wciąż było lodowato zimno i mój Cougar po drodze do Szpitala Sióstr Jeruzalem dwukrotnie odmówił posłuszeństwa. Przechodnie, opatuleni w szaliki i płaszcze, snuli się zachlapani po brudnych chodnikach jak pozbawione twarzy postacie z zimowego snu.

Zaparkowałem tuż przed bramą i wszedłem do hallu. Było tam ciepło i elegancko. Na podłogach leżały grube dywany, w donicach stały palmy, słychać było przytłumiony szmer rozmów. To wszystko bardziej pasowało do jakiegoś hotelu w modnym kurorcie niż do schronienia dla chorych. Za ladą stała energiczna młoda dziewczyna w białym, wykrochmalonym fartuchu z białymi, jak wykrochmalonymi zębami.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Sądzę, że pani może. Powinna tu być koperta dla mnie. Nazywam się Erskine, Harry Erskine.

- Chwileczkę.

Przerzuciła plik listów i pocztówek, aż w końcu wyciągnęła małą, białą kopertę.

- Niewiarygodny Erskine? - odczytała unosząc brew.

Chrząknąłem nieco zakłopotany.

- Takie przezwisko. Wie pani, jak to jest.

- Czy ma pan jakiś dokument?

Przeszukałem kieszenie. Prawo jazdy zostało w domu, razem z kartami kredytowymi. W końcu pokazałem jej wizytówkę. Było na niej napisane: "Niewiarygodny Erskine. Odczytywanie przyszłości, objaśnianie przepowiedni,

tłumaczenie snów".

- Faktycznie, to musi być pan - uśmiechnęła się i podała mi list.

Wstrzymałem się z otwieraniem, póki nie wróciłem do mieszkania. Położyłem kopertę na stole i przyjrzałem się jej uważnie. Takiego charakteru pisma oczekiwałem po kulturalnej dziewczynie, takiej jak Karen Tandy - wyraźnego, pewnego i śmiałego. Szczególnie podobał mi się sposób, w jaki pisała "Niewiarygodny". Znalazłem nożyczki do paznokci i odciąłem brzeg listu. Wewnątrz znalazłem trzy lub cztery kartki papieru w linie, chyba wyrwane z notatnika. Wraz z nimi złożony był krótki list pisany ręką Karen Tandy:

"Drogi panie Erskine.

Dziś w nocy miałam ten sam sen, o wiele bardziej wyrazisty niż przedtem. Staralam się zwracać uwagę na wszystkie szczegóły. Dwie rzeczy pamiętam bardzo wyraźnie. Linia brzegowa miała dość szczególny kształt, który naszkicowałam poniżej. Narysowałam także żaglowiec i tyle z jego flagi, ile zdołałam zapamiętać.

Uczucie strachu było o wiele silniejsze, podobnie jak wrażenie potrzeby ucieczki.

Gdy tylko dojdę do siebie po operacji, skontaktuję się z panem, by porozmawiać na ten temat.

Pańska przyjaciółka, Karen Tandy".

Obejrzałem dokładniej kartki z notatnika. Odręczna mapka wybrzeża niewiele mi pomogła. Była to ledwie kręta linia, mogąca przedstawiać jakikolwiek brzeg na świecie. Lecz rysunek statku okazał się interesujący. Był dość szczegółowy. Flaga też była niezła. W bibliotece musiały być jakieś książki o statkach i o banderach, mogłem więc sprawdzić, co to był za galeon.

Jeśli, oczywiście, był to prawdziwy galeon, a nie tylko wytwór pobudzonej guzem wyobraźni Karen.

Siedziałem przez dłuższy czas zastanawiając się nad dziwnym przypadkiem "mojej przyjaciółki Karen Tandy". Miałem ochotę wyjść i sprawdzić ten statek. Było już jednak prawie wpół do dwunastej i zaraz powinna przyjść pani Herz - jeszcze jedna przemiła starsza pani, mająca więcej pieniędzy niż rozsądku. Ciekawiło ją przede wszystkim, czy będzie miała jakieś kłopoty z setkami swoich krewnych,

których wszystkich wymieniała w testamencie. Po każdym spotkaniu ze mną odwiedzała adwokata i zmieniała wszystkie legaty. Adwokat zarobił na wszystkich tych kodycyłach i poprawkach tyle forsy, że na ostatnie Boże Narodzenie przysłał mi skrzynkę Johnnie Walkera Black Label. W końcu on i ja pracowaliśmy w tym samym biznesie.

Punktualnie o jedenastej trzydzieści zadzwonił dzwonek u drzwi. Odwiesiłem do szafy marynarkę, włożyłem moją zieloną szatę, wsadziłem na głowę kapelusz i przygotowałem się, by powitać panią Herz na swój zwykły, mistyczny sposób.

- Proszę wejść, pani Herz. Piękny poranek dla wszystkiego, co wiąże się z okultyzmem.

Pani Herz musiała mieć jakieś siedemdziesiąt pięć lat. Była blada i pomarszczona, miała ręce jak kurze łapki i okulary powiększające jej oczy tak, że wyglądały na pływające w kulistym akwariium ostrygi. Weszła dygocąc i podpierając się laską. Roztaczając zapach naftaliny i lawendy z głośnym westchnieniem usiadła w fotelu.

- Jak się pani czuje, pani Herz? - spytałem uprzejmie zacierając ręce. - Jak tam pani sny?

Nie odpowiedziała, więc tylko wzruszyłem ramionami i zebrałem karty Tarota. Tasując je starałem się znaleźć tę czystą, która mi się wczoraj odsłoniła, ale nie było po niej śladu. Mogłem się oczywiście pomylić, mogłem być przemęczony, lecz jakoś nie byłem o tym przekonany. Pomimo wykonywanej pracy nie jestem miłośnikiem mistycznych przeżyć. Rozłożyłem karty i zachęciłem panią Herz, by pomyślała o pytaniu, jakie chciałyby im zadać.

- Już dawno nie pytaliśmy o pani siostrzeńca Stanleya - przypomniałem jej. - Może spojrzymy, co dzieje się w jego skromnym domostwie? A co z pani przyrodnią siostrą Agnes?

Nie odpowiadała. Nawet na mnie nie spojrzała. Wpatrywała się w kąt pokoju, zatopiona w myślach.

- Pani Herz! - powiedziałem wstając. - Pani Herz, rozłożyłem dla pani karty.

Obszedłem stolik i pochyliłem się by spojrzeć jej w twarz. Zdawało się, że nic jej nie jest. W każdym razie oddychała. Przynajmniej tyle. Ostatnią rzeczą jakiej

pragnąłem, to żeby starsza pani wyzionęła ducha w trakcie odczytywania przeze mnie jej losu. Wiadomość o tym zrujnowałaby mnie. A może i nie...

- Pani Herz - odezwałem się, ujmując jej suche dłonie. - Czy dobrze się pani czuje? Może nalać pani kieliszek koniaku?

Jej oczy poruszały się dziwnie za grubymi jak butelka Coca-Coli szklami okularów. Patrzyła w moją stronę, a jednocześnie wcale nie na mnie. Wyglądało to tak, jakby spoglądała przeze mnie, gdzieś w tył. Odwróciłem się mimowolnie by sprawdzić, czy jest jeszcze ktoś w pokoju.

- Pani Herz - spróbowałem jeszcze raz. - Może podać pani jakieś lekarstwo? Pani Herz, czy pani mnie słyszy?

Spomiędzy jej wyblakłych warg wysączył się cichy, świszczący szept. Miałem wrażenie, że próbuje coś powiedzieć i nie umie sobie z tym poradzić. Lampa naftowa zaczęła migotać i syczeć. Trudno powiedzieć, czy poruszające się na policzkach pani Herz cienie spowodowane były dziwnym wyrazem jej twarzy, czy nie.

- Buuuu... - powiedziała ledwo słyszalnie.

- Pani Herz - nie wytrzymałem. - Jeśli to jakiś żart, to proszę natychmiast przestać. Zdenerwowała mnie pani i jeśli natychmiast nie dojdzie pani do siebie, wezwę karetkę. Czy zrozumiała mnie pani?

- Buuuu... - szepnęła znowu. Jej ręce zadygotały, a wielki pierścień ze szmaragdem zastukał o poręcz fotela. Przewracała oczami, a dolna szczęka jakby się zaklinowała w pozycji szerokiego otwarcia. Widziałem jej wąski język i mostki warte 4000 dolców.

- Dobra - oświadczyłem. - Jak pani chce. Wzywam karetkę, pani Herz. Widzi pani, podchodzę do telefonu, wykręcę numer. Pani Herz, o dzwonię.

Nagle starsza dama wstała. Niezgrabnie sięgnęła po laskę, przewracając ją ze stukiem na podłogę. Stała kołysząc się i przestępując z nogi na nogę, jak gdyby tańczyła do rytmu jakiejś niesłyszalnej dla mnie melodii.

- Słucham, w czym mogę pomóc? - spytał dyspozytor, lecz odłożyłem słuchawkę i podszedłem do mojej podskakującej klientki.

Próbowałem objąć ją ramieniem, lecz pacnęła mnie swoją pomarszczoną łapą. Trzęsła się i tańczyła, cały czas mruczając coś i bełkocąc, a ja nie wiedziałem, co do

diabła powinienem z nią zrobić. Najwyraźniej miała jakiś atak, ale nigdy nie widziałem ataku, którego ofiara odstawia jednoosobową kongę dookoła pokoju.

- Buuu... - odezwała się jeszcze raz. Skakałem wokół niej starając się dotrzymać tempa tym niezgrabnym pląsom.

- Co to znaczy „buu”? - spytałem. - Pani Herz, może pani usiądzie i wyjaśni, o co chodzi, do cholery?

Równie nagle jak przedtem zaczęła swój taniec, teraz przerwała. Jej poziom energii zdawał się opadać w tempie windy zjeżdżającej na parter, do foyer i ulicy. Wyciągnęła rękę, by wesprzeć się o coś i musiałem złapać ją za ramię, by się nie przewróciła. Delikatnie usadziłem jej sztywne, starcze ciało w fotelu i przyklęknąłem obok.

- Pani Herz, nie lubię zmuszania moich klientów do czegokolwiek ale naprawdę uważam, że powinien panią obejrzeć jakiś lekarz. Nie sądzi pani, że byłoby to rozsądne?

Patrzyła na mnie nie widząc, a jej usta znów się rozwarły. Przyznaję, że musiałem odwrócić wzrok. Zewnętrzne części starszych dam mi nie przeszkadzają, ale niespecjalnie mam ochotę zaglądać im do wnętrza.

- Boot - szepnęła. - Boot.

- Boot? - spytałem. - Co, u licha, mają z tym wszystkim wspólnego buty?

- Boot - powiedziała drżącym głosem, bardziej piskliwie. Boot! BOOOTTTTT!

- O Boże - jęknąłem. - Pani Herz, proszę się uspokoić. Natychmiast wzywam karetkę. Proszę się nie ruszać, pani Herz, wszystko będzie dobrze. Na pewno zaraz poczuje się pani lepiej.

Wstałem, podszedłem do telefonu i wykręciłem numer pogotowia. Pani Herz trzęsła się, drżała i mamrotała swoje „boot, boot”. Zdawało mi się, że minęło z pół godziny, zanim ktoś odpowiedział:

- Słucham?

— Nareszcie. Potrzebuję natychmiast karetki. Mam tu starszą panią, która dostała jakiegoś ataku. Jest bogata jak diabli, więc proszę powiedzieć tym z karetki, żeby nie robili po drodze objazdu przez Bronx. Proszę się spieszyć. Boję się, że umrze, albo

coś w tym stylu.

Podałem swój adres, numer telefonu i wróciłem do pani Herz. Przestała na chwilę dygotać i siedziała dziwnie spokojna, jakby zamyślona.

- Pani Herz... - odezwałem się.

Odwróciła głowę w moją stronę. Jej twarz była stara, nieruchoma, zeszywniała. Wodniste oczy wpatrywały się we mnie.

- De boot, mijnheer - powiedziała grubym głosem. - De boot.

- Pani Herz, proszę, nie ma się czym matwić. Karetka jest w drodze. Niech pani tylko siedzi i stara się uspokoić.

Pani Herz chwyciła poręcz fotela i podniosła się. Z trudem utrzymywała równowagę, jak gdyby chodziła po lodzie. W końcu jednak wyprostowała się i stanęła z opuszczonymi po bokach rękami, wyższa i silniejsza, niż ją kiedykolwiek widziałem.

- Pani Herz, chyba będzie lepiej...

Zignorowała mnie i zaczęła sunąć po dywanie. Nigdy nie widziałem, by ktoś poruszał się w ten sposób. Jej stopy jakby ślizgały się po podłodze, pozornie wcale jej nie dotykając. Bezgłośnie dotarła do drzwi i otworzyła je.

- Naprawdę będzie lepiej, jeśli pani zaczeka - stwierdziłem bez przekonania. Prawdę mówiąc zacząłem odczuwać nieprzyjemne dreszcze i zupełnie nie wiedziałem, co mam mówić. Zdawało się, że mnie nie słyszy, a w każdym razie nie zwraca na mnie uwagi.

- De boot - oznajmiła chrapliwie, po czym wysliznęła się za drzwi, na korytarz.

Naturalnie pobiegłem za nią. To, co zobaczyłem było tak zaskakujące i niesamowite, że niemal pożałowałem swojej decyzji. W jednej chwili stała tuż za drzwiami, a ja wyciągnąłem rękę, by chwycić ją za ramię, w następnej sunęła z dala ode mnie długim jasnym korytarzem tak szybko, jakby biegła. Ale wcale nie biegła. Oddalała się ode mnie wcale nie poruszając nogami.

- Pani Herz! - krzyknąłem, lecz z gardła wydobył mi się tylko zduszony, obcy głos. Poczułem narastającą gdzieś wewnątrz mnie falę strachu, jakbym nagle zobaczył wśród nocy białą twarz za oknem.

Odwróciła się raz, na końcu korytarza. Stała u szczytu schodów. Zdawało się, że próbuje skinąć na mnie czy podnieść rękę - czy może raczej, że coś od siebie odpycha. Potem zniknęła na schodach, a ja słyszałem tylko, jak jej sztywne, starcze ciało spada obijając się o stopnie.

Pognałem za nią. Drzwi otwierały się na całym piętrze ukazując niespokojne i zaniepokojone twarze.

Spojrzałem w dół. Pani Herz leżała tam zwinięta, a jej nogi wystawały spod ciała pod dziwnymi kątami. Zbiegłem, przyklęknąłem przy niej i chwyciłem sztywną jak kij rękę. Nic, ani śladu pulsu. Uniosłem jej głowę. Z ust wypłynęła struga gęstej krwi.

- Nic jej nie jest? - spytał jeden z moich sąsiadów stając na szczycie schodów. - Co się stało?

- Spadła - odparłem. - Ma siedemdziesiąt pięć lat. Nie chodzi zbyt dobrze. Chyba nie żyje. Wezwałem już karetkę.

- O Boże - jęknęła jakaś kobieta. - Nie mogę patrzeć na śmierć.

Wstałem zdzierając z siebie zieloną szatę. Nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Zdawało mi się, że zaraz się obudzę, że ciągle będzie wczesny ranek, a ja będę leżał w łóżku w swojej turkusowej, jedwabnej piżamie. Spojrzałem na panią Herz, pomarszczoną, starą i martwą, jak biały balon, z którego uszło powietrze. Fala mdłości zaczęła wzbierać mi w gardle.

Porucznik Marino z Wydziału Zabójstw był niezwykle wyrozumiały. Okazało się, że pani Herz zostawiła mi coś w testamencie, lecz nie dość, bym miał powód do spychania jej ze schodów.

Detektyw siedział wyprostowany w moim fotelu ubrany w sztywny, czarny prochowiec, a jego czarne, krótko ostrzyżone włosy sterczały na wszystkie strony. Starał się odczytać coś z pogniecionego świstka papieru.

- Mam tu napisane, że dziedziczy pan dwie wiktoriańskie wazy - pociągnął nosem.  
- Ktoś od nas właśnie sprawdza ich wartość, ale nie wygląda pan na typa, który morduje starszą panią dla dwóch waz.

Wzruszyłem ramionami.

- Takie starsze panie są dla mnie jak żyła złota. Nie zrzuca się żyły złota ze



schodów.

Porucznik Marino podniósł głowę. Miał szeroką, płaską twarz i wyglądał jak śpiewak operowy, któremu się nie powiodło. W zamyśleniu przeczesał palcami włosy i rozejrzał się po pokoju.

- Jest pan czymś w rodzaju wróżki, co?

- Zgadza się. Karty Tarota, fusy herbaty i tego typu sprawy. Większość moich klientek to starsze panie, takie jak pani Herz.

Pokiwał głową przygryzając wargę.

- Jasne. Mówił pan, że zachowywała się nienaturalnie przez cały czas?

- Tak. To znaczy, kiedy tylko weszła wydało mi się, że coś i z nią jest nie w porządku. Była bardzo stara i słaba, to fakt, zwykle jednak poświęcała chwilę, żeby ze mną porozmawiać i opowiedzieć, co u niej słyhać. Tym razem weszła, usiadła i nie powiedziała ani słowa. Porucznik Marino wpatrywał się w swój świstek.

- Czy zdążył jej pan powróżyc? Chodzi mi o to, że może był jakiś powód, który skłoniłby ją do samobójstwa. Jakies złe wiadomości w fusach od herbaty?

- Niemożliwe. Nie rozłożyłem nawet kart. Zdążyła tylko wejść i usiąść i zaraz zaczęła bredzić o butach.

- O butach? Co pan ma na myśli?

- Sam nie wiem. Powtarzała bez przerwy "boot, boot". Nie mam pojęcia, co to znaczyło.

- Boot? - porucznik Marino zmarszczył czoło. - W jaki sposób to mówiła? Czy nie brzmiało to jak nazwisko? Może próbowała powiedzieć coś o człowieku nazwiskiem Boot?

Zamyśliłem się i pociągnąłem za nos.

- Chyba nie. To nie brzmiało jak nazwisko. Ale wydawała się tym bardzo zaniepokojona.

- Zaniepokojona? - zainteresował się porucznik Marino. - Jak pan to rozumie?

- Właściwie trudno wytłumaczyć. Weszła, usiadła, zaczęła z tymi swoimi „bootami”, a potem wyszła i odbiegła korytarzem. Próbowałem ją zatrzymać, ale była dla mnie za szybka. Pomachała trochę rękami i spadła na sam dół schodów.

Detektyw zrobił kilka notatek, po czym powiedział:

- Odbiegła?

- Proszę nie pytać, jak to możliwe - rozłożyłem ręce. - Sam nie rozumiem. Ale biegła korytarzem jak piętnastolatka. Porucznik Marino zmarszczył brwi.

- Panie Erskine, ta martwa kobieta miała siedemdziesiąt pięć lat. Chodziła o lasce. A pan próbuje mi wmówić, że biegła korytarzem? Biegła?

- To właśnie powiedziałem.

- Panie Erskine, czy nie sądzi pan, że zanadto puszcza pan cugli swojej wyobraźni? Nie wierzę, żeby pan ją zabił, ale też nie mogę uwierzyć, żeby biegła.

Spuściłem oczy. Przypomniałem sobie, jak pani Herz wyśliznęła się z pokoju i jak później malała w perspektywie korytarza, jak gdyby jechała po szynach.

- Więc, szczerze mówiąc, ona niezupełnie biegła - odezwałem się.

- Więc co robiła? - indagował cierpliwie porucznik Marino. - Szła? Powłóczyła nogami?

- Nie, nic z tych rzeczy. Ona sunęła.

Porucznik Marino właśnie miał to zanotować, lecz nagle jego dłoń znieruchomiała pół centymetra nad papierem. Chrząknął, skrzywił się i wcisnął zmiętą kartkę do kieszeni płaszcza. Potem wstał i podszedł do mnie z pobłażliwym uśmiechem na twarzy.

- Panie Erskine, widok czyjejś śmierci zawsze wywołuje szok. Zwykle z pamięcią dzieją się potem dziwne rzeczy. Zresztą, pewnie wie pan o tym, bo pracujemy w podobnym fachu. Może wydaje się panu, że widział pan coś, co w istocie wyglądało całkiem inaczej.

- Tak - zgodziłem się tępo. - To możliwe.

Położył mi na ramieniu swą tłustą dłoń i uścisnął przyjaźnie.

- Będziemy musieli przeprowadzić sekcję zwłok, by ustalić przyczynę śmierci, ale nie sądzę, by sprawa posunęła się dalej. Może przyślę tu kogoś, by zadał panu jeszcze kilka pytań, lecz poza tym jest pan czysty. Prosiłbym, żeby nie opuszczał pan miasta przez dzień czy dwa, lecz niech pan nie uważa tego za aresztowanie ani nic takiego.

- W porządku poruczniku, rozumiem - pokiwałem głową. - Dziękuję, że zjawił się

pan tak szybko.

- Nie ma o czym mówić. Przykro mi, że pańska klientka... wie pan, w taki właśnie sposób przeniosła się w zaświaty. Udało mi się blado uśmiechnąć.

- Na pewno będzie w kontakcie - stwierdziłem. - Nie można powstrzymać tak dobrego ducha.

Jestem pewny, że porucznik Marino uznał mnie za kompletnie skończonego wariata. Nacisnął na swoje nastroszone włosy kapelusz i ruszył do drzwi.

- Na razie, panie Erskine.

Kiedy wyszedł, zastanawiałem się przez chwilę, po czym podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer Szpitala Sióstr Jeruzalem.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Chciałbym dowiedzieć się o stan waszej pacjentki, panny Karen Tandy. Dziś rano miała operację.

- Proszę zaczekać. Czy jest pan krewnym?

- Tak -- skłamałem. - Jestem jej wujem. Właśnie przyjechałem do miasta i dowiedziałem się, że jest chora.

- Jedną chwileczkę.

Czekałem bębniąc palcami po stole. Ze słuchawki dobiegały odgłosy szpitala, słyszałem czyjeś wołanie: "doktor Hughes, proszę doktora Hughesa". Po paru minutach inny głos polecił: "Proszę czekać" i połączono mnie z innym zestawem dźwięków.

W końcu jakaś kobieta powiedziała przez nos:

- W czym mogę pomóc? Jak rozumiem, chce się pan dowiedzieć o stan zdrowia panny Karen Tandy.

- Zgadza się. Jestem jej wujem. Słyszałem, że rano miała operację i chciałem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Przykro mi. Doktor Hughes przekazał wiadomość, że nastąpiły pewne niewielkie komplikacje. Panna Tandy wciąż jest pod narkozą. Sprowadzamy innego specjalistę, żeby ją zbadał.

- Komplikacje? - zdziwiłem się. - Jakie komplikacje?

- Przepraszam, ale nie mogę udzielać takich informacji przez telefon. Gdyby

zechciał pan przyjść, umówię pana z doktorem Hughesem.

- Hmm... Nie, proszę sobie nie robić kłopotu. Zadzwoń może jutro i dowiem się, co z nią jest.

- Proszę bardzo.

Odłożyłem słuchawkę. Może nie powinienem się denerwować, ale łatwo to powiedzieć. Dziwne zachowanie kart zeszłej nocy, niepokojący wypadek z panią Herz, nie mówiąc już o niezwykłych snach Karen Tandy i jej ciotki - wszystko to sprawiało, że czułem się dość niepewnie. A jeśli naprawdę coś tam było, coś niesamowitego, potężnego i nieprzyjaznego?

Wróciłem do stolika, by wyjąć list i rysunki Karen Tandy.

Linia brzegowa, statek i flaga. Trzy szkice z pogranicza nocy. Trzy wymaginowane wskazówki do rozwiązania problemu, którego może wcale nie ma. Wsadziłem je do kieszeni, złapałem kluczyki od samochodu i ruszyłem sprawdzić wszystko w bibliotece.

Dotarłem tam tuż przed zamknięciem i wepchnąłem swojego Cougara na maleńki parking, w kałużę topniejącego śniegu. Niebo miało ciemną barwę zaśniedziałej miedzi, co zwiastowało, że śniegu będzie jeszcze więcej. Mroźny wiatr przenikał przez mój płaszcz w jodełkę. Zamknąłem wóz i poprzez głębokie po kostki kałuże ruszyłem ku ciepłym, drewnianym drzwiom biblioteki.

Baba za biurkiem przypominała raczej emerytowaną bur- . delmamę niż bibliotekarza. Miała na sobie obcisły, czerwony sweter i czarne, utapirowane włosy, a jej zębów nie powstydziliby się koń.

- Szukam statków - oznajmiłem tupiąc, by strącić z butów śnieg.

- Czemu nie próbuje pan w dokach? - wyszczerzyła zęby. Tutaj mamy tylko książki.

- Ha, ha - odparłem zimno. - Czy teraz zechce mi pani powiedzieć, gdzie są statki?

- Na górze, piąty czy szósty regał. Pod ST. To od "psst", żeby było cicho. Patrzyłem na nią z lekkim zdziwieniem.

- Czy nie myślała pani kiedyś - spytałem - żeby przenieść się do wodewilu?

- Wodewil jest głupi - warknęła.

- Tak jak pani dowcipy - stwierdziłem i ruszyłem szukać statków.

Coś wam powiem. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że jest tyle rodzajów różnych statków. Sądziłem, że istnieją dwie czy trzy odmiany - małe statki, duże statki i lotniskowce. Kiedy jednak przerzuciłem piętnaście książek poświęconych inżynierii morskiej, zacząłem dostrzegać ogrom zadania, jakie przed sobą postawiłem. Znalazłem arabskie dhow, szebeki, brygi i barkentyny, fregaty i korwety, niszczyciele i szalupy, dinghy i korakle, barki i holowniki i co tylko chcecie. A co drugi wyglądał dokładnie tak, jak śmieszny mały szkic Karen Tandy.

Trafiłem na ten, o który mi chodziło, niemal przypadkiem. Wyciągnięty właśnie stos sześciu czy siedmiu książek upadł mi z hukiem na podłogę. Starszy facet w okularach, studiujący gruby tom o stawonogach (patrz także pod ST) obejrzał się i wbił mnie wzrokiem w ziemię.

- Przepraszam bardzo - powiedziałem ze skruchą i zebrałem rozsypane książki. I znalazłem, przed czubkiem nosa. Identyczny statek. Dla mnie wszystkie stare żaglowce były "galeonami" i wyglądały tak samo, lecz w tym było coś niezwykłego - kształt kadłuba, sposób ustawienia masztów. Bez wątplenia był to statek ze snu Karen Tandy.

Podpis pod rysunkiem informował, że jest to "holenderski okręt wojenny, okres ok. 1650 r."

Dziwny dreszcz przebiegł mi po karku. Holenderski. A co takiego mówiła stara pani Herz w moim mieszkaniu? "De boot, mijnheer, de boot". Wsadziłem statek pod pachę i zszedłem do działu języków obcych. Znalazłem słownik holendersko-angielski, przerzuciłem kilka stron. I oto był. De boot. Statek. W zasadzie jestem rozsądny i logiczny jak każdy, ale to było coś więcej niż przypadkowa zbieżność. Karen Tandy miała koszmarne sny o holenderskim okręcie z siedemnastego wieku, a potem pani Herz trafiły się halucynacje, czy Bóg wie co, na ten sam temat. Nie mam pojęcia jak ani dlaczego, lecz wydawało mi się, że skoro panią Herz zabiło to opętanie, to i z Karen Tandy może się zdarzyć to samo. Wróciłem i wypiąłem sobie kartę książki o statkach. Stara dziwka z końskimi zębami i czarnymi włosami uśmiechnęła się sardonicznie, od czego nie poczułem się lepiej. Taka kobieta sama z

siebie może sprowadzić na człowieka senne koszmary, bez żadnej pomocy tajemniczych żaglowców z dawnych wieków.

- Przyjemnej lektury - powiedziała, a ja wykrzywiłem się do niej.

Na zewnątrz znalazłem budkę telefoniczną, ale musiałem czekać na śniegu i wietrze, aż niska, gruba baba dogada się ze swoją chorą siostrą z Minnesoty. Rozmowa należała do tych, co gonią własny ogon i kiedy człowiek już myśli, że to koniec, zaczynają się od początku. W końcu zastukałem w szybę. Baba spojrzała na mnie wrogo, ale zakończyła epicki dialog.

Wszedłem do budki, wcisnąłem dziesiątkę, wybrałem numer Szpitala Sióstr Jeruzalem i poprosiłem doktora Hughesa. Czekałem cztery czy pięć minut przytupując, by wymusić krążenie krwi w zmarzniętych stopach.

- Hughes, słucham - odezwał się wreszcie lekarz.

- Nie zna mnie pan, doktorze - powiedziałem. - Nazywam się Harry Erskine i jestem jasnowidzem.

- Czym?

- Jasnowidzem. Wie pan, wróżby, przepowiednie i tego typu sprawy.

- Przykro mi, panie Erskine, ale...

- Nie, proszę - przerwałem. - Niech pan posłucha przez chwilę. Wczoraj odwiedziła mnie pańska pacjentka, Karen Tandy.

- Doprawdy?

- Doktorze Hughes, panna Tandy powiedziała, że od pojawienia się tego guza ma powtarzające się koszarne sny.

- To częsty objaw - odparł niecierpliwie Hughes. - Wielu moich pacjentów podświadomie niepokoi się swym stanem.

- To nie wszystko, doktorze. Ten koszmar był bardzo szczegółowy i wyraźny. Śniła o statku. I nie był to jakiś tam stary statek. Narysowała go dla mnie i okazało się, że chodzi o szczególny żaglowiec. O holenderski okręt wojenny z okresu około 1650 roku.

- Panie Erskine - rzekł Hughes. - Jestem bardzo zajęty i nie wiem jak mógłbym...

- Proszę, panie doktorze, niech mnie pan wysłucha. Dziś rano odwiedziła mnie

inna klientka i zaczęła mówić po hollen-dersku o statku. Ta kobieta nie poznałaby Holendra, choćby przyszedł do niej w drewniakach i wręczył bukiet tulipanów.

Zrobiła się niespokojna, potem wpadła w histerię, a w końcu miała wypadek.

- Jaki wypadek?

- Spadła ze schodów. Miała siedemdziesiąt pięć lat i nie przeżyła tego.

W słuchawce zapadła cisza.

- Doktorze Hughes! - zawołałem. - Jest pan tam jeszcze?

- Jestem. Panie Erskine, dlaczego mi pan to opowiada?

- Ponieważ uważam, że jest to istotne dla Karen Tandy, doktorze. Rano powiedziano mi, że wystąpiły jakieś komplikacje. Ten sen zabił już jedną z moich klientek. Boję się, żeby się to nie powtórzyło.

Znów cisza, tym razem dłuższa.

- Panie Erskine - odezwał się wreszcie Hughes. - Nie mówię, że rozumiem to co mi pan próbuje zasugerować, ale chyba ma pan jakąś teorię na temat stanu mojej pacjentki. Czy dałby się pan namówić na wizytę w szpitalu? Chciałbym z panem porozmawiać. To sprzeczne z przepisami i pewnie pozbawione sensu, lecz wyznam panu, że w przypadku Karen Tandy znaleźliśmy się w absolutnym impasie. Każda sugestia, nawet najdrobniejsza, może nam pomóc zrozumieć, co jej właściwie dolega.

- Teraz mówi pan rozsądnie - stwierdziłem. - Proszę mi dać piętnaście minut. Będę w szpitalu. Mam pytać o pana?

- Tak - odparł zmęczonym głosem Hughes. - Niech pan spyta o mnie.

Zanim dotarłem na miejsce błoto na ulicach zaczęło znów zamarzać, a nawierzchnia zrobiła się zdradziecka i śliska. Zaparkowałem w podziemnym garażu szpitala i wjechałem windą do hallu. Za biurkiem siedziała dziewczyna z uśmiechem jak z reklam pasty do zębów.

- Witam - powiedziała. - Niewiarygodny Erskine, prawda?

- Zgadza się. Jestem umówiony z doktorem Hughesem. Zadzwoiła do jego gabinetu, po czym skierowała mnie na osiemnaste piętro. Wjechałem cichą, ogrzewaną windą i wyszedłem na wyłożony grubym dywanem korytarz. Tabliczka nad drzwiami przede mną głosiła: "Dr J. H. Hughes". Zapukałem.

Dr Hughes był niewysokim mężczyzną, wyraźnie zmęczonym i wyglądającym tak, jakby gwałtownie potrzebował weekendu w górach.

- Pan Erskine? - zapytał, lekko ściskając mi dłoń. --Proszę usiąść. Kawy? Jeśli pan woli, to mam też coś mocniejszego.

- Z przyjemnością wypiję kawę.

Poprosił sekretarkę, by zrobiła kawę, po czym usiadł w wielkim, czarnym, obrotowym fotelu i splótł ręce na karku.

- Zajmuję się guzami przez wiele lat, panie Erskine i widziałem wszystkie ich rodzaje. Podobno jestem ekspertem w tej dziedzinie. Ale powiem panu szczerze, że nie spotkałem się jeszcze z przypadkiem' takim, jak Karen Tandy. Jestem zupełnie bezradny.

Zapaliłem papierosa.

- Co w nim jest tak niezwykłego?

- Ten guz nie jest zwykłym guzem. Nie wchodząc w krwawe szczegóły powiem, że brak mu typowych cech tkanki nowotworowej. Karen Tandy ma coś, co jest szybko rosnącą naroślą zbudowaną ze skóry i chrząstek. Właściwie można powiedzieć, że jest prawie jak embrion.

- Chce pan powiedzieć... dziecko? Że ona ma dziecko - na szyi? Nie bardzo rozumiem.

- Ja też nie, panie Erskine - Hughes wzruszył ramionami. - Istnieją tysiące opisanych przypadków embrionów rosnących w niewłaściwych miejscach. W jajowodzie, na przykład, albo w różnych przydatkach macicy. Nie znam jednak przypadku embriona jakiegokolwiek typu rozwijającego się w obszarze szyjnym, a już z pewnością nie było przypadku embriona jakiegokolwiek typu rozwijającego się tak szybko jak ten. l

- Czy nie operował jej pan dziś rano? Zdawało mi się, że F mieliście usunąć tego guza. Hughes pokręcił głową.

- Taki mieliśmy zamiar. Mieliśmy ją na stole i wszystko było przygotowane do wycięcia. Gdy tylko jednak chirurg, doktor Snaith, zrobił pierwsze nacięcie, jej tętno i oddech załamały się tak drastycznie, że trzeba było przerwać. Jeszcze dwie, trzy



minuty i byłoby po niej. Musieliśmy się zadowolić zdjęciami rentgenowskimi.

- Dlaczego tak się stało? - spytałem. - To znaczy, dlaczego było z nią tak źle?

- Nie wiem - odparł Hughes. - Robimy jej teraz serię badań i może uzyskamy wyjaśnienie. Nigdy jednak nie spotkałem się z czymś takim i jestem tak samo zdumiony jak wszyscy.

Sekretarka wniosła dwie filiżanki kawy i parę herbatników. Przez chwilę popijaliśmy w milczeniu. Wreszcie zadałem pytanie. Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

- Doktorze Hughes - powiedziałem. - Czy wierzy pan w czarną magię? Spojrzał na mnie w zamyśleniu.

- Nie - stwierdził. - Nie wierzę.

- Ja też nie - zapewniłem go. - Ale jest w tej sprawie coś, co wydaje mi się absolutnie niesamowite. Widzi pan, ciotka Karen Tandy także jest moją klientką i miała sen zupełnie podobny do Karen. Nie tak wyraźny, nie tak przerażający, lecz z pewnością tego samego typu.

- Tak? - zainteresował się Hughes. - Jakie wyciąga pan z tego wnioski, jako jasnowidz?

- Wyznam panu tu i teraz, doktorze, że nie jestem prawdziwym jasnowidzem - powiedziałem spuszczać wzrok. - To mój zawód, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. Z reguły jestem mocno sceptyczny wobec duchów i okultyzmu. Wydaje mi się jednak, że to jakiś wpływ z zewnątrz jest przyczyną stanu Karen Tandy. Innymi słowy, coś sprawia, że ona śni te sny. Może to samo wpływa na guz i stan jej zdrowia.

- Próbuje mnie pan przekonać, że jest opętana? - spytał podejrzliwie Hughes. - Jak w "Egzorcysty" czy czymś takim?

- Nie, nie przypuszczam. Nie wierzę w takie demony. Wierzę natomiast, że osoba może opanować inną osobę za pośrednictwem umysłu. I wydaje mi się, że ktoś lub coś zdominowało Karen Tandy. Ktoś transmituje do niej mentalny sygnał, sygnał wystarczająco silny, by zachorowała.

- A co z jej ciotką? I z tą starszą damą, pańską klientką - tą, która dziś rano spadła ze schodów? Pokręciłem głową.

- Nie sądzę, by ten ktoś naprawdę chciał je skrzywdzić. Ale zawsze, gdy wysyła się silny sygnał na dużą odległość, może go odebrać każdy odbiornik, jaki znajdzie się na drodze. Pani Karmann i pani Herz były blisko Karen Tandy lub miejsc, w których bywała. Odebrały więc echo głównej transmisji.

Hughes przetarł oczy i spojrzał na mnie z uwagą.

- No dobrze. Powiedzmy, że ktoś wysyła sygnał do Karen Tandy w celu spowodowania jej choroby. Kto to jest i dlaczego to robi?

- Ma pan taką samą szansę odgadnięcia jak ja. Ale może moglibyśmy coś osiągnąć, gdybyśmy porozmawiali z samą Karen?

Hughes rozłożył ręce.

- Jest w fatalnym stanie. Państwo Tandy mają przylecieć dziś wieczorem na wypadek, gdyby nie udało nam się wyciągnąć z tego ich córki. Ale jej szansę nie pogorszą się chyba, jeśli spróbujemy.

Podniósł słuchawkę i porozmawiał chwilę z sekretarką. Zadzwoiła po paru minutach informując, że załatwiła nam wizytę u Karen Tandy.

- Będzie pan musiał założyć maskę chirurgiczną, panie Erskine - uprzedził Hughes. - Jest bardzo osłabiona i nie chcemy jej narażać na dodatkowe infekcje.

- Nie ma sprawy.

Zjechaliśmy na dziesiąte piętro i Hughes zaprowadził mnie j do szatni. Kiedy wkładaliśmy zielone chirurgiczne kostiumy i wiązaliśmy maski wyjaśnił, że będę musiał wyjść, jeżeli stan Karen Tandy pogorszy się choć minimalnie.

- Pozwalam panu ją zobaczyć tylko dlatego, że ma pan teorię, panie Erskine, a każdy kto ma teorię może nam pomóc.

Ostrzegam jednak, że sprawa jest nieoficjalna i wolałbym nie być zmuszony do wyjaśnień, co pan tu robi.

- Jasne - odparłem i ruszyłem za nim korytarzem.

Karen Tandy leżała w dużym, narożnym pokoju. Przez okna w dwóch ścianach widać było śnieg i noc. Same ściany miały kolor bladej, szpitalnej zieleni. W pokoju nie było kwiatów ani ozdób, z wyjątkiem małego obrazka przedstawiającego jesienny dzień w New Hampshire. Łóżko Karen obstawiono sprzętem chirurgicznym, do

prawego ramienia miała podłączoną kroplówkę. Leżała z zamkniętymi, podkrążonymi oczami, wyczerpana i blada jak jej poduszka. Z trudem rozpoznałem w niej tę samą dziewczynę, która poprzedniej nocy przyszła do mojego mieszkania.

Najbardziej szokujący był jednak jej guz. Nabrzmiął i rozrósł się wokół szyi, blady, wielki, pokryty siatką żył. Musiał być dwa razy większy niż wczoraj i dotykał już prawie ramion. Spojrzałem na Hughesa, a on tylko pokręcił głową.

Przysunąłem krzesło do łóżka i położyłem jej dłoń na ramieniu. Była bardzo zimna. Drgnęła i uchyliła powieki.

- Karen - powiedziałem cicho. - To ja, Harry Erskine.

- Cześć - szepnęła. - Cześć, Harry Erskine. Nachyliłem się ku niej.

- Karen - powiedziałem. - Znalazłem ten statek. Poszedłem do biblioteki, poszukałem trochę i jest. Spojrzała na mnie.

- Znalazłeś?

- To holenderski statek, Karen. Zbudowany około 1650 roku.

- Holenderski? - spytała słabym głosem. - Nie wiem, co to może znaczyć.

- Jesteś pewna, Karen? Czy nigdy nie spotkałaś takiego statku?

Próbowała pokręcić głową, lecz przeszkodził jej nabrzmiący guz wyrastający z karku niby obrzydliwy, blady owoc. Hughes położył mi rękę na ramieniu.

- Nie sądzę, żeby ta rozmowa przyniosła jakieś rezultaty, panie Erskine. Chyba powinniśmy już wyjść.

Mocniej ścisnąłem dłoń dziewczyny.

- Karen - spytałem - a może de boot? Co powiesz na de boot, mijnheer?

- De... co? - szepnęła.

- De boot, Karen. De boot.

Zamknęła oczy i myślałem, że znowu zasnęła, ale wtedy nagle drgnęła i poruszyła się na łóżku. Nabrzmiący, biały guz zafalował, jak gdyby w środku siedziało coś żywego.

- Chryste - odezwał się Hughes. - Panie Erskine, lepiej będzie...

- Aaaahhh - jęknęła Karen. - Aaaahhhhh. Zacisnęła palce na brzegu kołdry i próbowała odchylić głowę do tyłu. Guz poruszył się znowu, jakby chwycił ją za kark i

ściskał.

- AAAAAAAAAAAAAHHHHHHHHHH! - krzyczała. - DE BOOOTTTTT!

Przetoczyła oczami, które przez jedną niezwykłą chwilę wyglądały jak oczy kogoś innego - przekrwione, dzikie i dalekie. Lecz Hughes dzwonił już na pielęgniarki i przygotowywał strzykawkę ze środkiem uspokajającym. Musiałem wyjść z pokoju na korytarz. Stałem tam słysząc, jak krzyczy i rzuca się na łóżku. Czułem się samotny i bezradny, jak chyba jeszcze nigdy w całym moim życiu.

## ROZDZIAŁ 3

### POPRZEZ CIENIE

Kilka minut później Hughes wyszedł na korytarz i z wyrazem rezygnacji na twarzy ściągnął rękawiczki i maskę. Podszedłem do niego natychmiast.

- Przykro mi - powiedziałem. - Nie miałem pojęcia, że taki będzie rezultat. Potarł dłonią policzek.

- To nie pańska wina. Ja też nie wiedziałem. Podałem jej lekki środek uspokajający. Powinien pomóc. Wróciliśmy razem do szatni, żeby zdjąć fartuchy.

- Co mnie martwi, panie Erskine - odezwał się Hughes - to fakt, że tak gwałtownie zareagowała na pańskie słowa. Przedtem było z nią wszystko w porządku, to znaczy tak dobrze, jak można oczekiwać w jej stanie. Zdaje się, że coś pan rozbudził.

- Ma pan rację - zgodziłem się. - Ale co to było? Dlaczego normalną, inteligentną dziewczynę, jaką jest Karen Tandy, tak irytuje stary holenderski galeon?

Hughes otworzył drzwi i przepuścił mnie pierwszego do windy.

- Mnie proszę nie pytać - odparł. - To pan jest podobno specjalistą od metafizyki.

Przycisnął guzik osiemnastego piętra.

- A co wykazał rentgen? - spytałem. - Te zdjęcia, które robiliście w sali operacyjnej? :

- Nic wyraźnego - odpowiedział. - Kiedy mówiłem, że w tym guzie umiejscowiony jest embrion, powinienem powiedzieć raczej, że to coś podobnego do embriona, nie dokładnie dziecko w przyjętym sensie tego słowa. Jest to narośl z ciała i kości, która zdaje się rozrastać według systematycznego wzorca, tak samo jak embrion. Nie wiem jednak, czy jest to ludzki zarodek. Wezwałem specjalistę-ginekologa, ale dotrze tu dopiero jutro.

- A jeżeli jutro będzie za późno? Ona wygląda... wygląda, jakby miała umrzeć.

Hughes zamrugał w ostrym świetle lampy.

- To prawda. Chciałbym móc coś na to poradzić.

Winda stanęła na osiemnastym piętrze. Hughes zaprowadził mnie do gabinetu, podszedł prosto do szafki kartotecznej, wyciągnął butelkę whisky i nalał dwie duże porcje. Usiedliśmy i wypiliśmy w milczeniu.

- Coś panu powiem, panie Erskine - odezwał się po chwili. - To nonsens, a ja jestem wariatem, ale wierzę, że ten koszmarny sen łączy się jakoś z jej guzem.

- W jaki sposób?

- Cóż, wydają się blisko związane ze sobą. Wy, spirytyści. powiedzielibyście, że koszmar jest przyczyną powstania guza. Ja sądzę raczej, że jest na odwrót, że guz wywołuje te sny, Ktokolwiek ma rację, wydaje mi się, że jeśli dowiemy się czegoś więcej o śnie, to lepiej poznamy sytuację Karen Tandy, i Przełknąłem łyk bourbona.

- Zrobiłem co mogłem, doktorze. Zidentyfikowałem statek, który powoduje u niej tak ostrą reakcję. Co dalej - nie wiem. Mówiłem panu - gdy idzie o prawdziwy okultyzm, jestem raczej szarlatanem. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Hughes zastanowił się.

- A gdyby zrobił pan to, co ja? Gdyby poszukał pan pomocy eksperta?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- No cóż, z pewnością nie wszyscy jasnowidze są... szarlatanami, jak pan. Niektórzy muszą mieć rzeczywiste zdolności, umożliwiające badanie takich rzeczy.

Odstawiłem szklanę.

- Pan mówi poważnie, panie doktorze, prawda? Wierzy pan, że dzieje się tu coś mającego związek z okultyzmem?

- Tego nie powiedziałem, panie Erskine - pokręcił głową Hughes. - Chcę tylko wykorzystać wszystkie możliwości. Już dawno temu nauczyłem się, że w medycynie pozostawienie jakiegokolwiek ścieżki niezbadanej może okazać się fatalne. Nie wolno żywić uprzedzeń, gdy chodzi o ludzkie życie.

- Więc co pan sugeruje?

- Właśnie to, panie Erskine. Jeśli chciałby pan uchronić Karen Tandy przed tym, co powoduje jej chorobę, niech pan znajdzie prawdziwego jasnowidza, który powie nam, o co chodzi z tym cholernym żaglowcem.

Zastanowiłem się chwilę, po czym kiwnąłem głową. W końcu nie miałem nic do stracenia. Przynajmniej nie wydawało mi się, żebym mógł cokolwiek stracić. A kto

wie, może w rezultacie zdobędę nieco prawdziwej wiedzy o okultyzmie.

- Dobra - oświadczyłem przelżykając resztę whisky. -

Biorę się do roboty.

Wróciłem do domu i od razu przyrządziłem sobie cztery grzanki z serem. Nie jadłem nic przez cały dzień i już mnie mdliło. Otworzyłem puszkę Schlitza i przeniosłem jedzenie do pokoju. Rozglądałem się wciąż mimowolnie by sprawdzić, czy zły duch, który opętał panią Herz wciąż się gdzieś nie czai. Nie znalazłem jednak żadnych śladów. Zresztą, nie wierzę, by duchy zostawiały ślady.

Żując grzankę wykręciłem numer mojej przyjaciółki, Amelii Crusoe. Prowadziła malutki sklepik z różnymi świecidełkami w Village i wiedziałem, że zna się na spirytyzmie i wszystkich tego typu sprawach. Była wysoką, smagłą szatynką o dużych oczach i mieszkała z brodatym facetem nazwiskiem MacArthur, który zarabiał na życie wykonując imienne tabliczki ubezpieczeń społecznych. To właśnie on odebrał telefon.

- Kto mówi? - zapytał gderliwym tonem.

- Harry Erskine. Chciałbym pogadać z Amelią. To dosyć pilne.

- Niewiarygodny Erskine! - zawołał. - Jak tam interesy w dochodowej branży naciągania starszych pań?

- Całkiem nieźle - odparłem. - A co słyhać w przemyśle grawerskim?

- Jakoś leci. Nie jest to może najbardziej satysfakcjonująca kariera, ale pozwala zarobić na chleb i coś nadto. Zaczekaj, jest już Amelia.

Amelia odezwała się swym zwykłym matowym głosem.

- Harry? To naprawdę niespodzianka.

- Niestety, Amelio, chodzi o interesy. Pomyślałem, że może będziesz mogła mi pomóc.

- Interesy? Od kiedy to zajmujesz się interesami?

- Zostaw tę ironię, Amelio. To ważne. Mam klientkę, która jest bardzo chora, naprawdę bardzo. Miewa koszmarne sny. Rozmawiałem z lekarzem i on sądzi, że to może mieć jakiś związek ze spirytyzmem.

- Lekarz? - gwizdnęła zdumiona. - Nie wiedziałam, że lekarze wierzą w duchy.

- Chyba nie wierzą - wyjaśniłem. - Są po prostu zupełnie bezradni i próbują

wszystkiego, co mogłoby ją uratować. Posłuchaj, Amelio, szukam kontaktu z kimś, kto naprawdę zna się na robocie. Potrzebny mi prawdziwy jasnowidz i to i dobry. Znasz kogoś takiego?

- To dość trudna sprawa. Widzisz, Harry, są setki jasnowidzów, lecz większość z nich jest mniej więcej tak samo dobra jak ty. A to oznacza, nie obraź się, że są do niczego.

- Nie obraziłem się. Znam swoje możliwości.

Amelia przez dłuższą chwilę hmmała i ahała przeglądając swój notes, lecz po pięciu minutach poszukiwań nadal nie mogła mi podać nazwiska. W końcu dała spokój.

- Nie mogę ci pomóc, Harry. Niektórzy z tych facetów nieźle sobie radzą z wróżbami albo potrafią skontaktować cie z twoim dawno zmarłym wujem Henrym, ale nie warto powierzać im niczego poważniejszego.

Przygryzłem paznokiec.

- A ty? - spytałem.

- Ja? Nie jestem ekspertem. Wiem, że mam trochę zdolności jako medium, ale nie mam pojęcia o żadnych wielkich arkanach i całej reszcie.

- Amelio - oświadczyłem. - To musi wystarczyć. Przynajmniej jesteś prawdziwym medium, a to o wiele więcej niż ja. Chcę od ciebie tylko tyle, żebyś prześledziła sygnał, czy koszmar, czy cokolwiek to jest. Potrzebna mi jakaś wskazówka skąd właściwie pochodzi. Resztę mogę załatwić sam zwykłymi detektywistycznymi metodami.

- Harry, jestem zajęta - westchnęła. - Dziś wieczorem wychodzę na przyjęcie, jutro obiecałam zabrać do parku dzieciaki Janet, a w poniedziałek muszę otworzyć sklep. Naprawdę nie mam ani jednej wolnej chwili.

- Amelio, tu idzie o życie tej dziewczyny. W tej chwili leży w Szpitalu Sióstr Jeruzalem i umiera. Jeżeli nie dowiemy się, o co chodzi z tymi snami, to długo to nie potrwa.

- Harry, nie mogę przyjmować odpowiedzialności za każdą umierającą dziewczynę. To duże miasto. Ciągłe umierają jakieś dziewczyny.

Ścisnąłem słuchawkę w pięści, jak gdybym mógł tym zmusić Amelię do pomocy.



- Proszę cię. Tylko dziś wieczór. Tylko parę godzin. To wszystko, czego chcę.

Zakryła dłonią mikrofon i powiedziała coś do MacArthura. Przez chwilę burczeli coś i mruzcili, aż wreszcie odezwała się znowu.

- Dobrze, Harry, zgoda. Gdzie mam przyjechać? Spojrzałem na zegarek.

- Najpierw wpadnij do mnie. Potem chyba pójdziemy do mieszkania tej dziewczyny. Wydaje się, że tam właśnie biorą początek złe sny. Jej ciotka też je miewa, tylko nie takie straszne. Amelio, wiem, że to tylko słowa, ale dziękuję ci.

- Do zobaczenia - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zaraz potem zadzwoniłem do pani Karmann, ciotki Karen Tandy. Chyba siedziała przy telefonie czekając na wieści ze szpitala, bo odebrała niemal natychmiast.

- Pani Karmami? Mówi Harry Erskine.

- Pan Erskine? Przepraszam, myślałam, że to szpital.

- Proszę posłuchać, pani Karmann. Byłem dziś u Karen. Wciąż jest bardzo słaba. Lekarze sądzą, że jej szansę wzrosną, jeśli dowiedzą się o niej czegoś więcej.

- Nie rozumiem.

- Pamięta pani, jak dzwoniłem wczoraj, by spytać o pani sen. Ten o plaży. Karen była u mnie i mówiła, że miała podobne sny. Lekarze uważają, że może coś w nich być, jakaś wskazówka, która pomoże im wyleczyć Karen.

- Wciąż nie rozumiem, do czego pan zmierza. Dlaczego doktor Hughes sam do mnie nie zadzwonił?

- Nie zadzwonił, bo nie mógł - wyjaśniłem. - Jest specjalistą od medycyny i gdyby któryś z jego zwierzchników odkrył, że zaczyna mieszać się do spirytyzmu, zapewne z miejsca by go zwolnił. Ale chce wykorzystać wszystkie sposoby, by pomóc Karen wrócić do zdrowia, i dlatego musimy się dowiedzieć czegoś więcej o śnie, który obie miałyście.

Pani Karmann była skonfundowana i niespokojna.

- Ale jak chce pan to zrobić? Jak sen może wywołać guza?

- Pani Karmann, znane jest mnóstwo udokumentowanych powiązań pomiędzy umysłami ludzi a stanem ich zdrowia. Nie chcę przez to powiedzieć, że guz Karen ma podłoże psychosomatyczne, lecz niewykluczone, że jej związany z nim stan psychiczny powoduje trudności w leczeniu. Lekarze nie odważą się operować, dopóki

nie dowiedzą się, czym jest ten guz i dlaczego tak silnie na nią wpływa.

- Dobrze, panie Erskine - rzekła cicho. - Co chce pan zrobić?

- Skontaktowałem się już z moją znajomą, która jest swego rodzaju medium - wyjaśniłem. - Chciałbym przeprowadzić seans w pani mieszkaniu tak, by ta znajoma mogła sprawdzić, czy nie ma tam jakichś wibracji.

- Wibracji? Jakich wibracji?

- Jakichś, pani Karmann. Jakichkolwiek. Nie wiemy, czego szukamy, dopóki tego nie znajdziemy. Pani Karmann zastanawiała się przez chwilę.

- Panie Erskine - powiedziała w końcu - nie jestem przekonana. Jakoś nie wydaje się właściwe, by robić coś takiego, gdy Karen jest ciężko chora. Nie wiem, co powiedzieliby jej rodzice, gdyby się dowiedzieli.

- Pani Karmann - oświadczyłem. - Jeśli rodzice Karen dowiedzą się, że zrobiła pani wszystko co możliwe, by pomóc ich córce, to nie rozumiem, jak mogliby mieć pretensje. Proszę, pani Karmann. To bardzo ważne.

- No dobrze, panie Erskine. O której chciałby pan przyjść?

- Za jakąś godzinę. Dziękuję, pani Karmann, jest pani wspaniała. Westchnęła.

- To już wiem, panie Erskine. Mam tylko nadzieję, że pan wie co robi. Nie ona jedna.

Było wpół do jedenastej, gdy zebraliśmy się wszyscy u pani Karmann przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej. Mieszkanie było duże i ciepłe, urządzone bogato, lecz w anonimowym stylu - wielkie, tapicerowane fotele i taborety, ciężkie, czerwone zasłony z pluszu, zabytkowe stoliki i obrazy. Pachniało zapachem starszych dam.

Sama pani Karmann była delikatną kobietą o siwych, starannie ufryzowanych włosach, pomarszczonej, zapewne pięknej niegdyś twarzy, lubiącą długie do ziemi jedwabne suknie i szydełkowane chusty. Gdy weszliśmy, podała mi do potrzymania swą miękką, upierścienioną dłoń. Przedstawiłem Amelię i MacArthura.

- Modłę się tylko, by to, co robimy, nie pogorszyło sytuacji Karen - powiedziała.

MacArthur ze swą szeroką, brodatą twarzą i w wytartych dzinsach obszedł całe mieszkanie siadając na wszystkich krzesłach by sprawdzić, czy są miękkie. Amelia, ubrana w długi, wieczorowy kaftan z czerwonymi deseniami, pozostała spokojna i

zamknięta w sobie. Miała szczupłą, jakby nawiedzoną twarz, duże ciemne oczy i blade usta o pełnych wargach. Wyglądała tak, jakby lada moment miała się rozpłakać.

- Czy ma pani jakiś okrągły stolik? - spytała cicho.

- Można użyć stołu jadalnego - odparła pani Karmann.

- Uważajcie tylko, żeby go nie porysować. To prawdziwy antyk, wiśniowe drzewo.

Poprowadziła nas do jadalni. Stół był czarny i lśnił tym głębokim połyskiem, w którym można zatonać. Ponad nim wisiał szklany żyrandol z wisiorkami. Ciemnozielone tłoczone tapety pokrywały ściany pokoju, na których pyszniły się olejne płótna i lustra w pozłacanych ramach.

- Bardzo dobrze się nada - stwierdziła Amelia. - Myślę, że powinniśmy zacząć jak najszybciej.

Wszyscy czworo usiedliśmy wokół stołu i spojrzeliśmy na siebie z pewnym zakłopotaniem. MacArthur, choć przyzwyczajony do spirytystycznych działań Amelii, pozostał jednak sceptykiem.

- Jest tam kto? Jest tam kto? - powtarzał stale.

- Spokój - poleciła Amelia. - Harry, czy możesz zgasić światło?

Wstałem i przekręciłem wyłącznik. Pokój pogrążył się w całkowitej ciemności. Wymacałem swoje krzesło i na ślepo sięgnąłem po rękę pani Karmann i MacArthura. Z lewej strony dotykałem twardej, męskiej dłoni. Z prawej - miękkiej dłoni starej kobiety. Ciemność była tak nieprzenikniona, jakby ktoś przycisnął mi do twarzy czarną zasłonę.

- Proszę się skoncentrować - odezwała się Amelia. - Skupcie swe myśli na duchach, które przebywają w tym pokoju. Myślcie o ich duszach, wędrujących w eterze, o ich potrzebach i ich żalach. Spróbujcie wyobrazić sobie, jak unoszą się wokół nas podążając w swych duchowych misjach.

- Co do diabła, oznacza duchowa misja? - wtrącił się MacArthur. - Chcesz powiedzieć, że mają też upiornych misjonarzy?

- Uspokój się - rzekła cicho Amelia. - To będzie trudne. Nie wiemy nawet, z kim chcemy nawiązać kontakt. Staram się znaleźć przyjaznego ducha, który powie nam to, co chcemy wiedzieć.

Siedzieliśmy w napięciu stykając się dłońmi, gdy Amelia mruzczała długie zakłęcie.

Rozpaczliwie starałem się myśleć o duchach przepływających przez pokój, lecz nie jest to proste, gdy się tak naprawdę nie wierzy w duchy. Słyszałem obok oddech pani Karmann, a palce MacArthura zginały się i prostowały w mojej dłoni. Przynajmniej miał dość rozsądku, by się nie wycofać. Z tego, co słyszałem, po rozpoczęciu seansu przerwanie kręgu jest bardzo niebezpieczne.

- Wzywam każdego ducha, który może mi pomóc - zawołała Amelia. - Wzywam każdego ducha, który może mnie poprowadzić.

Stopniowo potrafiłem skupić się bardziej i bardziej, coraz łatwiej przychodziło mi uwierzyć, że naprawdę jest tu coś lub ktoś, jakaś wibracja, która nam odpowie. Czułem puls całego naszego kręgu przepływający przez moje dłonie, czułem jak łączymy się razem w pełny obwód ciał i umysłów. Jakby prąd przepływał raz po raz wokół stołu, przez nasze ręce, nasze mózgi i nasze ciała, wciąż zwiększając swa moc i natężenie.

- Kalem estradim, ikona purista - szepnęła Amelia. - Yenora, venora, optu luminari.

Ciemność pozostała nieprzenikniona i nie doznawałem niczego prócz tego niezwykłego uczucia przepływającego między nami, pulsującego poprzez nasze ręce.

- Spirita, Halestim, venora suim - tchnęła Amelia. - Kalem estradim, ikon purista venora.

Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś otworzył okno. Wyczułem jakby chłodny podmuch, owiewający mi kostki nóg. Nie był szczególnie silny, lecz bardzo wyraźny.

- Venora, venora, optu luminari - śpiewała cicho Amelia. - Yenora, venora, spirita halestim.

Zrozumienie, że widzę coś w ciemności nadeszło stopniowo i tak wolno, że z początku pomyślałem, że moje oczy przyzwyczyły się do mroku. Mgliste wśród czerni postacie Amelii, MacArthura i pani Karmann nabrały wyraźniejszych kształtów. Dostrzegałem ich lśniąco oczy. Błat stolika leżał pomiędzy nami niby bezdenne jezioro.

Potem spojrzałem w górę i dostrzegłem, że żyrandol jarzy się słabym, zielonkawym blaskiem. Włókna żarówek zdawały się pełgać i migotać prądem niczym świetliki latem. Było jednak chłodniej niż latem, a tajemniczy podmuch sprawiał, że robiło się

wciąż zimniej i zimniej.

- Jesteś tu? - spytała Amelia. - Widzę twoje znaki. Czy jesteś tutaj?

Rozległ się dziwny szelest, jak gdyby w pokoju znalazł się ktoś jeszcze, poruszający się wolno. Mógłbym przysiąc, że usłyszałem oddech - głęboki i równy, nie należący do żadnego z nas.

- Jesteś tu? - spytała znowu Amelia. - Teraz mogę cię słyszeć. Czy jesteś tutaj?

Zamilkliśmy. Żyrandol jarzył się nadal w ciemności, a oddech stał się głośniejszy.

- Mów - nalegała Amelia. - Powiedz nam, kim jesteś.

Rozkazuję ci mówić.

Oddech jakby się zmienił, stał się bardziej chrapliwy i głośniejszy, a blask żyrandola pulsował i migotał do rytmu. Widziałem jego zielonkawe odbicie w mrocznym jeziorze wiśniowego blatu. Palce pani Karmann wbijały się w moją dłoń, lecz prawie tego nie czułem. Przenikliwy chłód zapanował w pokoju, a podmuch nieprzyjemnie owiewał mi nogi.

- Odezwij się - powtórzyła Amelia. - Przemów i powiedz nam, kim jesteś.

- Chryste! - zniecierpliwiał się MacArthur. - Przecież to...

- Pssst - uciszyłem go. - Zaczekaj chwilę, MacArthur, to nadchodzi.

I nadchodziło. Patrzyłem na środek blatu i wydawało mi się, że coś drży w powietrzu, kilka cali nad powierzchnią. Włosy na karku zjeżyły mi się i poczułem zimny dreszcz, gdy powietrze poruszyło się i płynąc jak dym zaczęło formować jakiś kształt.

Oddech stał się głęboki, głośny i bliski, jak gdyby ktoś dyszał mi prosto w ucho. Słaby blask żyrandola zgasł zupełnie, lecz wijący się powietrzny wąż jarzył się przed nami własnym światłem.

Pod nim drewniana powierzchnia blatu zaczęła wydymać się w garby. Przygryzałem język, aż poczułem w ustach słony smak krwi. Skamieniały ze strachu nie potrafiłem się odwrócić, nie mogłem nie patrzeć. Moc kręgu trzymała nas zbyt silnie; mogliśmy tylko siedzieć i wpatrywać się w przerażający spektakl przed sobą.

Lśniące, czarne drewno pośrodku blatu uformowało się w ludzką twarz - twarz mężczyzny o oczach zamkniętych jak w pośmiertnej masce.

- Boże - stęknął MacArthur. - Co to jest?

- Spokój! - szepnęła Amelia. W nienaturalnym lśnieniu powietrza dostrzegałem jej bladą, skupioną twarz. - Zostawcie to mnie.

Pochyliła się ku nieruchomej, drewnianej twarzy.

- Kim jesteś? - spytała niemal przymilnie. - Czego chcesz od Karen Tandy?

Twarz pozostała nieruchoma. Była to pełna siły twarz o dzikich, ostrych rysach, twarz mężczyzny dobiegającego czterdziestki, o wydatnym haczykowatym nosie i szerokich pełnych wargach.

- Czego chcesz? - spytała znowu Amelia. - Czego szukasz?

Mogłem się mylić, lecz wydało mi się, że widzę jak czarne drewniane wargi wykrzywają się w spokojnym, pełnym satysfakcji uśmiechu. Twarz zachowała przez chwilę ten wyraz, po czym drewno jakby wygięło się i wyrównało, rysy rozplynęły się i wkrótce przed nami był tylko płaski, polerowany blat stołu.

Niesamowity, blask zgasł i znów znaleźliśmy się w ciemności.

- Harry - odezwała się Amelia. - Na miłość boską, zapal światło.

Puściłem dłonie MacArthura i pani Karmann. Wstałem i w tej właśnie chwili rozległ się ogłuszający trzask, rozbłysła jaskrawo biała błyskawica, a okna rozprysły się jak od wybuchu bomby, sypiąc wszędzie odłamkami szkła. Trzepotały i powiewały zasłony, poruszane lodowatym wiatrem wiejącym z głębin zimowej nocy. Pani Karmann wrzasnęła ze zgrozy.

Podszedłem do wyłącznika i zapaliłem światło. Wszędzie w jadalni poniewierały się porozrzucone przedmioty, jak gdyby szalał tu huragan. Szklanki i karafki leżały na podłodze, obrazy wisiały krzywo, wszystkie krzesła były poprzewracane. Wiśniowy stół pękł od brzegu do brzegu.

MacArthur zbliżył się do mnie chrzęszcząc butami po odłamkach szkła zaścielających dywan.

- Ja mam dość, człowieku, dość. Od dziś zajmuję się tylko j plakietkami ubezpieczenia.

- Harry! - zawołała Amelia. - Pomóż mi przeprowadzić panią Karmann do salonu.

Razem przenieśliśmy starszą panią do pokoju obok i ułożyliśmy ją na sofie. Była blada i drżąca, ale chyba nic się jej nie stało. Podszedłem do barku i nalałem duży kieliszek brandy, a Amelia przytknęła go do jej ust.

- Czy już po wszystkim? - jęknęła pani Karmann. - Co się stało?

- Obawiam się, że poniszczyło się trochę rzeczy - powiedziałem. - Okna są rozbite, a część szkła całkiem potrzaskana. Stół też się rozpadł. Na szczęście to równe pęknięcie, może uda się go naprawić.

- Ale co to było? - szepnęła. - Ta twarz!

Amelia pokręciła głową. MacArthur znalazł papierosy j w srebrnej szkatułce i podał jej jednego. Zapaliła drżącymi i palcami i wydmuchnęła długą, nierówną smugę dymu.

-- Nie wiem, pani Karmann. Jako medium nie jestem ekspertem. Cokolwiek to było, miało niezwykłą moc. Zwykle duch musi wykonywać to, co mu się każe. Ten po prostu pokazał, że nic sobie z nas nie robi.

- Amelio - chciałem wiedzieć - czy to on sprowadzał te koszmary na Karen Tandy? Kiwnęła głową.

- Chyba tak. To znaczy, rozumiesz, był tak potężny, że musiał powodować jakieś wibracje w mieszkaniu. I przypuszczam, że Karen Tandy odbierała je w swoich snach. We śnie ludzie są bardzo wyczuleni na wibracje, nawet słabe, a te byty najsilniejsze, jakie czułam w życiu. Ta istota posiada prawdziwą magiczną moc.

Zapaliłem papierosa i zastanowiłem się przez moment.

- Powiedziałaś, magiczną? - upewniłem się.

- Oczywiście. Każdy duch, który potrafi odmówić wykonania polecenia musi być duchem kogoś, kto za życia znał się dobrze na magii. Może to nawet być osoba, która jeszcze żyje. i potrafi w postaci astralnej oddzielić się od swego ciała: Zdarzały się takie przypadki.

- Dla mnie to bzdury - oświadczył MacArthur. - Gdybym był panią Karmann, to wziąłbym ten stół i wniósł skargę.

Uśmiechnąłem się. Dobrze jest mieć przy sobie prawdziwego sceptyka, nawet jeśli nie potrafi specjalnie pomóc.

- Amelio -- powiedziałem. - Jeżeli, jak twierdzisz, zobaczyliśmy ducha kogoś związanego z magią, to coś zaczyna się tu kleić. Wczoraj wieczorem stawiałem karty Tarota i stale wychodził mi Czarnoksiężnik. Jakkolwiek je tasowałem i przetasowywałem, zawsze zostawałem z tą samą kartą.

Amelia odrzuciła wpadające jej do oczu włosy.

- W takim przypadku można chyba założyć, że ktokolwiek to robi, żywy czy martwy, jest czarnoksiężnikiem. Albo kimś podobnym.

- Afrykański czarownik - zasugerował MacArthur.

- Możliwe. Nawet wyglądał na afrykanina. Nie dlatego, że stolik był czarny, ale przez te wargi, pamiętacie?

Pani Karmann usiadła ściskając w dłoni swój kieliszek brandy.

- Powiem wam, kogo on mi przypominał - odezwała się słabym głosem. -- Takiego Indianina sprzed sklepu z cygarami.

- To jest to! - MacArthur pstryknął palcami. - Indianin! Haczykowaty nos, zgadza się, i wargi, i wystające kości policzkowe. To nie jest czarownik, to szaman!

Amelia rozjaśniła się.

- Posłuchajcie - rzekła. - Mam sporo książek o Indianinach. Może byśmy wrócili do mnie i poszukali czegoś o szamanach? Pani Karmann, czy sądzi pani, że możemy panią zostawić?

- Nie martwcie się o mnie - uspokoiła nas starsza pani. - Zostanę u sąsiadki, pani Routledge, po przeciwnej stronie korytarza, a później przyjadą rodzice Karen. Jeśli może to pomóc biednej dziewczynie, to im szybciej pójdziecie tym lepiej.

- Jest pani aniołem - oznajmiła Amelia.

- Mam nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas nie - uśmiechnęła się pani Karmann. - Przez dłuższy czas. W dżungli sprzętów mieszkania Amelii, w otoczeniu książek, magazynów, kilimów, obrazów, starych kapeluszy i połówki roweru, przejrzelśmy tuzin tomów dotyczących wiedzy Indian. Ku memu zaskoczeniu nie znaleźliśmy w nich zbyt wiele na temat szamanów, poza informacjami o magii bizonów, tańcach deszczu i zaklęciach wojennych. W jedenastu książkach nie znaleźliśmy żadnej wskazówki co do drewnianej maski pośmiertnej na stole pani Karmami.

- Może mylimy się całkowicie - stwierdziła Amelia. - Może to duch kogoś, kto jeszcze żyje. Ten haczykowaty nos nie musi być indiański. Może, na przykład, żydowski...

- Zaczekaj chwilę - przerwałem jej. - Masz jeszcze coś z historii, albo w ogóle cokolwiek, gdzie można by znaleźć jakieś odnośniki do Indian albo szamanów?



Amelia przerzuciła kilka stosów książek, by wrócić z historią wczesnego osadnictwa Stanów Zjednoczonych i pierwszym tomem trzytomowego studium o Nowym Jorku. Szukając Indian przejrzałem indeksy. Książka o wczesnym osadnictwie zawierała jedynie zwykłe ogólniki na temat ich cywilizacji. W tamtych dniach ludzie miewali raczej ochotę na grabież gruntów niż na poznawanie miejscowej kultury. Lecz tom o Nowym Jorku zawierał ilustrację, która najbardziej popchnęła nas do przodu od czasu, gdy w bibliotece znalazłem żaglowiec z koszmaru Karen Tandy.

Widywałem już ten rysunek - w podręcznikach szkolnych i książkach historycznych - ale dopiero gdy wpadł mi w rękę owej nocy w mieszkaniu Amelii Crusoe zrozumiałem, jak wielkie ma znaczenie. Był na nim szkicowo przedstawiony przylądek wyspy, małe skupisko chat, wiatrak i obwarowany fort w kształcie krzyża lotaryńskiego. Przy brzegu stały żaglowce, a na pierwszym planie pływały łodzie i canoe. Największe z żaglowców były identyczne ze statkiem z koszmaru Karen Tandy. Potwierdzał to podpis pod obrazkiem: "Najstarszy znany wizerunek Nowego Amsterdamu, 1651 r. W tej niewielkiej lecz ważnej osadzie zamieszkiwał dyrektor generalny Holenderskiej Kompanii Indii Zachodnich". Podałem książkę Amelii.

- Spójrz na to - powiedziałem. - To jest dokładnie taki statek, o jakim śniła Karen Tandy, i popatrz, jest tu z pół

tuzina Indian w canoe. Tak wyglądał Nowy Jork trzysta dwadzieścia lat temu.

- Harry - stwierdziła Amelia, studiując starannie rysunek - to może być to. Właśnie to, czego szukamy. Przypuśćmy, że był tam jakiś indiański szaman, w Nowym Jorku czy Nowym Amsterdamie, tyle lat temu. A Karen Tandy odbiera jego vibracje w miejscu, gdzie kiedyś mieszkał.

- Zgadza się - MacArthur poskrobał się po brodzie. - Musiała tu kiedyś istnieć indiańska wioska, przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej. Zauważyliście, czasem ma się wrażenie że stale tam jest.

Wyprostowałem się i przeciągnąłem.

- Cały ten "de boot" zaczyna wtedy pasować. Jeśli facet był szamanem w czasie, gdy Holendrzy osiedlali się na Manhattanie, to jedyne europejskie słowa jakie znał pochodziły zapewne z holenderskiego. „De boot, mijnheer” to dla niego jedyny

sposób, żeby powiedzieć coś o statku. A sądząc po śnie Karen, bał się statku. Mówiła mi, że żaglowiec wydawał się jej obcy, niemal jak przybysz z Marsa. Przypuszczam, że taki właśnie wydałby się Indianinowi.

Amelia zapaliła, wyciągniętego z pogniecionej paczki, papierosa.

- Ale dlaczego był taki nieprzyjazny? - spytała. - I jaki to ma związek z guzem? To znaczy, o co w ogóle chodzi z tym guzem?

- Znalazłem - odezwał się niespodziewanie MacArthur, który przeglądał wielki, zakurzony tom encyklopedii. Zaznaczył właściwą stronę i podał mi go.

- "Szamani przeczytałem głośno - byli często potężnymi magami, zdolnymi podobno do niezwykłych, nienaturalnych czynów. Wierzono, że są nieśmiertelni i że w sytuacji zagrożenia potrafią się unicestwić pijąc płonący olej, a następnie odrodzić w dowolnym miejscu, w przyszłości lub przeszłości, lokując się w ciele mężczyzny, kobiety lub zwierzęcia."

Amelia patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma.

- To wszystko, co piszą? - spytała.

- Wszystko - stwierdziłem. - Dalej znowu zaczyna się o tańcu deszczu.

- Więc to znaczy, że Karen jest...

- W ciąży - oświadczyłem zamykając księgę. - Można powiedzieć, że wkrótce urodzi prymitywnego dzikusa.

Ale, Harry, co, do diabła, możemy na to poradzić? MacArthur wstał i ruszył do lodówki w poszukiwaniu piwa.

- Możecie poczekać, aż ten szaman się wykluje - rzekł. - A potem podać mu porcję płonącego oleju. W ten sposób pozbędziecie się go bez trudu.

- To niemożliwe - stwierdziłem. - Karen umrze zanim on będzie gotów, by się odrodzić.

- Wiem -- odparł ponuro MacArthur sącząc piwo. - Ale nie mam pojęcia, co jeszcze można by zrobić.

Podszedłem do telefonu.

- Przede wszystkim zadzwonię do szpitala. Może doktor Hughes będzie miał jakiś pomysł. W każdym razie mamy teraz teorię, która wszystko wyjaśnia, a to wyraźny postęp w stosunku do sytuacji sprzed paru godzin.

Wykręciłem numer Sióstr Jeruzalem i poprosiłem Hughesa. Sądząc po głosie był zupełnie wykończony. Zbliżała się pierwsza w nocy, a on pewnie nie wychodził ze szpitala przez cały dzień.

- Doktor Hughes? Mówi Harry Erskine.

- O co chodzi, panie Erskine? Ma pan jakieś wieści o swoim duchu?

- Znalazłem medium doktorze i dziś wieczorem odbyliśmy seans w mieszkaniu Karen. Nastąpiła manifestacja - twarz. Wszyscy ją widzieliśmy. Sprawdziliśmy w książkach o historii Indian i w różnych słownikach. Sądzymy, że może to być indiański szaman z siedemnastego wieku Według jednej z tych książek - proszę słuchać - indiańscy szamani "w sytuacji zagrożenia potrafią się unicestwić pijąc płonący olej, a następnie odrodzić w dowolnym miejscu, w przyszłości lub przeszłości, lokując się w ciele mężczyzny, kobiety lub zwierzęcia". Nie sady pan, że to pasuje, doktorze Hughes.

Na drugim końcu telefonu zapanowała cisza. Wreszcie Hughes odezwał się:

- Panie Erskine, sam nie wiem, co powiedzieć. Pasuje aż za dobrze. Lecz jeśli to prawda, to jak można zniszczyć takiego stwora? Doktor Snaith zrobił dziś po południu dodatkowe badania i jest zupełnie jasne, że jeśli w jakikolwiek sposób spróbujemy usunąć lub zabić ten embrion, Karen Tandy umrze. To coś stało się integralną częścią jej własnego systemu nerwowego.

- Jak ona się czuje, doktorze? Jest przytomna?

- Ledwo, ledwo. Nie jest najlepiej. Jeśli płód będzie rósł nadal w tym samym tempie, to mogę tylko powiedzieć, że ona umrze w ciągu dwóch, trzech dni. Doktor Snaith twierdzi, że we wtorek.

- Co z tym specjalistą-ginekologiem?

- Jest tak samo zdumiony jak my wszyscy. Potwierdził, że embrion nie jest normalnym dzieckiem, ale zgadza się ze mną. że posiada on wszystkie cechy charakterystyczne dla szybko rosnącego organizmu pasożytniczego. Jeśli wierzy pan, że to indiański szaman, to pańska opinia jest równie wartościowa jak każda inna z wyrażanych tutaj.

Amelia stanęła przy mnie i pytająco uniosła brwi.

- Co z nią?

Przysłoniłem dłonią mikrofon.

- Źle. Lekarze obawiają się, że nie dożyje do wtorku.

- Ale co z tym... szamanem? - spytała Amelia. - Czy sądzą, że będzie rósł i przeżyje? Jezu...

- Doktorze - - powiedziałem do mikrofonu. - Moja przyjaciółka pyta, co się stanie z embrionem. Zakładając, że nadal będzie żył po śmierci Karen Tandy, Co macie zamiar z nim zrobić?

Hughes nie zawahał się ani przez chwilę.

- Panie Erskine, w takim przypadku uczynimy to, co zawsze. Jeśli to dziecko, jeśli jest normalne i zdrowe, zrobimy wszystko by je uratować. Jeśli to potwór... cóż, mamy zastrzyki, które pozwolą pozbyć się go szybko i bez hałasu.

- A jeśli to szaman? - spytałem ostrożnie.

- No cóż -- odezwał się po chwili milczenia. - Jeśli to szaman... nie wiem. Ale nie rozumiem, jak mogłoby się to zdarzyć, panie Erskine. Nie jestem przeciwny pewnym krokom w stronę okultyzmu, ale na miłość boską, jak ona może urodzić trzystuletniego Indianina? Niech pan da spokój, bądźmy poważni.

- Doktorze, sam pan sugerował, byśmy spróbowali się dowiedzieć, czy nie dzieje się tam coś nadnaturalnego. I sam pan powiedział, że moja opinia jest tak samo wartościowa jak każda inna.

- Wiem, panie Erskine - westchnął Hughes. - Przepraszam. Ale sam musi pan przyznać, że brzmi to jak majaczenia wariata.

- Wariat czy nie, uważam, że musimy coś zrobić.

- Co pan proponuje? - spytał posepnie.

- Rzecz, którą pan już raz doradził, okazała się słuszna: że powinienem zwrócić się do eksperta. Zrobiłem to. Sądzę, że nadeszła pora na kolejnego specjalistę - kogoś, kto wie więcej od nas na temat indiańskiej magii i mistyki. Niech mi pan da trochę czasu, a postaram się kogoś znaleźć. Musi być ktoś, w Harvardzie albo w Yale, kto się na tym zna.

- Możliwe - zgodził się Hughes. - Dobrze, panie Erskine. Dziękuję za zainteresowanie i pomoc. Proszę się nie krępować i dzwonić, gdy tylko będę potrzebny.

Powoli odłożyłem słuchawkę. Amelia i MacArthur stali obok mnie, tak samo zmęczeni, lecz chętni do pomocy i naprawdę zaciekawieni. Widzieli twarz na wiśniowym drewnie i uwierzyli. Kimkolwiek był ten duch, dawnym indiańskim szamanem czy złośliwym upiorem teraźniejszości, chcieli mi pomóc w walce z nim.

- Jeśli o mnie chodzi - oznajmił MacArthur - to Holendrzy powinni zatrzymać sobie te dwadzieścia cztery dolary i zostawić Manhattan Indianom. Wygląda na to, że pierwotni właściciele zaczynają się mścić.

- Na to wygląda, MacArthur - zgodziłem się rozcierając powieki. - Spróbujmy się trochę przespać. Jutro mamy masę roboty.

## ROZDZIAŁ 4

### PRZEZ ZMIERZCH

Cztery godziny zajęło nam znalezienie doktora Ernesta Snów. Przyjaciółka Amelii знаła kogoś z Harvardu, kto znał kogoś innego, kto był studentem antropologii, a z kolei ów student doprowadził nas do doktora Snów.

Miał imponujące referencje. Napisał pięć monografii na temat indiańskich rytuałów religijnych i magicznych, a także książkę "Obrzędy i magia Hidatsów". Co ważniejsze, mieszkał niemal pod ręką, w Albany, stan Nowy Jork.

- I co? - ziewnął MacArthur w półmroku ciemnego, zimowego niedzielного poranka. - Zadzwoń do niego?

- Chyba tak. Zastanawiałem się tylko, czy przypadkiem nie idziemy złym tropem.

- Co masz na myśli? - spytała Amelia.

- Całą tę historię z Indianami. Nie mamy żadnego dowodu. Tylko tyle, że tamta twarz na stoliku przypominała indiańską. Co nie oznacza, że była indiańska.

- A czy mamy jakiś inny punkt zaczepienia? - wzruszyła ramionami Amelia. - Na dodatek jest jeszcze ta historia z odradzaniem się. Daj spokój, Harry, musimy spróbować.

- No dobra, dzwonię - oznajmiłem i podniosłem słuchawkę. Wykręciłem numer Snowa i przez chwilę słuchałem brzęczenia sygnału.

- Słucham, Snów - odezwał się wreszcie ostry, szorstki głos.

- Doktorze Snów, przepraszam, że dzwonię w niedzielę, ale mam nadzieję, że mi pan wybaczy kiedy wyjaśnię powody. Nazywam się Harry Erskine i jestem zawodowym jasnowidzem.

- Jest pan czym? - warknął Snów. Nie wydawał się ubawiony.

- Przepowiadam przyszłość. Pracuję w Nowym Jorku. Zapadła pełna napięcia cisza. Potem Snów powiedział:

- Panie Erskine, to miło z pańskiej strony, że telefonuje pan do mnie w niedzielę

rano i mówi mi o tym wszystkim. Nie rozumiem jednak dlaczego informacja, że przepowiada pan przyszłość, jest aż tak ważna.

- To jest tak, doktorze Snów. Mam klientkę, która w tej chwili przebywa w szpitalu. To młoda dziewczyna i jest bardzo chora. Ma na szyi rodzaj guza i lekarze nie bardzo wiedzą co robić,

- Przykro mi to słyszeć - odparł Snów - ale nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Jestem doktorem antropologii, nie medycyny.

- Właśnie dlatego do pana dzwonię. Widzi pan, wierzę, że moja klientka jest żywicielem wcielenia indiańskiego szamana. Sądzę, że jej guz jest w rzeczywistości embrionem tego czerwonoskórego. Słyszał pan o tym, prawda? Że pili płonący olej, by odrodzić się w przeszłości lub przyszłości.

Tym razem cisza trwała dłużej. Wreszcie Snów zapytał:

- Czy pan mówi poważnie, panie...

- Erskine.

- Panie Erskine, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan mówi? Twierdzi pan, że dzisiaj w Nowym Jorku żyje ktoś, kto nosi w sobie odrodzonego szamana?

- Dokładnie tak, proszę pana.

- Czy to jakiś żart? Chce mnie pan podpuścić? Wie pan, studenci lubią się w ten sposób zabawiać.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Lecz jeśli poświęci mi pan pół godziny rozmowy, to mam nadzieję przekonać pana, że nie żartuję. Jeżeli chce pan sprawdzić, proszę zatelefonować do doktora Hughesa ze szpitala Sióstr Jeruzalem. Działamy za jego zgodą.

- My?

- Ja i para przyjaciół. Jedno z nich jest medium.

Słyszałem niemal, jak na drugim końcu przewodu pracuje mózg doktora Snów. Amelia i MacArthur wpatrywali się we mnie nerwowo, gdy czekałem na odpowiedź starego.

- Zgoda - rzekł w końcu. - Przypuszczam, że chciałby pan zobaczyć się ze mną jeszcze dzisiaj?

- Jak można najszybciej, doktorze. Wiem, że to kłopot, ale ta dziewczyna umiera.

- Och, to żaden kłopot. Dzisiaj przyjeżdża siostra mojej żony i im mniej będę ją widział tym lepiej. Proszę przyjechać kiedy panu odpowiada.

- Dziękuję, doktorze Snów.

Odłożyłem słuchawkę. To było takie proste. Zawsze mnie dziwi, jak szybko i łatwo akceptują ludzie rzeczy nadnaturalne i magiczne, gdy tylko podsunie im się pod nos dowody. Doktor Snów czytał pewnie setki razy o reinkarnacji szamanów nie wierząc, by to było możliwe. Gdy tylko jednak ktoś mu powiedział, że coś takiego zdarzyło się naprawdę, bez oporu gotów był uwierzyć.

Tak czy siak, złapałem kluczyki od wozu i narzuciłem swój płaszcz w jodełkę.

- Kto jedzie do Albany? - rzuciłem.. Amelia i MacArthur wstali, gotowi do drogi.

- Cholernie głupio mi to przyznać - oświadczył MacArthur -- ale to znacznie bardziej interesujące niż sprzedawanie plaketek ubezpieczenia.

Mały, niski, ceglany domek, w którym mieszkał doktor Snów stał na przedmieściach Albany. Otaczały go ciemne, żałobne cyprysy, a w oknach wisały żółte firanki. Gdy jechaliśmy przez kałuże błota i lodu niebo nabrało posępnej, stalowej barwy. Od północnego wschodu dmuchał ostry, nieprzyjemny wiatr. Wokół panowała dziwna cisza, jak w klasie oczekującej na wejście budzącego lek nauczyciela. Staliśmy przed progiem rozcierając przemarznięte ręce i naciskaliśmy guzik dzwonka. Słyszeliśmy jego brzęczenie w głębi starego domu.

Drzwi otworzyły się i zobaczyliśmy Snowa. Był wysoki i lekko przygarbiony, z siwymi włosami i okularami w złotych oprawkach. Miał na sobie brązową wełnianą kamizelkę z wypchanymi kieszeniami i kraciaste papucie.

- Pan Erskine? - zapytał. - Lepiej wejdźcie do środka.

Prześląpaliśmy do mrocznego hallu. Pachniało mocno lawendowym płynem do czyszczenia, a w kącie tykał wolno szafkowy zegar. Zdjęliśmy okrycia i doktor Snów wprowadził nas do chłodnego salonu. Wszędzie na ścianach wisały przerażające indiańskie maski, kontrastujące z angielską delikatnością wypchanych ptaków pod szklanymi kopułami i wyblakłymi, małymi litografiami.

- Proszę siadać - zaprosił Snów. - Dobrze by było, gdyby wyjaśnił pan, o co w tym wszystkim chodzi. Żona za chwilę poda kawę. Niestety, w tym domu nie pija się niczego mocniejszego.



Słyszając to MacArthur skrzywił się ponuro. W samochodzie została flaszka bourbona, ale był zbyt dobrze wychowany by spytać, czy może po nią pójść.

Snów usiadł na twardym małym taborecie i skrzyżował ręce na piersi. Amelia i ja zajęliśmy na spólkę niską i niewygodną sofę, a MacArthur przysiadł na parapecie, skąd mógł spoglądać na ośnieżone drzewa.

Najzwyczajniej jak się dało opowiedziałem o chorobie Karen Tandy i o seansie odbytym poprzedniego wieczoru. Snów słuchał uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie o Karen, o jej ciotce, czy o twarz, którą zobaczyliśmy na stole pani Karmann. Kiedy skończyłem splótł dłonie i zamyślił się. - Z tego, co mi pan opowiedział, panie Erskine - oświadczył po chwili - wypadek tej nieszczęsnej dziewczyny wydaje się prawdziwy. Sądzę, że ma pan rację. Znany jest tylko jeden przypadek osoby będącej żywicielem odradzającego się szamana. Rzecz działa się w 1851 roku, w pobliżu Fort Berthold w Górnej Missouri, w szczepie Hidatsa. Młoda indiańska dziewczyna miała na ramieniu opuchliznę, która urosła w końcu tak bardzo, że dziewczyna zmarła. Z opuchlizny wyłonił się w pełni dorosły mężczyzna, podobno czarownik szczepu sprzed pięćdziesięciu lat. Niewiele było dokumentów na poparcie tej historii i aż do dzisiaj uznawano ją za legendę. Sam nawet tak ją nazwałem w swojej książce o Hidatsach. Ale zbieżności z pańską panną Tandy są tak wielkie, że nie widzę możliwości, byśmy mieli do czynienia z czymś innym. Wśród Kiowów krążą też opowieści o tym, że szamani mogą pojawiać się pod postacią drzew i rozmawiać z członkami szczepu. Najwyraźniej drzewa i drewno mają własną magiczną siłę życiową, którą szamani potrafili wykorzystywać do swoich celów. Dlatego wierzę w to, co pan mówił o stole z wiśniowego drzewa. Z początku myślałem, że chcecie ze mnie zakpić, lecz wasze argumenty wydają się przekonujące.

- Więc wierzy nam pan? - upewniła się Amelia odgarniając włosy z oczu.

- Tak - odparł dr Snów spoglądając na nią zza okularów. - Wierzę. Zadałem sobie także trud skorzystania z waszej sugestii i skontaktowałem się z doktorem Hughesem ze szpitala Sióstr Jeruzalem. Potwierdził wszystko, co pan mówił. Powiedział także, że stan panny Tandy jest krytyczny i że ważne jest każde działanie, które może ją uratować.

- Doktorze Snów - spytałem. - W jaki sposób możemy walczyć z tym szamanem? Jak moglibyśmy go zniszczyć zanim zabije Karen Tandy?

Snów zmarszczył czoło.

- Musi pan zrozumieć, panie Erskine, że magia Indian jest bardzo potężna i wszechstronna. Indianie nie przeprowadzali wyraźnej granicy pomiędzy naturalnym i nadnaturalnym, a każdy z nich uważał, że ma bliski kontakt z duchami rządzącymi jego egzystencją. Indianie z równin, na przykład, poświęcali tyleż czasu na ceremonie religijne i magiczne obrzędy, co na doskonalenie swej sztuki łowieckiej. Uznawali za ważną zdolność polowania na bawoły w sposób chytry i efektywny, lecz równocześnie uważali, że jedynie duchy dadzą im siłę i odwagę, niezbędne do skutecznych łowów. Indianie poszukiwali iluminacji, praktykowali rytuały, odbywali ceremonie, dające im kontakt z kosmosem. Byli w istocie jednym z wielkich magicznych społeczeństw czasów współczesnych. Wiele z ich tajemnic jest dla nas straconych, ale nie ma żadnych wątpliwości, że posiadali realną i wielką moc. Amelia podniosła głowę.

- Chce pan nam powiedzieć, doktorze Snów, że nikt z nas nie ma wystarczającej siły, by zmierzyć się z tym szamanem... Naukowiec pokiwał głową.

- Obawiam się, że ma pani rację. W dodatku jeżeli on naprawdę ma trzysta lat. to pochodzi z czasów, kiedy magia Indian była jeszcze zdumiewająco potężna - czysto pogańska sztuka okultyzmu, nie rozcieńczona przez europejskie uprzedzenia, wolna od wpływów chrześcijaństwa. Duchy Ameryki Północnej w okresie, gdy przybywali tani pierwsi osadnicy, były miliony razy silniejsze od wszystkich diabłów czy demonów Europy. Rozumiecie państwo, duch potrafi oddziaływać magicznie jedynie za pośrednictwem ludzi, którzy w niego wierzą i którzy go rozumieją. Egzystuje wprawdzie niezależnie, lecz nie ma materialnej mocy w naszym materialnym świecie, dopóki nie zostanie przywołany, świadomie lub nie. Jeżeli nikt nie wierzy w konkretnego ducha lub nikt go nie rozumie, nie może być wezwany, a zatem pozostaje w otchłani.

- W porównaniu z indiańskimi - mówił dalej po chwili przerwy - europejskie demony to żalodne kreatury. Były jedynie - albo są, jeśli wciąż w nie wierzycie - przeciwieństwami dobra i świętych dogmatów chrześcijaństwa. W "Egzorcystyce"

scenariusz wykorzystuje demona Pazuzu, uosobienie choroby i słabego zdrowia. Dla czerwonoskórego taki demon byłby śmieszny - nie bardziej przerażający niż jakiś kundel. W odpowiadającym mu duchu Indian zawierała się cała koncepcja życia i zdrowia, znaczenie fizycznego bytu. To czyniło z takiego ducha niesamowitą istotę o straszliwej sile. Moim zdaniem prawdziwy schyłek indiańskiej cywilizacji był efektem nie tyle chciwości i zdradzieckiej polityki białych, co erozji okultystycznej potęgi szamanów. Kiedy plemiona czerwonoskórych zobaczyły naukowe cuda białego człowieka, ich nadmierny zachwyty sprawił, że straciły wiarę we własną magię. Można dyskutować, czy owa magia, użyta we właściwy sposób, potrafiłaby ich ocalić.

- Ale co z szamanem Karen Tandy? - przerwała wykład Snowa Amelia. - Jak pan przypuszcza, do czego on zmierza? To znaczy, dlaczego chce się w niej odrodzić?

Doktor Snów podrapał się w ucho.

- Trudno powiedzieć. Opierając się na snach o holenderskim żaglowcu, które mi opowiedzieliście, zaryzykowałbym twierdzenie, że istnienie szamana zostało zagrożone przez holenderską osadę na Manhattanie. Może próbował powstrzymać resztę swego szczepu od sprzedawania wyspy tak tanio. Za pomocą sił magicznych, jakimi dysponowali szamani, potrafił pewnie przewidzieć jej przyszłe znaczenie dla podboju Ameryki przez białych. Możliwe też, że Holendrzy, jako surowi kalwini, uznali wpływy szamana za dzieło zła i starali się go zniszczyć. Cokolwiek się stało, najwyraźniej doszedł do wniosku, że jedyną drogą ucieczki jest dla niego porzucenie siedemnastowiecznej egzystencji i ponowne pojawienie się w innym czasie. Nie sądzę, by świadomie wybrał Karen Tandy. Po prostu przypadkiem okazała się podatna na jego reinkarnację i we właściwym czasie znalazła się we właściwym miejscu.

- Doktorze Snów - zapytałem -- jeśli my nie jesteśmy w stanie się z nim zmierzyć, to kto by potrafił? Czy w ogóle istnieje ktoś, kto zdoła przywołać moce, które zniszczą go na dobre?

Snów zamyślił się.

- Wydarzenie jest tak niezwykle, że aż człowiek żałuje, iż chodzi o życie młodej dziewczyny. Niech pan tylko pomyśli, panie Erskine, za dwa lub trzy dni możemy się spotkać z indiańskim szamanem, żywym i przytomnym, z innych czasów, z dalekiej przeszłości Ameryki. Wydaje się prawie przestępstwem sama myśl o zniszczeniu go.

MacArthur odwrócił się od okna.

- Wszyscy znamy cuda antropologii, doktorze Snów - powiedział gniewnie. - Ale tu chodzi o ludzkie życie, które staramy się ocalić. Karen Tandy nie prosiła tego czarownika, żeby rósł jej na karku. Uważam, że do nas należy uczynienie wszystkiego co możliwe, by ją uratować; to nasz obowiązek.

- Tak, wiem - przyznał Snów. - Jest jednak tylko jeden sposób, by tego dokonać.

- Jaki? - spytała Amelia. - Czy bardzo trudny?

- Dosyć. I niebezpieczny. Jediną osobą, która potrafi się zmierzyć z szamanem jest inny szaman. Wciąż jeszcze żyje jeden czy dwóch w jakimś rezerwacie. Żaden z nich nie jest jednak nawet w przybliżeniu tak potężny, jak ten człowiek. Znają może jakieś stare obrzędy, ale wątpię czy posiadają umiejętności i siłę porównywalne z jego siłą. A jeśli nie zdołają go pokonać, jeśli nie uda im się zniszczyć go całkowicie, to sami muszą zginąć.

- Chwileczkę - wtrąciłem. - Ten szaman wciąż jeszcze się nie odrodził. Nie dorósł do swych normalnych rozmiarów i z pewnością nie jest jeszcze tak silny jakim się stanie, gdy tylko rozwinie się do końca. Gdybyśmy teraz znaleźli innego szamana, moglibyśmy go zabić zanim wyjdzie na świat.

- To byłoby bardzo niebezpieczne - stwierdził Snów. - Nie tylko dla naszego szamana, lecz i dla dziewczyny. Mogą umrzeć oboje.

- Doktorze - przerwałem mu. - Ona i tak wkrótce umrze.

- Cóż, chyba ma pan rację. Trudno jednak będzie namówić jakiegoś starego, spokojnego Indianina z rezerwatu, by zaryzykował swe życie dla białej dziewczyny, której nawet nie zna.

- Przekupimy go - oznajmił MacArthur.

- Czym? - zdziwiła się Amelia.

- Powinniśmy chyba porozmawiać z rodzicami Karen Tandy - zaproponowałem. - Pewnie są już w mieście. Pieniądzy im raczej nie brakuje, a kilka tysięcy dolarów pewnie załatwi sprawę. Doktorze Snów, czy jest pan w stanie znaleźć szamana?

Snów potarł dłonią brodę.

- Z tym nie powinno być kłopotów. Mam przyjaciela w Południowej Dakocie. On kogoś znajdzie. Naturalnie, będziemy musieli zapłacić za przelot tego szamana do

Nowego Jorku, zakładając oczywiście, że się zgodzi.

- Uważam, że nadeszła pora, by porozmawiać z rodzicami Karen - stwierdziłem. - Mają prawo wiedzieć, co się dzieje, a my będziemy wkrótce potrzebować gotówki. Doktorze Snów, mogę pana prosić o przysługę?

- Oczywiście. To fascynujący przypadek i będę zaszczycony możliwością współpracy.

- Niech pan zatelefonuje do Południowej Dakoty i poprosi swojego przyjaciela, by odszukał najpotężniejszego szamana, jakiego uda mu się znaleźć. Jeśli rodzice Karen zgodzą się, by go sprowadzić, będziemy gotowi. Może pan to zrobić?

- Z przyjemnością.

Opuściliśmy dom doktora Snów około piątej. Na dworze była już noc. Czuliśmy wiatr bijący nam w twarz, jakby ktoś sypnął wiadro żyłek. Odjechaliśmy w niezwykłą poświatę zamarzniętego pejzażu, zmęczeniu i przemarznięci, lecz tym mocniej zdecydowani uratować Karen Tandy przed tajemniczym nieprzyjacielem, który wtargnął do jej ciała. Pierwsza rzecz, którą chciałem zrobić po powrocie do Nowego Jorku, to sprawdzić, jak ona się czuje i spytać Hughesa ile, jego zdaniem, zostało jej jeszcze czasu. Nie warto było ponosić wszystkich kosztów sprowadzenia indiańskiego szamana z Południowej Dakoty, jeśli Karen już nie żyła lub miała umrzeć lada chwila.

- Wiecie co - odezwał się MacArthur wyciągając nogi na tylnym siedzeniu Cougara. - Myślę, że jest w tym coś ze sprawiedliwości dziejowej. To znaczy owszem, żal mi Karen, ale kto sieje wiatr zbiera burze, nieprawdaż?

Amelia obejrzała się na niego i uśmiechnęła nieprzyjemnie.

- MacArthur - powiedziała. - Uwielbiam twoją brodę i kocham twoje ciało, ale twoja filozofia cuchnie.

Wysadziłem Amelię i MacArthura w Village, a sam pojechałem do Szpitala Sióstr Jeruzalem zobaczyć, co z Karen. Zanim dotarłem na miejsce byłem już niezłe zmęczony, więc wpadłem do toalety umyć ręce i przyczesać włosy. Spojrzałem na siebie w lustrze. Byłem blady, wymięty i wyglądałem lak słabo, że zacząłem się zastanawiać, skąd u licha zdołam wziąć siły do walki z szamanem ze złotego wieku indiańskiej magii.

Hughesa znalazłem w jego gabinecie. Przeglądał w świetle stojącej lampki stos papierów.

- Pan Erskine - powitał mnie. - Widzę, że pan wrócił. Jak poszło? Zwaliłem się na stojące naprzeciw niego krzesło.

- Sądzę, że przynajmniej wiemy, co się dzieje. Inna sprawa, czy potrafimy z tym walczyć.

Wysłuchał uważnie mojej opowieści o tym, co powiedział dr Snów. Oznajmiłem mu też, że próbujemy znaleźć innego szamana i sprowadzić go tutaj. Wstał, podszedł do okna i zapatrzył się w pełną wolno w dole światła samochodów i wirujące, pierwsze płatki świeżego śniegu.

- W Bogu nadzieja, że nic z tego nie przedostanie się do gazet - mruknął. - I tak trudno jest zachować tajemnicę przed resztą specjalistów i chirurgów, którzy mieli ze sprawą do czynienia. Niech pan tylko pomyśli: drugi czy trzeci na świecie ekspert od nowotworów musi sprowadzać z równin Południowej Dakoty jakiegoś czerwonoskórego specjalistę od abrakadabry, z amuletami i w barwach wojennych, bo sam nie umie sobie poradzić z jakimś guzem.

- Wie pan tak samo dobrze jak ja, że to nie jest zwyczajny guz - stwierdziłem. - A magicznego guza nie da się zwalczać zwykłymi metodami. Ratując ją udowodnimy nasze racje.

Hughes odwrócił wzrok od okna.

- A jeżeli jej nie wyleczymy? Co wtedy powiem? Sprowadziłem indiańskiego szamana, ale to też nic nie pomogło?

- Doktorze. .

- Wszystko w porządku, panie Erskine. Właściwie aie mam żadnych wątpliwości. Widziałem w życiu dość guzów by wiedzieć, że ten nie jest zwyczajny. Wierzę w pańską teorię o Indianach. Sam nie wiem, dlaczego, ale wierzę. Nie widzę innego racjonalnego wytłumaczenia. Żaden z moich kolegów nie próbował nawet zgadywać, co się dzieje.

- Jak ona się czuje, doktorze? - spytałem. - Czy guz stale rośnie?

- Chce pan sam zobaczyć? Jest dużo gorzej niż wczoraj, gdy ją pan widział.

Milcząc przeszliśmy do windy. Bez słowa włożyliśmy chirurgiczne fartuchy i

maski. Milcząc szliśmy korytarzem do pokoju Karen Tandy i otwieraliśmy drzwi.

Wyglądało to groteskowo. Karen leżała teraz na brzuchu, a twarz miała białą jak szpitalna pościel. Rozdęty guz, wielki, blady pęcherz naciągniętej skóry, opierał się o jej plecy. Był już duży jak poduszka i od czasu do czasu zdawał się poruszać, rozciągać i układać - obrzydliwa narośl żyjąca własnym wrogim życiem.

- Boże - szepnąłem. - Ależ on jest olbrzymi.

- I cały czas rośnie - stwierdził Hughes. - Niech pan podejdzie. Proszę go dotknąć.

Ostrożnie zbliżyłem się do łóżka. Guz był tak wielki, że aż trudno było uwierzyć, iż jest częścią leżącej pod nim dziewczyny, noszącej tę narośl na karku niby jakiś obrzydliwy garb. Delikatnie nacisnąłem go końcami palców. Skóra zdawała się naciągnięta lecz jędrna. Wyraźnie wyczuwałem pod nią coś śliskiego. Prawdę mówiąc wrażenie było dokładnie takie, jakbym dotknął brzucha ciężarnej kobiety.

- Nie mógłby go pan zwyczajnie zabić? - zwróciłem się do Hughesa. - W tej chwili jest pewnie wielkości małego dziecka. Gdyby pan po prostu wpakował tam skalpel?

- Chciałbym, by to było możliwe - potrząsnął głową lekarz. - Jeśli chce pan wiedzieć, to z przyjemnością odrąbałbym to draństwo tasakiem od mięsa. Ale każde jednak zdjęcie pokazuje, że system nerwowy tego stworzenia jest nierozdzielnie związany z systemem Karen. Jakakolwiek próba chirurgicznego usunięcia guza zabije ją natychmiast. To jest układ nie tyle matki i dziecka, co raczej syjamskich bliźniąt.

- Czy ona może mówić?

- Nie odezwała się przez ostatnich parę godzin. Dziś rano zabraliśmy ją z łóżka do ważenia i wtedy powiedziała parę słów, ale nic, co potrafilibyśmy zrozumieć.

- Zważyliście ją? I co?

Hughes wbił ręce w kieszenie fartucha i ze smutkiem popatrzył na swą konającą pacjentkę.

- Nie straciła nic na wadze... ale też nie przybrała. Czymkolwiek jest ten guz, pożywienie pobiera bezpośrednio od niej. Każdy gram, o który wzrasta, odbiera Karen.

- Czy zgłosili się jej rodzice?

- Przyjechali dziś rano. Matka była zrozpaczona. Powiedziałem im, że chcemy spróbować operacji, choć oczywiście nie mówiłem nic o tej historii z szamanem. I tak

byli na mnie wściekli, że jeszcze nie operuję. Gdybym zaczął opowiadać o dawnych Indianach pomyśleliby, że całkiem zwariowałem.

Raz jeszcze spojrzałem na Karen Tandy, bladą i milczącą pod swym ohydny brzemieniem. Potem wyszliśmy, by wrócić do gabinetu Hughesa na osiemnastym piętrze.

- Myśli pan, że jej rodzice dadzą się przekonać? - spytałem. - Problem w tym, że na to wszystko będziemy potrzebowali pieniędzy. Trzeba zapłacić szamanowi, trzeba pokryć koszt jego przelotu i hotelu, że już nie wspomnę o tym, co się stanie jeśli w walce zostanie ranny. Bardzo bym chciał pomóc, ale my, jasnowidze, na ogół nie jesteśmy Rockefellerami. Wątpię, czy byłbym w stanie wykrobać więcej niż trzysta, czterysta zielonych. Hughes zrobił ponurą minę.

- W normalnych okolicznościach szpital mógłby pokryć koszty, ale nie wyobrażam sobie, żeby dali pieniądze na szamana. Nie, uważam, że jej rodzice i tak mają prawo wiedzieć, co się dzieje. Niech sami podejmą decyzję. W końcu chodzi o życie ich córki.

- Chce pan, żebym z nimi porozmawiał?

- Jeśli ma pan ochotę. Zatrzymali się u ciotki Karen, przy Osiemdziesiątej Drugiej. Gdyby miał pan jakieś problemy, niech pan powie, żeby do mnie zadzwonili. Potwierdzę, że działa pan z moją aprobatą.

- Dobrze. A teraz, co by pan powiedział na drinka?

- Niezły pomysł - Hughes wyciągnął swoją butelkę bourbona i nalał dwie solidne porcje. Przełknąłem solidny łyk.

Alkohol palił w gardle i rozbudzał po męczącej trasie do Albany i z powrotem. Usiadłem wygodniej, a Hughes poczęstował mnie papierosem. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu. Wreszcie odezwałem się:

- Doktorze...

- Może mi pan mówić Jack. Ten szpital wymaga zachowania bardzo sztywnych form. Pacjenci nabierają zaufania słysząc, jak przez cały czas mówi się do wszystkich "panie doktorze". Nie sądzę jednak, by pan potrzebował tego typu zaufania.

- Dziękuję, Jack. Jestem Harry.

- Tak lepiej. Miło cię poznać, Harry. Pociągnąłem łyk bourbona.



- Posłuchaj, Jack - zacząłem jeszcze raz. - Czy zastanawiałeś się kiedy, co my właściwie robimy i dlaczego? Karen Tandy znam niewiele lepiej niż ciebie. Czasem myślę sobie, czemu do diabła gnam do Albany i z powrotem dla kogoś, kogo dopiero poznałem.

Jack Hughes uśmiechnął się.

- Czy sądzisz, że każdy, kto pomaga ludziom nie zadaje sobie tego samego pytania? Sam je sobie stawiam z dziesięć razy dziennie. W przypadku lekarzy ludzie uważają, że im się to należy. Przychodzą do ciebie gdy zachorują i uważają, że jesteś wspaniały, ale jak tylko poczują się lepiej, przestajesz ich interesować. Niektórzy pacjenci czują wdzięczność. Co roku dostają od nich kartki na święta. Lecz większość nie poznałaby mnie, choćbyśmy się zderzyli na ulicy.

- Chyba masz rację - przyznałem.

- Wiem, że mam - odparł Jack. - Ale w tym przypadku chodzi chyba o coś innego. Interesuje mnie on dla innych niż zwykle powodów. Moim zdaniem, to coś rosnące w Karen Tandy reprezentuje cały problem medyczny i kulturowy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Jack wstał i podszedł, by usiąść na biurku obok mnie.

- Popatrz na tę sprawę z tej strony - powiedział. - Fascynującą cechą Amerykanów jest to, że zawsze uważano ich za całkiem nowy naród, wolny od ucisku i wolny od poczucia winy. Od chwili jednak, gdy biały człowiek się tu osiedlił, nosi w sobie wbudowaną w sumienie bombę zegarową. W Deklaracji Niepodległości znajdziesz nawet próbę zatuszowania tej winy. Pamiętasz? Jefferson napisał o "bezlitosnych indiańskich dzikusach, których jedyną metodą walki jest mordowanie bez różnicy ludzi wszelkiego wieku, płci i stanu". Od samego początku Indianin nie był uznawany za indywidualium, któremu Stwórca nadałby jakiegokolwiek niezbywalne prawa. Poczucie winy zniszczyło stopniowo poczucie posiadania i przynależności do naszego własnego kraju. To nie jest nasza ziemia. To ziemia, którą ukradliśmy. Opowiadamy dowcipy o Peterze Minit kupującym Manhattan za dwadzieścia cztery dolary. Dzisiaj tego typu układ uznawany jest za kradzież, oszustwo czystej wody. Dochodzi jeszcze cała sprawa Wounded Knee i wszystkich innych rzezi Indian, Nic nie możemy na to poradzić i chyba nie powinniśmy próbować, lecz mimo wszystko jesteśmy winni.

Nie słyszałem go jeszcze mówiącego z takim zapalem. Zaciągnął się i strzepnął popiół ze swych pogniecionych spodni.

- Właśnie dlatego ta sprawa jest tak interesująca. I przerażająca - stwierdził. - Jeśli to prawda z tym szamanem, to po raz pierwszy w historii biali ludzie z rozwiniętym w pełni poczuciem winy spotkają się z czerwonoskórym z pierwszych dni naszego osadnictwa. Dziś myślimy o Indianach całkiem inaczej. W siedemnastym wieku byli dzikusami i stali na drodze naszej potrzebie ziemi i naszej zachłanności. Dziś, teraz, mamy wszystko, czego nam trzeba i możemy sobie pozwolić na litość i tolerancję. Wiem, że cały czas zastanawiamy się, jak zniszczyć tego szamana, jak z nim walczyć, czy jednak nie masz dla niego także odrobiny współczucia? Zgniotłem niedopałek papierosa.

- Odczuwam współczucie dla Karen Tandy.

- Tak - przyznał Jack. - To oczywiste. Jest naszą pacjentką i jej życie znalazło się w strasznym niebezpieczeństwie. Ale czy dla niego nic nie czujesz?

W dziwny sposób Jack Hughes miał rację. Czuję coś. Drobną część mego umysłu pragnęła, by ten szaman przeżył. Gdyby był jakiś sposób zachowania przy życiu Karen Tandy i jego, to ten właśnie sposób bym wybrał. Bałem się go, jego potęgę i opanowanie magii napełniały mnie lękiem, lecz równocześnie był kimś w rodzaju bohatera z legendy i zniszczenie go oznaczałoby zniszczenie części amerykańskiego dziedzictwa. Był ostatnim żywym pomnikiem haniebnej przeszłości naszego kraju i zabić go znaczyło zdeptać ostatnią iskierkę owego ducha, który dał Stanom Zjednoczonym tak barwne i mistyczne podstawy. Był ostatnim reprezentantem prawdziwej magii Ameryki.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Jack podniósł słuchawkę.

- Hughes.

Ktoś w telefonie mówił coś bardzo podnieconym głosem. Jack zmarszczył czoło i kiwnął głową.

- Kiedy? Jesteście pewni? Próbowaliście je wyważyć? Co to znaczy: nie da się? Wreszcie odłożył słuchawkę na miejsce.

- Coś złego? - spytałem.

- Nie wiem. Chodzi o Karen. McEvoy twierdzi, że nie mogą otworzyć drzwi. Coś

się dzieje w jej pokoju, a oni nie mogą otworzyć drzwi.

Wybiegliśmy z gabinetu do windy. Były tam już dwie pielęgniarki z wózkiem pełnym butelek i miseczek. Straciliśmy cenne sekundy zanim odsunęły się z drogi. Weszliśmy, nacisnąłem guzik dziesiątego piętra i winda zaczęła opadać.

- Do diabła, co się tam mogło stać? - spytałem w napięciu.

- Kto wie... - Jack pokręcił głową.

- Mam tylko nadzieję, że szaman nie potrafi jeszcze korzystać ze swej siły - powiedziałem. - Bo jeśli potrafi, to już po nas.

- Nie wiem - odparł Jack. - Chodź, jesteśmy na miejscu.

Drzwi windy rozsunęły się z sykiem. Pobiegliśmy korytarzem do pokoju Karen. Przed drzwiami stał doktor McEvoy, dwaj pielęgniarze i radiolog Selena.

- Co się stało? - rzucił Jack.

- Została sama najwyżej na parę sekund - wyjaśnił McEvoy. - Pielęgniarze się właśnie zmieniali. I kiedy Michael próbował wejść z powrotem, nie mógł otworzyć drzwi. Proszę popatrzeć.

Zajrzeliśmy do środka przez szybę w drzwiach. Ze zdumieniem zauważyłem, że w łóżku Karen Tandy pozostała jedynie zepchnięta w bok, pomięta pościel.

- Tam - szepnął Jack. - W kącie.

Wykrzywiłem głowę i dostrzegłem Karen stojącą pod przeciwną ścianą. Twarz miała straszliwie bladą, ściągnięte w groteskowym uśmiechu wargi odsłaniały wyszczerzone zęby. Pochylała się w przód pod ciężarem wielkiego, rozdętego bąbla na karku, a jej długa, biała szpitalna koszula rozdarta na ramionach odsłaniała wyschnięte piersi i sterczące żebra.

- Wielki Boże! - jęknął Jack. - Ona tańczy!

Nie mylił się. Karen przestępowała wolno z nogi na nogę w tym samym niesłyszalnym rytmie co niedawno pani Herz. Zdawało się, że skacze w takt muzyki bezgłośnego bębna lub milczącego fletu.

- Musimy się tam dostać - oznajmił Jack. - Ona się wykończy tym podskakiwaniem.

- Michael, Wolf - zwrócił się McEvoy do pielęgniarzy.

- Dacie radę wyważyć te drzwi?

- Spróbujemy, panie doktorze - odparł Wolf, krępy młody Niemiec z krótko, po wojskowemu przyciętymi włosami. - Przykro mi, że do tego doszło, ale nie zdawałem sobie sprawy...

- Wywalcie tylko te drzwi - rzucił Jack.

Obaj mężczyźni cofnęli się o metr czy dwa i razem uderzyli w drzwi. Trzasnęły, poleciały drzazgi, pękła szyba. Przez nierówną dziurę dmuchnął niezwykły, zimny powiew, podobny do tego, jaki wiał w czasie naszego seansu w mieszkaniu pani Karmann.

- Jeszcze raz - poleciał Jack.

Michael i Wolf cofnęli się znowu i uderzyli. Tym razem wyrwane z zawiasów drzwi zawisły krzywo otwierając wejście.

Hughes przekroczył je i ruszył prosto do kołyszącej się i podskakującej na dywaniku Karen. Wielki, nabrzmiały garb trząsał się i drgał przy każdym jej kroku. Wyglądało to tak obrzydliwie, że poczułem mdłości.

- Uspokój się, Karen - powiedział łagodnie Jack Hughes.

- Wracaj do łóżka.

Karen okręciła się na bosej pięcie i spojrzała na niego. Tak jak poprzednim razem, oczy miała obce, dzikie, przekrwione, pełne poczucia siły.

Jack podchodził do niej wyciągając ręce. Cofała się wolno, w jej oczach wciąż płonęła nienawiść. Garb skreślił się i szarpnął, jak worek z uwięzioną wewnątrz owcą.

- On... mówi... że... nie... możesz... - zacinając się powiedziała własnym głosem. Hughes zatrzymał się.

- Mówi, że nie mogę czego, Karen? Oblizwała wargi.

- Mówi... że... nie... możesz... go... dotykać.

- Ależ, Karen - nie dawał za wygraną Jack. - Jeśli nie zadbamy o ciebie, on też nie przeżyje. Robimy co możemy dla was obojga. Szanujemy go. Chcemy żeby żył.

Cofnęła się jeszcze o krok, zrzucając na podłogę tacę z instrumentami.

- On... ci... nie... wierzy.

- Ale dlaczego, Karen? Czy nie zrobiliśmy wszystkiego, co możliwe, żeby mu pomóc? Nie jesteśmy żołnierzami ani wojownikami. Zajmujemy się leczeniem, jak on. Nie chcemy go skrzywdzić.

- On... cierpi.
- Cierpi? Dlaczego?
- Boli... go... On... cierpi.
- Czemu go boli? Co mu się stało?
- On... nie... wie... Cierpi... To... było... światło.
- Światło? Jakie światło?

- On... zabije... was... wszystkich... Nagle przestała się kołysać. Krzyknęła. Krzycząc padła na kolana, drapiąc i szarpiąc swój kark. Michael i Wolf podskoczyli do niej i szybko przenieśli do łóżka. Jack Hughes przygotował strzykawkę z czymś na uspokojenie i bez wahania wbił jej w ramię igłę. Cichła stopniowo, by wreszcie zapaść w nerwowy sen. Cały czas rzucała się i trzęsła, a jej powieki drżały.

- To załatwia sprawę - oświadczył Jack.

- Jaką sprawę? - zdziwiłem się.

- Idziemy prosto do jej rodziców i tłumaczymy im dokładnie, co się dzieje z ich córką. Ściągamy tego szamana z Południowej Dakoty i walczymy z tą bestią, póki nie będzie martwa.

- Żadnego poczucia winy? - spytałem. - Żadnego współczucia?

- Oczywiście, żywię współczucie i poczucie winy. I właśnie dlatego, że je odczuwam, muszę go zlikwidować.

- Nie rozumiem.

- Harry - powiedział Jack. - Ten szaman cierpi. Nie wie dlaczego, ale twierdzi, że to światło. Jeśli wiesz cokolwiek o ginekologii to słyszałeś, że nigdy nie prześwietlamy płodu, póki nie ma pewności, że jest martwy, albo że jest zagrożeniem dla życia matki. To dlatego, że przy każdym prześwietleniu promienie niszczą komórki w obszarze, na który zostaną skierowane. U dorosłych nie ma to większego znaczenia, ponieważ są już w pełni dojrzały i strata kilku komórek im nie zaszkodzi. Ale u embriona jedna zniszczona komórka może oznaczać, że palec albo nawet cała ręka lub noga się nie rozwiną.

Patrzyłem na niego przerażony.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że zalaliśmy go takim strumieniem promieni rentgena, że

można by przy nich widzieć na przestrzał Fort Knox w mglisty dzień.

Spojrzałem na pokryty siatką żył skręcający się bąbel na karku Karen Tandy.

- Innymi słowy - stwierdziłem - to potwór. Zdeformowaliśmy go.

Jack Huges pokiwał głową.

Na dworze znowu padał śnieg.

## ROZDZIAŁ 5

### W MROK

Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Nie mam pojęcia, jak powinien wyglądać współczesny szaman, ale Śpiewając?, Skała przypominał raczej agenta ubezpieczeniowego niż czarnoksiężnika władającego starożytną magią Indian. Kiedy rano przyleciał ze Sioux Falls i wyszedłem po niego na La Guardia, był ubrany w jasnoszary wełniany garnitur, jego krótkie włosy błyszcząły niczym nasmarowane olejem, a na niezupełnie orlim nosie nosił okulary w grubych oprawkach.

Miał ciemną cerę, czarne, błyszczące oczy i więcej zmarszczek na pięćdziesięcioletniej twarzy niż można by oczekiwać u białego. Poza tyra wyglądał tak zwyczajnie i nieciekawie jak każdy inny podróżujący biznesmen.

Podszedłem do niego wyciągając rękę. Sięgał mi ledwie do ramienia.

- Pan Śpiewająca Skała? Nazywam się Harry Erskine.

- Witam. Nie musi się pan do mnie zwracać pan Śpiewająca Skała. Samo Śpiewająca Skała zupełnie wystarczy. Cóż za paskudny lot, śnieżyce przez całą drogę. Już myślałem, że będziemy musieli lądować w Milwaukee.

- Mój samochód czeka przy wyjściu - powiedziałem. Zabraliśmy bagaż i wyszliśmy na parking. Przymglone słońce roztapiało miękki śnieg, a w powietrzu unosiło się przecucie wiosny. Rządek kropel spadał z jakiegoś parapetu na chodnik i jedna z nich wpadła mi za kołnierz. Spojrzałem w górę.

- Jak to się dzieje, że nie spadają na pana? - zdziwiłem się.

- Jestem szamanem - wyjaśnił uprzejmie Śpiewająca Skała. - Myśli pan, że kropla wody ośmieliłaby się mnie uderzyć?

Wsadziłem walizki do bagażnika i wsiedliśmy do wozu.

- Lubi pan Cougara? - zapytał Śpiewająca Skała.

- Jest bardzo wygodny - odparłem. - Tak, lubię go.

- Też mam takiego, tylko zielonego - oznajmił. - Jeżdżę nim na ryby w czasie

weekendów. Do pracy używam Marquisa.

- O... - odparłem. Wyglądało na to, że szamański interes rozwija się ostatnio w rezerwatach całkiem nieźle.

W drodze z La Guardii na Manhattan spytałem Śpiewającą Skałę, co wie o przypadku Karen Tandy.

- Powiedziano mi, że jakiś dawny szaman chce odrodzić się ponownie w jej ciele - odpowiedział.

- I uwierzył pan w to bez oporów?

- Dlaczego nie... widywałem już dziwniejsze rzeczy. Ucieczka w inny czas to silny czar, lecz znane są takie przypadki. Skoro pan mówi, że to prawda i doktor Snów mówi, że to prawda, jestem skłonny uwierzyć, że tak jest istotnie.

- Wie pan, że całą tę sprawę należy zachować w ścisłej tajemnicy? - spytałem wyprzedzając jakąś ciężarówkę i włączając wycieraczki, by zetrzeć krople wody tryskające spod jej tylnych kół.

- Naturalnie. Zresztą i tak wolałbym tego nie rozgłaszać. Mam w Południowej Dakocie dobrze prosperujący interes i nie chciałbym, by moi klienci pomyśleli, że wracam do zwyczajów dzikusów.

- Wie pan także, że ten szaman jest wyjątkowo potężny? Śpiewająca Skała pokiwał głową.

- Musi być potężny, jeśli potrafił przetrwać się przez trzy stulecia. Zacerpnałem nieco wiadomości na ten temat. Jak się wydaje, im większy jest odstęp czasowy, przez jaki szaman potrafi się przenieść, tym silniejsza powinna być jego magia.

- Czy dowiedział się pan czegoś więcej?

- Niewiele, lecz dość by się zorientować, jakie kroki będę musiał podjąć. Słyszał pan zapewne o Gitche Manitou, Wielkim Duchu? Otóż to: tutaj mamy do czynienia z duchem, lub z manitou tego konkretnego szamana. Jest najwyraźniej bardzo potężny, co oznacza, że nawet jego poprzednie życie, w 1650 roku, było czwartą lub piątą reinkarnacją. Widzi pan, za każdym pojawieniem się na ziemi w ludzkiej postaci manitou zdobywa więcej siły i wiedzy. Kiedy osiągnie siódmą czy ósmą reinkarnację jest gotów, by na zawsze połączyć się z Gitche Manitou w czysto duchowej formie. To jakby dyplom.



Zmieniłem pas ruchu.

- W europejskim spirytyzmie istnieje podobna koncepcja. Chciałbym się jednak dowiedzieć, jak można pokonać takiego manitou.

Śpiewająca Skała wyłowił z kieszeni niewielkie cygaro i zapalił.

- Nie twierdzę, że to łatwe - oświadczył. - Właściwie cała technika polega na metodzie prób i błędów. Ale główna zasada jest taka: każde magiczne zaklęcie daje się odwrócić. Nie można go zneutralizować. Nie można go powstrzymać. Ma ono swoją magiczną inercję i starać się tę inercję wyhamować to jakby stanąć przed pociągiem ekspresowym. Można jednak zawrócić ten pociąg i posłać go z powrotem drogą, którą przybył. Potrzebna jest tylko wystarczająca moc, by zmienić jego kurs o sto osiemdziesiąt stopni.

- To może być prostsze niż pan sądzi - oznajmiłem. - Lekarze prześwietlali tego szamana gdy był jeszcze w stadium embrionalnym i wygląda na to, że został zdeformowany lub okaleczony.

- To nie ma znaczenia - odparł Śpiewająca Skała. - Czar został rzucony, gdy był jeszcze zdrow i cały, tylko to się liczy.

- Czy naprawdę potrafi pan go zmusić, by opuścił Karen Tandy?

- Mam nadzieję. Nie jestem dość silny, żeby go odesłać z powrotem w siedemnasty wiek. Do tego trzeba bardzo potężnego i doświadczonego szamana - kogoś o wiele silniejszego ode mnie. Potrafię jednak usunąć go z jej ciała, odwrócić wewnętrzny proces rozwoju i skierować go do kogoś innego. Poczułem nieprzyjemny chłód.

- Kogoś innego? Nie może pan tego zrobić. Jakiż sens ma ratowanie życia Karen Tandy, jeśli przy okazji zabijemy innego człowieka?

Śpiewająca Skała wypuścił kłęb dymu z cygara.

- Przykro mi, panie Erskine. Sądziłem, że zrozumiał pan wiążące się z zadaniem problemy. Nie ma innego sposobu.

- Ale do kogo przejdzie manitou?

- To może być ktokolwiek. Musi pan sobie zdać sprawę, że będzie walczył o swoje życie. Zdecyduje się na każdego, byle wystarczająco podatnego i słabego żywiciela.

Westchnąłem. Poczułem nagle, że jestem śmiertelnie wyczerpany. Nie jest łatwo zmagać się z kimś, kto nie zna pojęcia fizycznego zmęczenia i kto walczy o własne

życie.

- Jeśli to prawda co pan mówi, Śpiewająca Skała, to od razu może pan wracać do Południowej Dakoty. Śpiewająca Skała zmarszczył brwi.

- Przecież z pewnością nie będzie się pan sprzeciwiał, jeśli przeniesiemy manitou w kogoś bezużytecznego, jakiegoś bez nadziejnego narkomana, albo włóczęgę z Bowery czy czarnego kryminalistę.

- To wykluczone, Śpiewająca Skała. Do tego wszystkiego doszło tylko dlatego, że jedna rasa kierowała się uprzedzeniami wobec drugiej. Gdyby Holendrzy nie zagrozili temu szamanowi wtedy w 1650, on teraz nie zagrażałby nam, Nie można usprawiedliwić tego samego grzechu wobec innej rasowej mniejszości. Tylko powtarzalibyśmy zło.

Indiański szaman w szarym garniturze spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- To zabawne, słyszeć takie słowa z ust białego - stwierdził. - Mój ojciec i dziad, a przed nim pradziad, wszyscy oceniali białych ludzi tak samo: pozbawione skrupułów diabły o kamiennych sercach. Dzisiaj, kiedy w końcu nauczyliście nas, jak być równie twardymi i bezkompromisowymi jak wy, sami tracicie te cechy.

Koła Cougara syczały na mokrej jezdni. Do środka wpadł przez szybę żółty promień słońca.

- Cóż, może teraz jest nam łatwiej - zauważyłem. - Mamy wszystko czego chcieliśmy i możemy sobie pozwolić na miłosierdzie. Jednak, niezależnie od powodów, nie mogę pozwolić na przeniesienie manitou w kogoś innego, niezależnie od jego rasy i tego, jak bardzo jest nieużyteczny. To po prostu niemożliwe.

- W porządku - mruknął Śpiewająca Skała. - Jest inne wyjście. Uprzedzam jednak, że o wiele bardziej niebezpieczne.

- Jakie?

- Zaczekamy, aż szaman opuści ciało Karen Tandy.

- Przecież to ją zabije! Będzie martwa.

- W ogólnie przyjętym sensie, tak. Lecz jej własny manitou, albo duch, nadal będzie żył w tym szamanie. Tak, że da się ją jeszcze uratować.

Tymczasem dotarliśmy na Manhattan. Zwolniłem i zatrzymałem się na czerwonym świetle.

- Nie rozumiem.
- Istotnie, nie jest to proste - przyznał Śpiewająca Skała,
- Kiedy szaman wyjdzie już na świat, pojawi się możliwość fizycznego kontaktu. Będziemy mogli go uwięzić pod warunkiem, że oprócz krat posłużymy się zaklęciami. Wtedy można go będzie zmusić do oddania Karen Tandy jej manitou,
- Zmusić go? - - zdziwiłem się. - Jak?
- Przyzywając moc Gitche Manilou. Wszystkie pomniejsze manitou poddają się potędze Wielkiego Ducha.
- Czy on nie może uczynić tego samego, .. i zabić pana. Śpiewająca Skała? Indianin w zamyśleniu ssał koniec cygara.
- Jest to ryzyko, które musiał bym podjąć.
- I podejmie je pan?
- Jeśli mi się opłaci.
- A za ile się panu opłaci?
- Za dwadzieścia tysięcy dolarów.
- Dobrze - skrzywiłem się. - Trudno mieć do pana pretensję. Gdybym to ja miał narażać życie, zażądałbym dużo więcej.
- W takim razie - rzekł Śpiewająca Skała wyrzucając przez okno niedopałek cygara
- trzydzieści tysięcy.

Decyzja należała do rodziców Karen. Nikt inny nie był w stanie zapłacić za czary Śpiewającej Skały i nikt inny nie miał prawa wyrazić zgody na ich użycie. Zawiozłem szamana do swojego mieszkania przy Dziesiątej Alei, aby wziął prysznic i wypił kawę, a sam zatelefonowałem do nich. Wyjaśniłem, kim jestem i zaprosili mnie na lunch. Miałem tylko nadzieję, że jedzenie nie stanie im kością w gardle gdy usłyszą, co proponuje Śpiewająca Skała.

O pierwszej dotarliśmy do mieszkania pani Karmann. Rano był tu szklarz i naprawił wybite w czasie seansu okno. W pokoju było teraz ciepło, przytulnie i elegancko, choć w powietrzu nadal wyczuwało się napięcie.

Jeremy Tandy był suchym, jasnowłosym mężczyzną przed pięćdziesiątką. Nosił ciemny garnitur w stylu Nixona i nieskazitelnie białą koszulę. Jego twarz miała w sobie coś z chochlika, jak twarz Karen, lecz była dojrzała i ukształtowana w

twardsze, bardziej zdecydowane rysy.

Jego żona, Erica Tandy, niewysoka i drobna, miała długie kasztanowe włosy i zadziwiająco duże oczy. Czarną garsonkę od Diora ozdobiła kontrastującą, prostą złotą biżuterią. Zafascynowały mnie jej długie, lśniące paznokcie i zegarek Piaget za 5000 dolarów.

Pani Karmann kręciła się wokół i próbowała wprawić nas wszystkich w swobodny nastrój. Mogła oszczędzić sobie wysiłku. Atmosfera była zbyt napięta, by jakiegokolwiek uprzejme rozmówki mogły coś zmienić.

- Nazywam się Harry Erskine - oznajmiłem ściskając dłoń Jeremy'ego Tandy tak energicznie, jak tylko potrafiłem. - A to pan Śpiewająca Skała z Południowej Dakoty.

- Wystarczy samo Śpiewająca Skała - wtrącił szaman.

Rozlokowaliśmy się na krzesłach i sofach, a Jeremy Tandy poczęstował wszystkich papierosami.

- Doktor Hughes opowiedział mi, że interesuje się pan przypadkiem mojej córki - powiedział. - Ale nie wyjaśnił, kim pan jest i czym się pan zajmuje. Czy zechciałby pan oświecić mnie w tym względzie?

Chrząknąłem.

- Panie Tandy... i pani Tandy. Wiele z tego, co teraz powiem wyda się państwu wysrane z palca. Mogę tylko zapewnić, że sam byłem z początku równie sceptyczny. Dowody jednak są tak przekonujące, że każdy kto zapoznał się z przypadkiem choroby państwa córki musi się zgodzić, że taka właśnie jest prawdopodobnie - nie chcę używać słowa "na pewno" - jej przyczyna.

Krok po kroku opowiedziałem, jak Karen przyszła do mnie by zwierzyć się ze swych snów. jak odnalazłem holenderski żaglowiec i jak Amelia wywołała ducha szamana. Wyjaśniłem, na czym polegały reinkarnacje szamanów i czego się dowiedzieliśmy podczas wizyty doktora Snów. Wreszcie powiedziałem o Śpiewającej Skale, o tym, co chce spróbować i ile to będzie kosztowało.

Jeremy Tandy słuchał beznamiętnie. Co jakiś czas łykał brandy z kieliszka i palił jednego papierosa za drugim, lecz poza tym jego twarz nie zdradzała śladu emocji.

Kiedy skończyłem wyprostował się i spojrzał na żonę. Wyglądała na oszołomioną i zaszokowaną. Nie mogłem mieć do niej pretensji. Gdy opowiada się o tym wszystkim

chłodno i spokojnie, brzmi to rzeczywiście fantastycznie.

Jeremy Tandy pochylił się w moją stronę i spojrzał mi w oczy.

- Chcecie mnie naciągnąć, prawda? - spytał szorstko. - Jeśli tak, powiedzcie od razu i na tym skończymy sprawę. Pokręciłem głową.

- Panie Tandy, zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi nieprawdopodobnie, jeśli jednak zatelefonuje pan do doktora Hughesa, powie panu to samo. No i ma pan żelazną gwarancję, że to nie oszustwo. Nie musi pan płacić ani grosza dopóki Karen nie wyzdrowieje. Jeśli nie, będzie to oznaczać, że Śpiewającej Skale się nie powiodło, a wtedy pieniądze i tak nie będą mu potrzebne. Jeżeli przegra, może zginać.

Śpiewająca Skala pokiwał posepnie głową.

Jeremy Tandy wstał i zaczął chodzić po pokoju niby puma w klatce.

- Moja córka jest ciężko chora - warknął. - Mówią, że umiera. Potem mówią, że ma urodzić trzystuletniego szamana, Jeszcze potem, że potrzebuje innego szamana, żeby się pozbyć tego pierwszego, a to wszystko ma mnie kosztować trzydzieści tysięcy dolarów.

Odwrócił się do mnie.

- Czy to jest bzdura, czy nie? - zapytał. Starłem się nie tracić cierpliwości.

- Panie Tandy, wiem że brzmi to jak rojenia szaleńca. Czemu jednak nie zadzwoni pan do doktora Hughesa? Jest specjalistą od nowotworów. Wie więcej o guzach niż ja o nowojorskim metrze, a podróżuję nim od czasów, kiedy bez schylania wchodziłem pod stół. Niech pan dzwoni. Niech pan sprawdza. Ale niech pan nie traci czasu, ponieważ Karen umiera i nikt nie zna innego sposobu jej ratowania.

Jeremy Tandy zatrzymał się i spojrzał na mnie przekrzywiając głowę.

- Chcę pan powiedzieć, że to nie żart?

- Nie, panie Tandy, to nie żart. Mówię zupełnie poważnie. Proszę spytać pani Karmann. Ona też widziała tę twarz na stole. Prawda, proszę pani?

Pani Karmann przytaknęła.

- To prawda, Jerry. Widziałam ją na własne oczy. Ufam panu Erskine. On nie kłamie. Pani Tandy wyciągnęła rękę i ujęła dłoń męża.

- Jerry, kochanie, jeśli to jedyny sposób... musimy to zrobić.

Zapadła cisza. Śpiewająca Skala wyjął chusteczkę i głośno wytarł nos. Nigdy nie

przyszłoby mi do głowy, że indiańscy szamani używają chustek do nosa.

Wreszcie Jeremy Tandy rozłożył ręce.

- Zgoda - rzekł. - Wygraliście. Chcę tylko mieć z powrotem swoją córkę, żywą i zdrową. Jeśli potraficie tego dokonać, dam wam sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Trzydzieści wystarczy - stwierdził Śpiewająca Skała i chyba właśnie wtedy Jeremy Tandy uwierzył, że manitou istnieje naprawdę.

Po lunchu zawiozłem Śpiewającą Skałę do Szpitala Sióstr Jeruzalem, by spotkał się z doktorem Hughesem. Karen wciąż podawano silne środki uspokajające, a przy jej łóżku bez przerwy dyżurował pielęgniarz. Jack zabrał nas do niej na dół i po raz pierwszy Śpiewająca Skała zobaczył, przeciwko czemu ma wystąpić. Stał w należytej odległości i spoglądał zmartwiony ponad chirurgiczną maską.

- Fiu - mruknął cicho. - Duża rzecz.

- Co pan o tym sądzi, Śpiewająca Skało? - spytał nerwowo Jack.

- Odpowiadając trochę przerobionym cytatem ze starych westernów, doktorze, powiem, że to cholernie mocna magia. Widziałem wiele niezwykłych rzeczy, ale to...

- Wyjdźmy stąd - zaproponował lekarz.

Wróciliśmy do jego gabinetu i usiedliśmy. Śpiewająca Skała wyciągnął z pudełka na biurku chusteczkę higieniczną i starannie wytarł czoło.

- A więc - zaczął Jack - jaki mamy plan?

- Przede wszystkim uważam, że nie pozostało wiele czasu - oświadczył Śpiewająca Skała. - Przy tych rozmiarach manitou musimy być gotowi najpóźniej na jutro. Będę musiał nakreślić magiczny krąg wokół łóżka tak, żeby ten szaman nie mógł go przekroczyć, kiedy wyjdzie. To powinno go powstrzymać na pewien czas i będę mógł spróbować ujarzmić go swoimi czarami. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jest całkiem możliwe, że jego moc pozwoli mu przekroczyć każdy magiczny krąg, jaki jestem w stanie narysować. Nie wiem... i nie będę wiedział, dopóki on się nie pojawi. Zależy, jak bardzo promieniowanie wpłynęło na jego organizm. Oryginalne zaklęcie, którego użył by się odrodzić jest wciąż tak silne, jakim potrafił je czynić wtedy, w 1650. Lecz każdy nowy czar, który spróbuje rzucić, może być osłabiony tym, co mu zrobiliście. Choć, z drugiej strony, niekoniecznie. Nie można na to liczyć. Niewykluczone, że będzie tylko bardziej żądny zemsty, a jego magia jeszcze

straszniejsza.

- Nie robi nam pan wielkich nadziei - westchnął Jack.

- Nie mogę - stwierdził Śpiewająca Skała. - To jest dokładnie historia Dawida i Goliata. Jeśli uda mi się trafić go kamieniem z mojej małej procy, to przy dużym szczęściu mogę go powalić. Jeśli chybię, zmiążdży mnie.

- Czy potrzebuje pan czegoś? - spytałem - Może magicznych przedmiotów?

Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- Wszystkie rzeczy przywiozłem ze sobą. Gdyby można wydostać moją walizeczkę z pańskiego samochodu, Harry, zacząłbym natychmiast, od kreślenia magicznego kręgu. Da nam to przynajmniej jakąś ochronę.

Hughes sięgnął po telefon i poprosił portiera. Gdy ten się pojawił, posłał go na dół, do mojego wozu w podziemnym garażu, by przyniósł walizkę.

- Cokolwiek się stanie -- ostrzegł Śpiewająca Skała - nie wolno ruszać ciała Karen Tandy, gdy szaman już je opuści. W żadnym wypadku nie wolno go dotykać. Jeśli je poruszycie choćby odrobinę, szansę, by jej manitou zdołał powrócić i ożywić i będą praktycznie żadne.

- A co będzie, gdy szaman sam je poruszy? - spytałem. Śpiewająca Skała zrobił nieszczęśliwą minę.

- Jeżeli to nastąpi, to zapewne tracimy tylko czas.

- Nie rozumiem tylko - wtrącił się do rozmowy Jack - dlaczego nie można go zwyczajnie zastrzelić. Jest w końcu ludzką istotą, z krwi i kości.

- To zniweczyłoby wszystko, czego próbujemy dokonać -- oświadczył Śpiewająca Skała. - Jeśli się go zastrzeli, jego duch powędruje do tego, co Indianie nazywają Krainą Wiecznych Łowów. A także duch Karen Tandy, i inne duchy, które mógł zebrać w swych reinkarnacjach. Gdybyśmy w ten sposób go zniszczyli, Karen Tandy będzie stracona. On posiadał jej manitou i tylko on może go wyzwolić. Dobrowolnie lub pod przymusem.

- I raczej nie ma szans, żeby wyzwolił go dobrowolnie...? - zapytał Jack.

- Beznadziejne - odparł Śpiewająca Skała.

- A jak pan ocenia swoje szansę zmuszenia go do tego? Śpiewająca Skała w zamyśleniu podrapał się w policzek.

- Trzy procent - orzekł. - O ile będę miał szczęście.

Wszedł portier z walizką. Śpiewająca Skała położył ją na biurku i otworzył. O ile mogłem dostrzec, pełna była starych włosów, kości i paczek proszku.

- W porządku - stwierdził. - Jest wszystko. Chodźmy kreślić krąg.

Znów zjechaliśmy do izolatki Karen. Leżała w tej samej pozycji co poprzednio, blada, z rozdętym guzem sięgającym niemal do pasa. Śpiewająca Skała nie patrzył na nią. Zaczął wyciągać z walizki proszki i kości układając je równo na podłodze.

- Chcę, żebyście zapamiętali - oświadczył. - Gdy nakreślę już krąg, nie wolno go dotykać ani w żaden sposób naruszać. Możecie go przekraczać, lecz niezwykle ostrożnie, by o niego nie zaczepić ani nie przerwać. Naruszony, choćby minimalnie, krąg jest bezużyteczny.

- W porządku - zgodził się Jack. - Dopilnuję, żeby każdy kto tu wchodzi miał to na uwadze.

Śpiewająca Skała opadł na kolana i z papierowego pudełka zaczął sypać czerwony proszek, tworząc kolistą ścieżkę dookoła łóżka. Potem, wewnątrz tego kręgu, powtórzył całą operację z białym proszkiem. W równych odstępach ułożył zbielełe ludzkie kości, nad każdą z nich nucąc cicho jakieś zaklęcia. Potem rozłożył wokół kręgu girlandę ludzkich włosów - stare skalpy z historycznego totemu jego szczepu.

- Chroń mnie, Gitche Manitou - modlił się. - Gitche Manitou, usłysz mnie i ochroń mnie.

Gdy wypowiedział te słowa poczułem, jak zimny dreszcz przebiega mi po karku - Karen, w łóżku, otworzyła jedno oko i wpatrywała się w Śpiewającą Skałę z chłodną wrogością.

- Śpiewająca Skała powiedziałem cicho wskazując palcem.

Indianin obejrzał się i dostrzegł pełne nienawiści spojrzenie. Nerwowo oblizał wargi, po czym przemówił do Karen spokojnym, choć pełnym napięcia głosem.

- Kim jesteś? - zapytał. - Skąd przybywasz? Karen milczała, Jęcz po chwili szepnęła chrapliwie:

- Jestem... o... wiele... potężniejszy... od... ciebie. Twoje... czary... nie... mają... dla... mnie... znaczenia... Wkrótce... ci?... zabije... mały... bracie.

- Jak się nazywasz?



- Imię... me... brzmi... Misquamacus... Wkrótce... cię... zabiję... mały... bracie... z...  
równin.

Śpiewająca Skała cofnął się nerwowo wpatrzony w otwarte oko. I nawet, gdy zasłoniła je powieka, nadal niespokojnie wycierał ręce o chirurgiczny fartuch.

- O co chodzi? - zdziwiłem się.

- To Misquamacus -- szepnął, jakby się bał, że ktoś go podsłucha. - Jeden z najświetniejszych i najpotężniejszych szamanów w całej historii Indian.

- Słyszał pan o nim?

- Każdy, kto wie coś o indiańskiej magii, musiał o nim słyszeć. Nawet Siuksowie wiedzieli o nim dawno temu, zanim przyszli biali ludzie. Uważano go za największego z szamanów. Utrzymywał kontakt z manitou i demonami, jakich żaden inny szaman nie ośmieliłby się przywołać.

- Co to znaczy? - spytał Jack Hughes. - Czy nie będzie pan mógł z nim walczyć?

Twarz Śpiewającej Skały pod chirurgiczną maską była mokra od potu.

- Mogę z nim walczyć, naturalnie. Ale nie dałbym wiele za swoje zwycięstwo. Misquamacus potrafił podobno narzucać swoją wolę najstarszym i najgroźniejszym z indiańskich duchów. Istniały manitou tak stare i wrogie, że gdy biali ludzie przybyli do Ameryki większość szczepów znała je tylko z legend. Jeden Misquamacus wzywał je regularnie, by mu służyły. Jeśli robi to teraz, dzisiaj, nie wyobrażam sobie, co może się zdarzyć.

- Ale co mogą zrobić duchy? - zdziwiłem się. - Czy potrafią skrzywdzić ludzi, którzy nie wierzą w nie?

- Oczywiście - potwierdził Śpiewająca Skała. - Jeśli ktoś nie wierzy, że tygrys może go poranić, nie powstrzyma to tygrysa, prawda? Wezwane do fizycznego świata manitou posiadają fizyczną siłę i fizycznie istnieją.

- Święty Chryste - westchnął Jack Hughes. Śpiewająca Skała pociągnął nosem.

- On nie pomoże. Te demony nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem. Chrześcijańskie diabły można zwalczyć krzyżykiem i wodą święconą, lecz te będą się z tego śmiać.

- Ten krąg - wskazałem pierścień proszków i kości. - Czy go powstrzyma? Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- Nie sądzę. W każdym razie nie dłużej niż kilka minut. Może da mi to chwilę czasu, by rzucić na niego kilka zaklęć, coś, co przytrzyma go dłużej. Misquamacus był jednak jednym z największych specjalistów od magicznych kręgów. Potrafił wykreślać takie, które powstrzymywały najstraszniejsze duchy. To najsilniejszy krąg jaki umiem stworzyć, lecz on pewnie przerwie go bez większych kłopotów.

- Martwię się o Karen - wtrącił Jack. - Jeśli tu, w jej pokoju, ma się odbyć wielka bitwa czarnoksiężników, to czy ona to przeżyje?

- Doktorze Hughes - odparł Śpiewająca Skała. - W tej sytuacji możemy wygrać wszystko albo nic. Jeżeli zwyciężę w tej walce, ona przeżyje. Jeżeli nie, nie ma żadnych gwarancji, że przeżyje ktokolwiek. Szaman tak potężny jak Misquamacus może bez trudu zabić nas wszystkich. Zdaje się, że pan nie rozumie, czym są te demony. Gdy mówię, że są potężne to nie znaczy, że potrafią powalić człowieka. Wypuszczone z otchłani bez żadnej kontroli są zdolne zrównać z ziemią ten szpital, tę dzielnicę, całe miasto.

- Przesadza pan - nie dowierzał Jack.

Śpiewająca Skała raz jeszcze sprawdził swój magiczny krąg i wyprowadził nas z pokoju. Na korytarzu ściągnęliśmy maski i rozwiązaliśmy fartuchy.

- Mogę tylko powiedzieć: poczekamy, zobaczymy - podsumował sytuację Śpiewająca Skała. - Natomiast teraz chętnie zobaczyłbym coś do jedzenia i piwo. Czy w tym szpitalu jest jakiś bufet?

- Chodźcie ze mną - zaproponował Jack. - Przed nami długa noc. Możemy nabrać paliwa już teraz.

Spojrzałem na zegarek. Piąta pięć. Jutro o tej porze będziemy wiedzieli, kto zwyciężył. Jeśli nie my, to nie potrafiłem sobie wyobrazić, co przyniesie piąta pięć we wtorek wieczorem.

Gdy wróciliśmy z bufetu, w gabinecie czekał na mnie porucznik Marino z policji nowojorskiej. Siedział cierpliwie z rękami na kolanach, a jego przycięte na jeża włosy sterczały na wszystkie strony jak u Mickeya Spillane'a tuż przed cotygodniową wizytą u fryzjera.

- Witam, panie Erskine - powiedział wstając, by podać mi rękę.

- Stało się coś, poruczniku? - spytałem nieufnie.

- To i owo. Pan jest zapewne doktorem Hughesem, prawda? - zwrócił się do Jacka.  
- Porucznik Marino - machnął swoją odznaką.

- To Śpiewająca Skała - przedstawiłem Indianina.

- Miło mi pana poznać - odparł porucznik Marino. Wszyscy dookoła zaczęli ścisnąć sobie ręce.

- Jakież kłopoty, poruczniku? - spytałem ponownie.

- Jeszcze jakie. Czy zna pan Amelię Crusoe i Stewarda MacArthura?

- Oczywiście, to moi starzy przyjaciele. Co się stało?

- Nie żyją - oznajmił porucznik Marino. - Rano wybuchł pożar w ich mieszkaniu w Village. Oboje zginęli.

Zdrętwiałem. Drżąc cały znalazłem krzesło i usiadłem. Jack Hughes wyciągnął swoją butelkę bourbona i nalał mi porcję. Pociągnąłem solidnie. Porucznik Marino wsadził mi w rękę zapalonego papierosa. Czułem suchość w gardle i głos mi się łamał.

- Boże, to straszne - powiedziałem z wysiłkiem. - Jak do tego doszło?

- Nie wiemy - Marino wzruszył ramionami. - Myślałem, że może pan mógłby coś wyjaśnić.

- O co panu chodzi? Niby co miałbym wyjaśnić? Dopiero co się dowiedziałem. Detektyw pochylił się i spytał konfidencjonalnym tonem:

- Panie Erskine, w sobotę rano starsza pani nazwiskiem Herz spadła ze schodów i zmarła. Dziś mamy poniedziałek. Dwoje ludzi ginie od dość niezwykłego wybuchu w swoim mieszkaniu. Wszystkie te osoby mają ze sobą coś wspólnego: są pańskimi przyjaciółmi. Czy uważa pan, że postępuję niesłusznie przeprowadzając rutynowe przesłuchanie?

Wyprostowałem się. Moje dłonie drżały jak u paralityka.

- Ma pan rację. Mam jednak świadka, który może potwierdzić, gdzie byłem dziś rano. Pojechałem na La Guardia, żeby spotkać się z obecnym tutaj Śpiewającą Skałą przylatującym z Południowej Dakoty.

- Czy to prawda? - zwrócił się porucznik do Indianina. Śpiewająca Skała skinął głową. Zdawał się nad czymś zastanawiać i chciałem wiedzieć, co go tak zajęło.

- W porządku - Marino wstał. - Tyle chciałem wiedzieć. Przykro mi, że przyniosłem złe wieści. Chciał wyjść, lecz Śpiewająca Skała chwycił go za ramię.

- Poruczniku - zapytał - czy wie pan dokładnie, co zdarzyło się tym ludziom?

- Trudno powiedzieć. Ogień wybuchł momentalnie, raczej jak bomba niż jak pożar. Oba ciała były zwęglone. Sprawdzamy teraz, czy nie wchodzi w grę jakieś środki wybuchowe, ale chyba nic nie znajdziemy. Nie ma tam żadnych zniszczeń typowych dla fali uderzeniowej. Może jakaś nietypowa awaria elektryczna. Nie dowiemy się jeszcze przez jakieś dwa, trzy dni.

- Jasne, poruczniku - powiedział cichym głosem Śpiewająca Skała. - Dziękuję.

Marino zatrzymał się przy drzwiach.

- Panie Erskine, byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby przez dzień czy dwa nie wyjeżdżał pan z miasta. Chciałbym wiedzieć, jak można się z panem skontaktować na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś nowe problemy.

- Naturalnie - obiecałem. - Będę w pobliżu. Gdy tylko wyszedł, Śpiewająca Skała położył mi rękę na ramieniu.

- Harry - powiedział. - Przykro mi. Ale teraz wiemy dokładnie, przeciwko czemu walczymy.

- Chyba nie sądzisz...

-- Nie, nie sądzę - stwierdził. - Ja wiem. Twoi przyjaciele zirytowali Misquamacusa przywołując go w czasie tego waszego seansu. Pojawił się prawdopodobnie tylko po to, by sprawdzić kto ośmielił się wezwać go z otchłani. Wywołanie takiego ognia nie sprawiło mu większego trudu. W magii równin nazywa się to "błyskawica-która-widzi", ponieważ trafia tylko tych, których szaman chce zabić.

- Przecież Harry też uczestniczył w seansie - zauważył Jack Hughes marszcząc brwi. - Dlaczego Misquarnacus nie postąpił z nim tak samo?

- Ze względu na mnie - wyjaśnił Śpiewająca Skała. - Być może nie jestem największym szamanem w historii, lecz amulety chronią mnie przed takimi prostymi czarami. Tak samo jak tych, którzy są moimi przyjaciółmi albo znajdują się w pobliżu. Przypuszczam, że Misquamacus nie jest w stanie w pełni rozwinąć swej magii, ponieważ nie odrodził się jeszcze w pełni. To naturalnie tylko domysły.

- To nie do wiary - stwierdził Jack. - Żyjemy w wieku techniki, a jakaś kreatura sprzed czterystu lat potrafi ognistym wybuchem zabić kogoś o parę kilometrów stąd, w Village. Co się tu dzieje, do diabła?

- Dzieje się magia - oświadczył Śpiewająca Skała. - Prawdziwa magia tworzona jest przez sposób, w jaki człowiek posługuje się swym otoczeniem - skałami, drzewami, wodą, ziemią, ogniem i niebem. Także duchami, manitou. Dzisiaj zapomnieliśmy już, jak wezwać na pomoc te wszystkie rzeczy. Zapomnieliśmy, jak rzucać prawdziwe czary. Nadal jednak można to robić. Duchy wciąż tam są, gotowe przybyć na wezwanie. Stulecie jest dla nich tym czym dla nas nanosekunda. Są nieśmiertelne i cierpliwe, lecz są też potężne i wygłodniałe. Trzeba wiele siły i odwagi, by przywołać je z otchłani. I jeszcze więcej siły, by odesłać je tam na powrót i zatrzasnąć bramę, przez którą przechodzą.

- Wiesz co, Śpiewająca Skało? - mruknął Jack. - Kiedy tak mówisz, naprawdę dreszcz mnie przechodzi. Śpiewająca Skała popatrzył na niego ze spokojem.

- Ma pan wszelkie powody, by czuć dreszcze. To przypuszczalnie największy dreszczowiec, jaki się kiedykolwiek zdarzył.

## ROZDZIAŁ 6

### PONAD MGŁAMI

Śpiewająca Skała i ja postanowiliśmy przez całą noc na zmianę czuwać przy Karen Tandy. Zgodziliśmy się obaj, że Jack Hughes powinien zostać u siebie i porządnie się wyspać. Gdyby bowiem udałoby się nam zwrócić Karen jej manitou, potrzebny nam będzie możliwie świeży i wypoczęty, by poradzić sobie z ewentualnymi problemami powrotu dziewczyny do życia.

Zajęliśmy salkę obok pokoju Karen i gdy Śpiewająca Skała spał, ja siedziałem na stołku w korytarzu, obserwując wszystko przez szybę w zamkniętych drzwiach. Wewnątrz czuwał pielęgniarz na wypadek, gdyby potrzebowała pomocy medycznej. Uprzedziliśmy go jednak, że gdy tylko zobaczy coś niezwykłego, ma walnąć w drzwi i zawołać mnie.

Udało mi się znaleźć w szpitalnej bibliotece egzemplarz książki doktora Snowa o Indianach Hidatsa, więc czytałem ją w zimnym świetle jarzeńówek. Tekst był dość sucho napisany, lecz widać było, że autor jest znakomitym specjalistą od magii szamanów.

Koło drugiej nad ranem powieki zaczęły mi opadać. Czułem, że niczego nie pragnę bardziej niż gorącego prysznicu, solidnego drinka i dziesięciu godzin snu. Pokręciłem się trochę na stołku, by przegnać senność, lecz po chwili odprężyłem się i zacząłem widzieć wszystko jak przez mgłę.

Nieświadomie musiałem się zdrzemnąć. Miałem sen. Zdawało mi się, że otacza mnie ciepła, wilgotna ciemność, lecz nie dusi ani nie wywołuje lęku. Było mi wygodnie jak w łonie matki, a mrok dawał mi siłę i pokarm. Czułem, że czekam, aż coś się stanie, aż nadejdzie właściwy moment. Gdy nadejdzie, będę musiał wyjść z tej ciepłej czerni w chłodne, nieznanne miejsce, przerażające i obce.

Zbudził mnie lęk. Natychmiast spojrzałem na zegarek. Spałem chyba nie dłużej niż pięć, dziesięć minut. Wstałem, by przez szybę zajrzeć do pokoju Karen. Leżała w

łóżku okryta prześcieradłem, skrywającym większą część jej ohydneho garbu. Wciąż była nieprzytomna, a jej twarz przypominała trupa czaszkę. Fioletowe cienie otaczały oczy, głębokie bruzdy biegły po policzkach. Zdawało się, że jest już na granicy śmierci. Tylko połyskujące igły wskaźników aparatury diagnostycznej wskazywały, że nadal w jej ciele tli się życie.

Michael, pielęgniarz, siedział po turecku czytając kieszonkowca science fiction pod tytułem "Dziewczyna z Zielonej Planety". Chętnie zamieniłbym się oddając mu akademickie dzieło o życiu Hidatsów.

Wróciłem na swój twardy stołek. Śpiewająca Skała miał mnie zmienić o trzeciej rano. Nie mogłem się już doczekać. Zapaliłem papierosa i zacząłem kręcić młynka palcami. O tej porze nocy człowiekowi wydaje się, że świat opustoszał, a on pozostał sam w tajemniczej godzinie, gdy zwalnia i zanika rytm serca, a każdy głębszy oddech ciągnie w głąb bezdennej studni straszliwych snów i koszmarów. Dopaliłem i zgasilem papierosa, po czym znów spojrzałem na zegarek. Była druga trzydzieści. Wieczór dawno już minął, a ranek był jeszcze daleko. Nie wiem czemu, lecz perspektywa spotkania Misquamacusa w nocy przerażała mnie o wiele bardziej niż ewentualna walka z nim w dzień. Nocą czuje się, że złe duchy chętniej odpowiedzą na wezwanie i nawet zwykły cień czy ubranie w dziwny sposób układające się na oparciu krzesła, mogą rozpocząć własne, wrogie życie.

Jako dziecko bałem się strasznie chodzić w nocy do łazienki. Oznaczało to bowiem przejście obok otwartych drzwi salonu. Lękałem się, że nocą, gdy światło księżyca wpada ukosem przez żaluzje, zobaczą milczących ludzi siedzących nieruchomo przy stole. Bez mrugnięcia, bez ruchu, bez słowa. Poprzedni mieszkańcy, dawno już martwi, sztywno odpoczywający na krzesłach, które kiedyś do nich należały.

Teraz miałem to samo uczucie. Spoglądałem w obie strony długiego pustego korytarza by sprawdzić, czy w dali nie poruszy się jakiś niewyraźny kształt. Przyglądałem się drzwiom, czy czasem któreś nie otwierają się z wolna. Noc jest królestwem magii i czarnoksiężników, a karty Tarota ostrzegły mnie przed nocą, śmiercią i ludźmi, którzy rzucają złe czary. Teraz stałem twarzą w twarz z całą trójką.

O drugiej czterdzieści pięć zapaliłem kolejnego papierosa i wolno wypuściłem dym w absolutną ciszę pustego korytarza. O tej porze nawet windy przestały jeździć, a

grube dywany tłumiły kroki nocnej zmiany. Mogłem zostać jedynym człowiekiem na świecie. Podskakiwałem ze strachu za każdym razem, kiedy poruszyłem nogą.

Wyczerpany, zacząłem się zastanawiać, czy wszystko to jest realne, czy może tylko to sobie wyobrażam lub śnię. Jeśli jednak Misquamacus nie istnieje, to skąd znam jego imię i co właściwie tu robię, trzymając samotną straż w szpitalnym korytarzu? Pałac spróbowałem przeczytać jeszcze kawałek książki doktora Snowa, lecz ze zmęczenia litery rozmazywały mi się przed oczami.

Chyba cichy pisk przesuwanej po szkle skóry kazał mi spojrzeć na drzwi pokoju Karen Tandy właśnie w tej chwili. Delikatny, niesłyszalny niemal dźwięk, jakby ktoś w odległej części budynku czyścił srebrne łyżeczki. Pii, piii...

Aż podskoczyłem. Do szyby w drzwiach przyciśnięta była straszliwie wykrzywiona twarz. Oczy wychodziły z orbit, a obnażone zęby rozwierały się w bezgłośnym wyciu.

Trwało to najwyżej sekundę, potem usłyszałem głucho chlu-pnięcie i cała szyba spłynęła krwią. Strużka gęstej czerwonej cieczy wypłynęła nawet z dziurki od klucza i pociekła po drzwiach.

- Śpiewająca SKAŁOOOO! - wrzasnąłem wpadając do pokoju obok. Walnąłem w wyłącznik światła. Zaspany szaman siedział jeszcze na łóżku, lecz w jego szeroko otwartych oczach odbijało się wyczekiwanie i lek.

- Co się stało? - rzucił. Wstał błyskawicznie i wybiegł na korytarz.

- Tam była twarz, za szybą, tylko przez sekundę. A potem już nic, tylko ta krew.

- On wyszedł --- stwierdził Śpiewająca Skała. - Albo niedługo wyjdzie. Przez szybę widziałeś na pewno pielęgniara.

- Pielęgniara? Ale co, do diabła, Misquamacus z nim zrobił?

- To stare indiańskie czary. Prawdopodobnie zawezwał duchy ciała i wyrzucił go na lewą stronę.

- Wyrzucił go?

Śpiewająca Skała nie zwracał na mnie uwagi. Szybko wrócił do naszego pokoiku i otworzył walizkę. Wyjął swoje paciorki, amulety i skórzany bukłak z jakimś płynem. Jeden z amuletów, dzika twarz z miedzi na rzemieniu, zawiesił mi na szyi. Potem posypał jakimś czerwonym proszkiem moje włosy i ramiona, wreszcie dotknął



mnie tuż nad sercem końcem długiej, białej kości.

- Teraz jesteś chroniony. W rozsądnych granicach - oznajmił. - Przynajmniej nie skończysz tak jak Michael.

- Śpiewająca Skała - powiedziałem. - Uważam, że powinniśmy mieć pistolet. Wiem, że jeśli zastrzelimy Misquamacusa, Karen Tandy zginie, ale w ostatecznym przypadku możemy nie mieć wyboru.

- Nie - Śpiewająca Skała zdecydowanie pokręcił głową. - Jeśli go zastrzelimy, jego manitou będzie nas ścigał do końca naszego życia, by się zemścić. Tylko magią możemy pokonać go na zawsze. Nigdy nie będzie w stanie powrócić. Zresztą, wobec czarów pistolet jest bardziej niebezpieczny dla strzelającego niż dla tego, do kogo się strzela. Idziemy, nie ma czasu do stracenia.

Podeszliśmy znowu pod drzwi pokoju Karen. Krew spłynęła częściowo z szyby, lecz widzieliśmy tylko światło nocnej lampki, szkarłatne po przejściu przez zalaną posoką szybę.

- Gitche Manitou, ochraniaj nas. Gitche Manitou, ochraniaj nas - mruczał Śpiewająca Skała naciskając klamkę.

Za drzwiami leżało coś wilgotnego i bezkształtnego. Śpiewająca Skała musiał pchnąć mocno, by usunąć to z drogi. W pokoju unosił się mdlący zapach wymiocin i fekaliów, a stopy ślizgały się po podłodze. Krwistoczerwony, kipiący wzgórek przetykany arteriami, żyłami i jelitami był wszystkim, co pozostało z Michaela. Spojrzałem tylko raz i poczułem, że robi mi się niedobrze.

Wszędzie była krew - na ścianach, na pościeli, na podłodze. Pośród tego chaosu leżała Karen Tandy, wijąc się pod przykryciem niczym wielki, biały robak, próbujący wydostać się z kokonu.

- Już niedługo - szepnął Śpiewająca Skała. - Pewnie zaczęła się rzucać i Michael próbował jej pomóc. Dlatego Misquamacus go zabił.

Wysiłkiem woli uspokajając podchodzący do gardła żołądek obserwowałem - przerażony, lecz i zafascynowany - jak olbrzymia narośl na karku dziewczyny zaczyna się wić i rzucać. Była tak wielka, że ciało dziewczyny zdawało się ledwie cienkim jak papier cieniem. Chude ręce i nogi fruwały w powietrzu, wstrząsane dzikimi szarpnięciami wściekłej bestii, która rodziła się z jej szyi.

- Gitche Manitou, udziel mi siły. Sprowadź do mnie ducha ciemności i daj mi moc. Gitche Manitou, usłysz me wezwanie - mamrotał Śpiewająca Skała. Swyrni magicznymi kośćmi rysował w powietrzu skomplikowane figury i sypał dookoła proszkiem. Woń suszonych ziół i kwiatów mieszała się z ostrym zapachem krwi.

Nieoczekiwanie ogarnęło mnie niezwykle oszołomienie, jakbym odetchnął gazem rozweselającym u dentysty. Cała sceneria stała się dziwnie nierzeczywista, a ja sam daleki i obcy, jak gdyby patrzący tylko moimi oczami, a w rzeczywistości zawieszony gdzieś w dalekiej ciemności. Śpiewająca Skała chwycił mnie za ramię i dziwne uczucie zniknęło.

- Już rzuca czary - szepnął szaman. - Wie, że tu jesteśmy i że spróbujemy się z nim zmierzyć. Będzie robił wiele dziwnych rzeczy z twoim umysłem. Może sprawić, że będziesz się czuł tak, jakbyś naprawdę nie istniał. Zrobił to przed chwilą. Może wzbudzić uczucie strachu, rozpaczliwej samotności, chęć samobójstwa. Ma moc, by to uczynić. Ale to tylko sztuczki. Naprawdę musimy uważać na manitou, które przywoła, ponieważ są niemal niepokonane.

Ciało Karen Tandy przesuwało się z jednej strony łóżka na drugą. Jest już martwa, albo prawie martwa - pomyślałem. Od czasu do czasu otwierała usta i chwyciła powietrze, lecz tylko dlatego, że wijący się na jej karku szaman uciskał płuca.

Śpiewająca Skała ścisnął mnie za rękę.

- Patrz - powiedział cicho.

Biała skóra w górnej części guza napięła się, jakby od środka ktoś naciskał ją palcem, napierał wciąż mocniej i mocniej próbując przebić się na zewnątrz. Stałem jak skamieniały. Nie czułem nóg i zdawało mi się, że za chwile runę na podłogę. Patrzyłem nieprzytomnie, jak palec skręca się i pcha w szaleńczej próbie wyjścia.

Wreszcie długi paznokieć przebił skórę, a z otworu trysnęła żółta, wodnista ciecz zmieszana z krwią. Rozszedł się ostry, obrzydliwy odór gnijących ryb. Bąbel na karku Karen opadł i zmałał, gdy wody porodowe Misquamacusa wylały się na pościel.

- Dzwon do Hughesa. Ściągnij go tutaj jak się da najszybciej - poleciał Śpiewająca Skała.

Podszedłem cło aparatu na ścianie, wytarłem go z krwi chustką do nosa i nakręciłem numer centrali. Głos telefonistki był tak spokojny i obojętny, jakby

dobiegał z innego świata.

- Moje nazwisko Erskine. Czy może pani wezwać doktora Hughesa do pokoju panny Tandy - możliwie szybko? Proszę mu powiedzieć, że się zaczęło i że to pilne.

- Oczywiście.

- Proszę dzwonić do niego jak najszybciej. Dziękuję.

- Do usług.

Znowu spojrzałem na ohydną scenę rozgrywającą się na łóżku. Z otworu w skórze wysunęła się smągła ręka.

rozrywając coraz bardziej ścianki guza, pękające z trzaskiem darte go plastiku,

- Nie można teraz czegoś zrobić? - szepnąłem do Śpiewającej Skały. - Nie możesz rzucić czaru zanim wyjdzie na zewnątrz?

- Nie - odparł. Był bardzo spokojny, choć jego napięta twarz wskazywała, że także się boi. Trzyma! w pogotowiu swoje kości ł proszki, ale ręce mu drżały.

Długie na metr rozdarcie pojawiło się na karku Karen. Jej twarz była teraz blada i martwa, pokryta skrzepłą krwią i lepłą żółtą cieczą. Trudno było uwierzyć, że da się ją jeszcze przywrócić do życia. Zdawała się tak wyniszczona i okaleczona, zaś istota, która się z niej wydobywała tak silna i zła...

Z rozdarcia wysunęła się druga ręka. Potem z poszerzonej szczeliny wynurzyły się wolno głowa i tors. Poczulem zimny dreszcz strachu widząc tę samą twarz, jaka pojawiła się na wiśniowym blacie stołu. To był Misquamacus, dawny szaman, odradzający się do życia w nowym świecie.

Jego długie czarne włosy oblepiały czaszkę. Oczy miał zamknięte, a miedziana skóra lśniła od cuchnących wód porodowych. Błony płodowe zlepiały wydatny nos i wysokie kości policzkowe, nitki śluzu zwisały z warg i podbródka.

Śpiewająca Skała i ja staliśmy w milczeniu, gdy szaman zdarł sflaczałą skórę guza ze swej nagiej, błyszczącej piersi. Potem uniósł się na rękach i uwolnił biodra. Genitalia miał nabrzmiałe jak noworodek płci męskiej, lecz widać było ciemne owłosienie łonowe, lepiące się do pooranego bliznami brzucha.

Z obrzydliwym chlupnięciem, jak przy wyciąganiu gumowca z błota, Misquamacus wyrwał jedną nogę. Potem drugą. Wtedy zobaczyliśmy, jakie szkody wyrządziły mu promienie rentgena. Nogi nie były silne i muskularne, kończyły się obie poniżej kolan

małymi, zdeformowanymi stopami z niekształtymi, karłowatymi palcami. Współczesna technika okaleczyła szamana nim wyszedł z łona.

Stopniowo, wciąż nie otwierając oczu, Misquamacus odsunął się od rozdartego ciała Karen Tandy. Chwycił poręcz łóżka i usiadł, spuszczać swe karłowate nogi. Głośno wciągał powietrze w pełne jeszcze wód porodowych płuca. Biała flegma spływała mu z kącika ust.

W tym momencie żałowałem tylko, że nie mam broni, by rozwalić tę szkaradę na kawałki. Znałem jednak jego magiczną moc i wiedziałem, że nic by to nie pomogło. Misquamacus potrafiłby ścigać mnie przez resztę życia, a po śmierci jego manitou zemściłby się straszliwie na moim.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział ze spokojem Śpiewająca Skała. - Za każdym razem, gdy rzucę zaklęcie, skoncentruj się mocno i myśl o jego powodzeniu. Jest nas dwóch, więc może uda nam się go przytrzymać.

Okaleczony Misquamacus, jakby nas słyszał, otworzył najpierw jedno żółte oko, potem drugie i spojrzał na nas z budzącą chłód mieszaniną ciekawości, pogardy i nienawiści. Potem popatrzył na podłogę, na magiczny krąg z kolorowych proszków i kości.

- Gitche Manitou - zawołał głośno Śpiewająca Skała. - Usłysz mnie teraz i ześlij na pomoc swą potęgę - prze-stępował z nogi na nogę, tańczył i kreślił kośćmi figury w powietrzu. Starłem się skoncentrować na powodzeniu zaklęcia, jak mnie prosił. Ciężko było jednak oderwać oczy od mrocznej, nieruchomej istoty na łóżku, patrzącej na nas mściwie.

- Gitche Manitou - zawodził Śpiewająca Skała. - Ześlij swych posłańców z zamkami i kluczami. Ześlij swych strażników i dozorców. Powstrzymaj tego ducha, uwięź Misquamacusa. Zamknij go za kratami i zakuj w łańcuchy. Zamroź mu umysł i zatrzymaj jego czary.

Zaczął recytować długą indiańską inwokację, której nie rozumiałem, ale modliłem się i modliłem, by jego zaklęcia odniosły skutek i magiczne moce spętały odrodzonego szamana.

Dziwne uczucie zaczęło przesączać się do mego mózgu - wrażenie, że wszystko co robimy jest głupie i bezużyteczne, że najlepszym wyjściem będzie zostawić

Misquamacusa samego, by robił cokolwiek zechce. Był o tyle silniejszy od nas, o tyle mądrzejszy. Zdawało mi się, że nie ma sensu kontynuować walki, że wystarczy, by przywołał jednego ze swych indiańskich demonów, a obaj ze Śpiewającą Skałą zginiemy straszną śmiercią.

- Harry - sapnął Śpiewająca Skała. - Nie wpuszczaj go do swego umysłu! Pomóż mi... potrzebuję twojej pomocy!

Z wysiłkiem próbowałem odepchnąć falę beznadziejności zalewającą mój mózg. Spojrzałem na Śpiewającą Skałę. Dostrzegłem pot spływający po twarzy, wyryte na policzkach głębokie bruzdy wysiłku i napięcia.

- Pomóż mi, Harry, pomóż mi!

Popatrzyłem na mroczną, odrażającą istotę siedzącą na łóżku. Próbowałem sparaliżować ją koncentrując każdą najmniejszą krople woli. Misquamacus spoglądał na mnie szklistymi żółtymi oczyma, jakby wyzywając, bym stanął przeciwko niemu. Starłem się zignorować swe przerażenie i unieruchomić go psychicznym atakiem. Jesteś bezradny, myślałem, nie możesz się ruszyć, nie możesz rzucać swych czarów.

Lecz, cal po calu, Misquamacus zaczął zsuwać się z łóżka. Cały czas nie spuszczał z nas oczu. Śpiewająca Skała sypał proszki i stukał kośćmi, lecz cokolwiek robił zdawało się nie wywierać żadnego skutku. Szaman opadł ciężko na podłogę i przysiadł na swych upiornych małych nóżkach wewnątrz magicznego kręgu. Jego twarz była maską beznamietnej nienawiści.

Powoli małpim sposobem używając rąk by posunąć się do przodu, Misquamacus zbliżył się do kręgu. Jeśli to go nie zatrzyma, pomyślałem, prysnę przez te drzwi i będę w połowie drogi do Kanady, zanim ktokolwiek zdąży zarzucić mi tchórzostwo.

Głos Śpiewającej Skały był coraz wyższy i bardziej piskliwy.

- Gitche Manitou. utrzymaj Misquamacusa z dala ode mnie! - wołał. - Nie pozwól mu opuścić kręgu czarów! Zamknij go tam i zakuj!

Misquamacus zatrzymał się i wrogim spojrzeniem zmierzył magiczny krąg. Przez moment zdawało mi się, że zaraz przeciągnie się przez niego i rzuci na nas, lecz on znieruchomiał, przysiadł na biodrach i ponownie zamknął oczy. Milczeliśmy przez chwilę z trudem łapiąc oddech. Wreszcie śpiewająca Skała stwierdził:

- Zatrzymaliśmy go.

- To znaczy, że nie może wyjść?

- Nie. Może przekroczyć krąg bez trudu, ale jeszcze nie teraz. Wciąż jest za słaby. Odpoczywa, by nabrać sił.

- Ale ile czasu będzie potrzebował? Ile czasu nam zostało? Śpiewająca Skała zmierzył Misquamacusa badawczym spojrzeniem.

- Nie da się przewidzieć. Może parę minut, może kilka godzin. Sądzę jednak, że ściągnąłem tu dość mocy magicznej, by zyskać nam co najmniej trzydzieści, może czterdzieści minut.

- Co teraz?

- Musimy czekać. Jak tylko zjawi się doktor Hughes, powinniśmy rozpocząć ewakuację tego piętra. On zbudzi się niedługo. Będzie rozgniewany, żądny zemsty i prawie nie do pokonania. Nie chciałbym, by ucierpieli niewinni ludzie.

Spojrzałem na zegarek.

- Jack będzie tu lada moment. Posłuchaj, czy naprawdę nie uważasz, że powinniśmy ściągnąć parę pistoletów? Śpiewająca Skała otarł spoconą twarz.

- Jesteś typowym białym Amerykaninem. Wychowałeś się na telewizyjnych westernach i przygodach Patrolu Autostrady, więc myślisz, że pistolet rozwiązuje wszystkie problemy. Chcesz uratować Karen Tandy czy nie?

- Poważnie sądzisz, że da się ją uratować? To znaczy... spójrz tylko na nią.

Bezwładne skurczone ciało Karen leżało nieruchomo w poprzek łóżka. Z trudem poznawałem w nim tę dziewczynę, która ledwie cztery noce temu przysłała do mnie opowiedzieć swe sny o statkach i brzegach w blasku księżyca.

- Zgodnie z zasadami indiańskiej magii, da się ją jeszcze ocalić - stwierdził rzeczowo Śpiewająca Skała. - Uważam, że póki jest jakaś szansa, powinniśmy próbować.

- Jak uważasz. Ty jesteś szamanem.

W tej właśnie chwili korytarzem nadbiegli tupiąc głośno Jack Hughes i Wolf - drugi z pielęgniarzy. Spojrzeli na krew, na nieruchomą postać Misquamacusa i cofnęli się przerażeni.

- Boże, co tu się stało? - zapytał drżącym głosem Jack. Wyszliśmy za nim na

korytarz.

- On zabił Michaela - oznajmiłem. -- Siedziałem tutaj, gdy to się stało. Wszystko odbyło się zbyt szybko, bym zdążył zareagować. Potem wyrwał się z ciała Karen. Śpiewająca Skala uważa, że na pewien czas, choć nie na długo, zatrzymaliśmy go w magicznym kręgu.

Jack przygryzł wargę.

- Moim zdaniem powinniśmy wezwać policję. Nie obchodzi mnie, z którego wieku pochodzi ten potwór. Zabił już dość ludzi.

Śpiewająca Skala sprzeciwił się zdecydowanie.

- Jeśli wezwiemy policję, zabije ich także. Kule nie rozwiążą tego problemu, doktorze. Zdecydowaliśmy rozgrywać tę grę w pewien konkretny sposób i teraz nie wolno się nam wycofać. Jedynie magia może nam pomóc.

- Magia - rzekł z goryczą Jack. - Kto by pomyślał, że kiedyś będę musiał odwołać się do magii.

- Śpiewająca Skala uważa, że powinniśmy ewakuować to piętro - wtrąciłem. - Kiedy Misquamacus obudzi się, użyje wszelkich środków, żeby się na nas zemścić.

- Nie ma potrzeby - stwierdził Jack Hughes. - Na tym poziomie mieści się tylko chirurgia. Położyliśmy tu Karen, żeby mieć bliżej do sali operacyjnej. Na dziesiątym była jedyną pacjentką. Uprzedzę tylko obsługę, żeby trzymała się z daleka.

Wyciągnął na korytarz kilka krzeseł. Usiedliśmy, wciąż mając na oku nieruchomą postać Misquamacusa. Wolf pojechał na górę do gabinetu Jacka. Wrócił z dwoma butelkami bourbona, więc wzmocniliśmy się trochę. Była trzecia czterdzieści pięć i wciąż mieliśmy przed sobą długą noc.

- Teraz, kiedy już wyszedł - odezwał się Jack - co z nim zrobimy? Jak możemy go zmusić, by oddał manitou Karen Tandy?

Widziałem, że jest zakłopotany używając tego indiańskiego słowa.

- Tak jak ja to widzę - zaczął Śpiewająca Skala - musimy jakoś przekonać Misquamacusa, że znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Co zresztą jest prawdą. Mimo swej potęgi stanowi dzisiaj anachronizm. Magia i czary mogą być groźne, lecz ich zastosowania są mocno ograniczone w świecie, gdzie ludzie w nie nie wierzą. Nawet jeśli zabije nas wszystkich, nawet jeśli zabije każdą osobę w tym szpitalu - to co zrobi

potem? Fizycznie jest kaleką i nie ma pojęcia o współczesnej kulturze ani nauce. Tak czy inaczej, nie ma szans. Jeśli nawet nie tutaj, to gdzie indziej ktoś w końcu wpakuje w niego kulę, prędzej czy później.

- Ale w jaki sposób chcesz? - spytałem.

- Jedynym sposobem jest mu powiedzieć. Jeden z nas będzie musiał otworzyć swój umysł i zabrać go na mentalną wycieczkę, by mógł zobaczyć, jak naprawdę wygląda współczesny świat.

- Czy nie uzna tego za bluff? -- powątpiewał Jack. - Jakąś magiczną pułapkę?

- Możliwe. Ale nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić.

- Chwileczkę - przerwał Jack Hughes zwracając się do mnie. - Coś mi właśnie przyszło do głowy. Pamiętasz, Harry, co mi opowiadałeś o śnie Karen Tandy, tym o żaglowcu, plaży i całej reszcie?

- Naturalnie.

- Coś mnie zdziwiło w tym śnie. Strach. Misquamacus bał się czegoś. I to coś było najwyraźniej na tyle straszne, że zaryzykował całą tę zabawę z piciem płonącego oleju i ponownym narodzeniem. Jak myślicie, co mogło go tak przestraszyć?

- Dobre pytanie - stwierdziłem. - Co o tym myślisz, Śpiewająca Skała?

- Sam nie wiem - odparł Indianin. - Może po prostu bał się zginąć z rąk Holendrów. Wprawdzie po śmierci manitou żyje nadal, nie znaczy to jednak, że szamani lubią być zabijani. Poza tym istnieją takie metody unicestwienia szamana, że jego manitou nigdy nie zdoła powrócić na ziemię. Może Holendrzy wiedzieli, jak to zrobić i grozili mu.

- To nadal nie ma sensu - oświadczył Jack. - Widzieliśmy już, jak Misquamacus potrafi się bronić. Żaden Holender nie mógłby się do niego zbliżyć tak blisko, by go zranić. Mimo to bał się. Dlaczego? Co takiego mieli w siedemnastym wieku Holendrzy, że przestraszyli takiego szamana jak Misquamacus?

- Strzelby - zasugerował Wolf. - Indianie przecież nie znali strzelb, prawda?

- To nie to - stwierdził Śpiewająca Skała. - Misquamacus jest wystarczająco potężny, by śmiać się ze strzelb. Wiecie przecież, co zrobił z przyjaciółmi Harry'ego błyskawicą-która-widzi. Gdyby tylko ktoś skierował na niego karabin, broń wybuchłaby mu w rękach.



- Holendrzy byli chrześcijanami - zastanawiałem się. - Może jest w religii chrześcijańskiej coś, czym można egzorcyzmować demony i manitou Miquamacusa?

- Niemożliwe - odrzekł Śpiewająca Skała. - Chrześcijaństwo nie ma niczego, co może równać się mocą z dawnymi duchami Indian.

Jack zastanawiał się głęboko marszcząc brwi, jakby starał się przypomnieć sobie coś, o czym słyszał bardzo dawno temu. Nagle pstryknął palcami.

- Wiem - oświadczył. - Jest jedna bardzo ważna rzecz, którą mieli holenderscy osadnicy. Coś, co zagrażało Indianom, z czym nigdy wcześniej się nie zetknęli i z czym nie potrafili walczyć.

- Co to było?

- Choroby. Holendrzy przywieźli całą masę nieznaną na kontynencie północnoamerykańskim wirusów. Zwłaszcza wirusa grypy. Całe szczepy wymierały od europejskich chorób, ponieważ Indianie nie mieli żadnych przeciwciał i ich organizmy nie umiały zwalczyć głupiego kataru. Szamani nie potrafili im pomóc. Nie mogli znać czarów przeciwko czemuś, czego zupełnie nie znali. Niewidzialna, szybka, pewna śmierć. Moim zdaniem tego właśnie bał się Misquamacus. Holendrzy niszczyli jego szczep magią, której nie widział i której nie rozumiał.

- Znakomicie, doktorze Hughes - Śpiewająca Skała był podniecony. - Naprawdę znakomicie.

- Jedna uwaga - wtrąciłem. - Misquamacus jest już pewnie uodporniony na grypę. Jeśli przyszedł na świat w sposób choć trochę podobny do normalnych dzieci, to pobrał odpowiednie przeciwciała z krwi Karen.

- Nie, nie przypuszczam. Jego system nerwowy łączył się z systemem Karen, lecz ich krwioobieg nie były zespolone w taki sposób, w jaki płód łączy się z organizmem matki. Energia, którą od niej pobierał, była czysto elektryczna i pochodziła z komórek mózgowych oraz układu rdzeniowego. Nie zachodziło mieszanie w zwykłym fizycznym sensie.

- To oznacza - odezwał się Indianin - że możemy podać naszemu szamanowi dozę wirusa grypy. Lub przynajmniej mu zagrozić.

- Naturalnie - zgodził się Jack. - Zaczekajcie chwilę. Podeszedł do aparatu na ścianie i szybko wybrał numer.

- Proszę mnie połączyć z doktorem Winsome - powiedział, gdy zgłosiła się centrala.

Śpiewająca Skala rzucił okiem na milcząca postać Misquamacusa, przygarbioną i groźną na zachlapanej krwią podłodze. Zażalenie tej istoty grypą nie wydawało się jakoś specjalnie skuteczne, ale oprócz czarów Śpiewającej Skali nie mieliśmy nic innego.

- Doktor Winsome? - odezwał się Jack Hughes. - Przepraszam, że pana budzę, lecz mam tu pewien ważny problem i pilnie potrzebuję kilku próbek wirusa.

Przez chwilę słuchał cichego głosu dobiegającego ze słuchawki.

- Tak, doktorze, wiem, że jest czwarta nad ranem. Nie dzwoniłbym do pana, gdyby sytuacja nie była rozpacзлиwa. Zgadza się. Potrzebuję wirusa grypy. Jak szybko może się pan tu zjawić?

Posłuchał jeszcze chwilę i odwiesił słuchawkę.

- Doktor Winsome zaraz przyjedzie. Ma w laboratorium dość wirusów grypy, żeby położyć do łóżek wszystkich mieszkańców Cleveland w stanie Ohio.

- Może kiedyś powinien tego spróbować - zauważył Śpiewająca Skala z nieoczekiwanym humorem.

Było już pięć po czwartej, a Misquamacus nie poruszał się. Czekaliśmy we czwórkę na korytarzu, pilnie obserwując jego ciemną, niekształtą sylwetkę. Byliśmy coraz bardziej zmęczeni, a smród z ciała Michaela stawał się nie do zniesienia.

- Jak jest na dworze? - spytałem.

- Zimno. Znowu pada śnieg - odparł Jack. - Mam nadzieję, że Winsome nie będzie miał problemów po drodze.

Minęło kolejne pół godziny. Zbliżał się świt. Siedzieliśmy skuleni, trąc powieki i paląc papierosa za papierosem, by nie usnąć. Tylko nerwowe napięcie powstrzymywało mnie od zapadnięcia w drzemkę. Nie spałem od niedzieli, a i wtedy ledwie cztery czy pięć godzin.

O czwartej czterdzieści pięć usłyszeliśmy jakiś szelest w pokoju Karen Tandy. Spojrzeliśmy szybko. Misquamacus nadal nie otwierał oczu, lecz zaczynał się poruszać. Śpiewająca Skala wstał i chwycił swoje kości i proszki.

- Chyba się budzi - oświadczył. Głos mu drżał. Wiedział, że tym razem dawny

czarnoksiężnik niemal całkowicie odzyskał swe magiczne siły. Wszedł cicho do pokoju, a my za nim, by wspierać go w potrzebie.

Misquamacus wolno wyciągnął muskularne ramię pokryte magicznym tatuażem. Podniósł głowę tak, że gdyby otworzył oczy patrzyłby prosto na nas.

- Obudził się? - spytał szeptem Jack.

- Nie wiem odparł Śpiewająca Skała. - Ale to już niedługo.

Nagle usłyszeliśmy jakby oddech od strony łóżka. Błękitnobiałe wargi Karen zdawały się poruszać, usta z sykiem wciągały powietrze.

- Ona jeszcze żyje - zdziwił się Wolf.

- Nie - rzekł Śpiewająca Skała. - To Misquamacus. Chyba chce przez nią przemówić. Używa jej jak mikrofonu, ponieważ nie zna naszego języka.

- To przecież niemożliwe - zaprotestował Jack. - Nawet się do niej nie zbliżył.

- Naukowo to niemożliwe - zgodził się spokojnie Śpiewająca Skała. - Ale to nie nauka. To indiańska magia.

Staliśmy jak skamieniali. Z gardła Karen wydobywał się syczący, coraz głośniejszy oddech. W końcu zaczęła szeptać słabym, głuchym głosem, który zmroził każdy nerw mego ciała.

- Próbowaliście... mi... się... sprzeciwić... sss - mówił głos. - Zraniliście... mnie... i ... czuję... straszny... ból... Ukarani... was... za... to... sssss.

Martwe płuca skurczyły się, wargi znieruchomiły. Spojrzeliśmy na Misquamacusa. Otworzył swe żółte oczy i spojrzał na nas wrogo. Na jego twarzy pojawił się ten sam uśmiech, który widziałem, na blacie z wiśniowego drzewa.

Śpiewająca Skała zaczął recytować swe zaklęcia, stukając kośćmi w równym rytmie. Można było jednak dostrzec, że jego magia jest za słaba wobec potęgi Misquamacusa. Świetlówki zamigotały, zgasły i w ciągu kilku sekund pogrążyliśmy się w całkowitej ciemności.

Wyciągnąłem ręce, by pochwycić czyjąś przyjazną dłoń, lecz nie mogłem na nikogo trafić. Bałem się, że mogę dotknąć wciąż śliskiej od. śluzu twarzy Misquamacusa.

- Nie ruszać się - syknął Śpiewająca Skała. W jego głosie brzmiało przerażenie. - Niech nikt się nie rusza.

Lecz ktoś lub coś poruszyło się. Sunęło ku nam wolno i nieuchronnie.

## ROZDZIAŁ 7

### POZA ZMROKIEM

Wolf pstryknął zapalniczką otwierając przepływ gazu do maksimum. Wysoki, żółty płomień oświetlił pokój poruszając karuzelę przerażających cieni.

Misquamacus ze zwierzęcym grymasem na błyszczącej twarzy wciąż siedział wewnątrz magicznego kręgu. Przed nim, na podłodze, wysypane przez Śpiewającą Skałę kolorowe proszki drżały i rozsuwały się powoli, jak żelazne opiłki przyciągane przez magnes.

- On rozrywa krąg! - krzyknął Jack Hughes. - Śpiewająca Skało, na miłość boską!

Indianin wystąpił naprzód i stanął przed Misquamacusem - ledwie kilka stóp od kalekiego szamana. Rozdzielały ich od siebie jedynie rozwiewające się szybko proszki magicznego kręgu. Śpiewająca Skała sychnęła ich więcej, rysował w powietrzu znaki magicznymi kośćmi, lecz Misquamacus uchylał się tylko i otrząsał, jakby odpędzał komary. Z łóżka Karen Tandy doleciał cichy, straszny śmiech, który zamarł z głośnym sykiem.

Ostatnie resztki kręgu zniknęły i nic już nie oddzielało nas od demonicznego szamana. Nie wiedziałem, czy powinienem zostać na miejscu czy uciekać jak najszybciej. Jednego byłem pewien: że Śpiewająca Skała potrzebuje nas wszystkich, byśmy wspomagali jego czary. Nie ruszyłem się więc, choć dygotałem ze strachu.

Nagi Misquamacus uniósł się najwyżej jak potrafił na kalekich nogach i rozłożył szeroko ramiona. Z jego własnych ust spłynęła długa, rytmiczna inwokacja wypowiedana chrapliwym gardłowym głosem. Wyciągnął przed siebie kościstą rękę.

Podążyłem wzrokiem za jego palcem - wskazywał na zakrwawione zwłoki Michaela.

Śpiewająca Skała cofnął się pospiesznie.

- Wychodzimy, natychmiast! - warknął i popchnął nas w stronę drzwi.

Stojąc już w korytarzu zobaczyłem coś, od czego dosłownie zaszczekały mi zęby.

Krwawy stos, który był kiedyś Michaeliem zaczął się poruszać: tętniły odsłonięte arterie, pulsowały nagie nerwy, wyrwane płuca jak dwa ociekające czerwienią balony znowu wypełniły się powietrzem.

Widzieliśmy w słabym, pomarańczowym świetle płomyka zapalniczki, jak strzępy ciała Michaela stają na nogi. Głęboko osadzone w krwawej tkance odwróconej twarzy, patrzyły na nas wodniste oczy - oczy ośmiornicy z potwornego podwodnego koszmaru.

Krok za krokiem, zostawiając za sobą pasmo lepkiego śluzu, ciało Michaela ruszyło ku nam, smarując krwią wszystko, czego dotknęło.

- Chryste - powiedział Jack przerażonym, pełnym rozpaczny głosem.

Lecz Śpiewająca Skała nie czekał bezczynnie. Wyłowił z kieszeni skórzaną butelkę, odkorkował i nalał na dłoń nieco płynu. Szerokimi machnięciami kreśląc w powietrzu magiczną figurę spryskał krwawe zwłoki.

- Gitche Manitou, odbierz życie temu stworzeniu - mamrotał. - Gitche Manitou, obdarz śmiercią swego sługę.

Ciało Michaela osunęło się na kolana, jego nagie mięśnie ślizgały się po odkrytych kościach. Wreszcie opadło bezwładnie i jako bezkształtna masa znieruchomiło obok drzwi.

W pokoju Misquamacus znowu wziął się do pracy. Nie widzieliśmy go, ponieważ płomyk zapalniczki Wolfa zmniejszał się szybko i ledwie świecił. Słysząc było jednak, jak śpiewa, mówi, rozrzuca kości i włosy, których Śpiewająca Skała użył do swego magicznego kręgu.

- Wolf, idź i przynieś kilka latarek - polecił Indianin. - Musimy wiedzieć, co się dzieje. Misquamacus widzi w ciemności i łatwiej mu wtedy przywołać demony. Biegnij, najszybciej jak można.

Wolf podał mi zapalniczkę z kulką malejącego płomyka i pognał korytarzem w stronę wind. Niewiele brakowało, by tam nie dotarł. Kiedy skręcał za róg zobaczyliśmy oślepiający błysk błękitno-białego ognia. Obrzucił podłogę deszczem iskier i pozostawił mi w oczach jaskrawe pomarańczowe plamy.

- Wolf! - zawołał Śpiewająca Skała. -- Nic ci się nie stało?

- W porządku, proszę pana - odkrzyknął pielęgniarz. - Zaraz będę z powrotem!

- Co to było? - spytał Jack Hughes.

- Błyskawica-która-widzi - odparł szaman. - To właśnie zabiło twoich przyjaciół, Harry. Spodziewałem się, że Misquamacus spróbuje czegoś takiego, gdy tylko Wolf oddali się ode mnie, więc odchyliłem ją.

- Uderzyła cholernie blisko - stwierdził Jack.

- Ważne, że chybiła, a nie o ile - zauważyłem. Zapalniczka nie dawała już prawie światła i wyteżalem wzrok by zobaczyć, co się dzieje w pokoju Karen. Słyszałem jakieś szurania i stuki, lecz nie widziałem niczego.

Znów okryła nas ciemność. Trzymaliśmy sobie nawzajem ręce na ramionach, by się nie rozdzielić. Pomagało to także skoncentrować nasze myśli na powodzeniu zaklęć Śpiewającej Skały, gdy tylko będzie je rzucał. W całkowitej czerni czujnie nadstawialiśmy uszu na najłżejszy nawet szmer.

Po chwili usłyszeliśmy, że Misquamacus intonuje jakieś zaklęcie.

- Co on robi? - szepnął Jack.

- Coś, czego się bałem - odparł Śpiewająca Skała. - Przyzywa indiańskiego demona.

- Demona? - nic dowierzał Jack.

- To nie jest dokładnie demon w europejskim sensie, lecz jego indiański odpowiednik. Jeden z pradawnych.

- Czy wiesz, którego konkretnie przywołuje? - spytałem. Śpiewająca Skała wsłuchał się uważnie w chrapliwą, niewyraźną inkantację.

- Nie wiem. Używa imienia z języka swego plemienia. W całej Ameryce Północnej demony są te same, lecz każdy szczep nazywa je po swojemu. Imię tego, o którego mu chodzi brzmi chyba Kahala, albo K'malah, Nie jestem pewien,

- Jak możesz walczyć z demonem, jeśli nie wiesz z którym masz do czynienia?

Wyobraziłem sobie posępną, pooraną zmarszczkami twarz Śpiewającej Skały.

- Nie mogę - odrzekł. - Muszę poczekać, aż się objawi. Wtedy zobaczę.

Skupieni blisko siebie czekaliśmy na przybycie pradawnego upiora. W ciemności widzieliśmy blade migotanie zielonkawego światła z pokoju Karen i wijącą się smugę białego dymu.

- Czy tam się pali? - zdziwił się Jack.

- Nie - wyjaśnił Śpiewająca Skała. -- Z tego dymu formuje się manitou. To coś w rodzaju ektoplazmy z europejskiego spirytyzmu.

Zielony blask znikł i usłyszeliśmy dobiegające z pokoju dźwięki. Najpierw zgrzyt, jakby twardych szponów drapiących powierzchnię podłogi, później głos Misquamacusa. Mówił przez co najmniej parę minut, a potem, ku memu przerażeniu, ktoś mu odpowiedział skrzeczącym, nieziemskim głosem, gardłowym i ostrym.

- Każę demonowi nas zniszczyć - szepnął Śpiewająca Skała. - Teraz, cokolwiek się stanie, trzymajcie się blisko i nie próbujcie uciekać. Jeśli pobiegniecie, wyjdziecie spod mojej osłony. On was dostanie.

W mózgu zadźwięczał mi wers ze "Starego marynarza" -- o człowieku, który raz się obejrzał, a potem już nie odwraca głowy "bo wie, że tuż za nim kroczy demon straszliwy". Odgłos zgrzytania szponów po podłodze zbliżał się do nas. W mroku dostrzegłem wysoki, czarny cień stojący w drzwiach. Zdawał się podobny do człowieka, a jednocześnie zupełnie odmienny. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem coś jakby łuski i szpony.

- Co to jest...? - syknął Jack.

- Demon, którego my nazywamy Jaszczurem--z-Drzew

- odparł Śpiewająca Skała. - To zły manitou puszczy, lasów i wszystkich drzew. Misquamacus wybrał go pewnie dlatego, że wie, iż pochodzę z równin i nie potrafię okiełznać demonów lasu.

Mroczna istota ruszyła w naszą stronę. Z jej gardła wydobywał się cienki, owadzi świergot. Śpiewająca Skała natychmiast sypnął proszkiem, prysnął magicznym płynem i zagrzechotał kośćmi.

Demon zatrzymał się nie więcej niż pół, może metr przed nami.

- Udało się - stwierdził Jack. - Powstrzymał go pan.

- Nie zabije nas, gdyż moja magia jest dla niego za silna

- Śpiewająca Skała z trudem chwycił oddech. - Ale odmawia powrotu w otchłań bez ofiary,

- Ofiary? Czegóż on chce, do diabła!

- Kawalka żywego ciała. To wszystko.

- Co? - jęknąłem. - Jak możemy mu go dać?



- To może być cokolwiek - rzekł Śpiewająca Skala. - Palec, ucho...

- Nie mówisz poważnie - stwierdziłem.

- Bez tego nie odejdzie. A ja nie potrafię go utrzymać zbyt długo. Albo dostanie czego chce, albo rozerwie nas na strzępy. Nie żartuję. To stworzenie ma dziób, jak ośmiornica albo pterodaktyl. Może rozedrzeć człowieka jak worek fasoli.

- W porządku. Ja to zrobię - oznajmił spokojnie Jack. Śpiewająca Skala odetchnęła głęboko.

- Dziękuję panu, doktorze. To potrwa tylko chwilę. Niech pan wyciągnie rękę w jego stronę. Niech pan mu da mały palec. Proszę zacisnąć pozostałe. Postaram się utrzymać resztę pańskiej dłoni wewnątrz kręgu mojego czaru. Gdy tylko ugryzie, proszę natychmiast cofnąć rękę. Nie chce pan przecież, żeby zabrał coś więcej.

Czułem, że Jack drży, gdy wyciągał rękę ku mrocznemu cielsku Jaszczura-z-Drzew. Słyszałem ostre jak brzytwy szpony drapiące podłogę, gdy coraz bardziej i bardziej wysuwał dłoń, i cienki świergot oddechu demona.

Coś zaszeleściło gwałtownie, pazury obśliznęły się po podłodze korytarza. Potem rozległo się przerażające chrupnięcie. Nie chciałym usłyszeć go po raz drugi.

- Aaaaahhhhh! - wrzasnął Jack i osunął się na ziemię między nami. Czułem jak ciepła krew oblewa mi nogi i rękę, którą wyciągnąłem, by mu pomóc.

- Aaahh, psiakrew, diabli, aaahh, psiakrew - krzyczał. - O Boże, odgryzł mi rękę! Odgryzł mi tę cholerną rękę! Jezuu!

Przyklęknąłem wyciągając chusteczkę. Namacałem w ciemności poszarpaną ranę i obwiązałem ją najlepiej jak potrafiłem. Z tego co czułem dotykiem, dziób demona oderwał mu przynajmniej dwa, może trzy palce i połowę kłykci. Ból musiał być nie do wytrzymania. Jack Hughes łkał i skręcał się.

Śpiewająca Skala także przyklęknął.

- Stwór odszedł - wysapał. - Po prostu rozwiął się i zniknął. Ale nie wiem, jakiego ducha teraz wywoła Misquamacus. Ten był tylko pomniejszym demonem. Istnieją o wiele gorsze manitou.

- Śpiewająca Skala - powiedziałem. - Musimy zabrać stąd doktora Hughesa.

- Nie możemy teraz odejść od Misquamacusa. Nie wiem, co zrobi, jeśli nie będziemy go pilnować.

- On strasznie cierpi. Umrze, jeśli nie założę mu opatrunku na tę rękę. Lepiej będzie stracić Karen Tandy niż jego.

- Nie o to chodzi - rzekł Śpiewająca Skala. - Jeśli zostawimy Misquamacusa samego, zniszczy to miejsce. Zginą setki ludzi.

- O Boże - łkał Jack. - O Boże, moja ręka, o Boże.

- Śpiewająca Skala, muszę go stąd wyciągnąć. Czy przez parę minut możesz sam utrzymać Misquamacusa? Osłaniaj nas przed tym ogniem, kiedy będziemy szli korytarzem. Zaprowadzę go do lekarza i natychmiast wracam.

- Dobrze -- zgodził się Śpiewająca Skala. - Ale spiesz się. Potrzebuję tu przynajmniej jeszcze jednej osoby.

Uniosłem Jacka do pozycji stojącej, zarzuciłem sobie na ramię jego okaleczoną rękę i krok za krokiem ruszyliśmy korytarzem w stronę wind. Jęczał z bólu przy każdym ruchu i słyszałem, jak jego krew kapie na podłogę. Poczułem jednak świeży przypływ sił i niosłem go bez odpoczynku.

Nie było żadnej błyskawicy, żadnej próby zatrzymania nas, nic. Może tego właśnie chciał Misquamacus - żeby Śpiewająca Skala został z nim sam na sam. Lecz jeśli o mnie chodzi, to nie mogłem postąpić inaczej. Jack był zbyt ciężko poraniony, by zostać tam, w korytarzu. Musiałem go wyprowadzić.

Wreszcie dotarliśmy do windy. Jej czerwone światelko pobłyskiwało w ciemności. Wdusiłem przycisk GÓRA i po chwili, którą z trudem zdołałem przeczekać, nadjechała kabina, otworzyły się drzwi i wtoczyliśmy się do wnętrza.

W porównaniu z ciemnościami na korytarzu światło było tu jaskrawe, że aż oczy bolały. Usadziłem Jacka na podłodze ułożyłem mu zranioną dłoń na kolanach i przykucnąłem obok. Szybko wjechaliśmy na osiemnaste piętro, gdzie pomogłem mu wysiąść.

W gabinecie Jacka, do którego go doniosłem, zebrało się sporo ludzi. Był tam Wolf z grupą pielęgniarzy, wszyscy z latarkami. Dwóch miało rewolwery, reszta była uzbrojona w łomy i noże. Obok stał łysiejący, czerwony na twarzy lekarz w białym fartuchu i okularach.

Otoczyli mnie gdy wszedłem. Delikatnie podnieśli Jacka i ułożyli na kozetce w rogu. Wolf kazał przynieść zestaw pierwszej pomocy i antybiotyki. Od razu zrobili

Jackowi zastrzyk nowokainy, by złagodzić ból.

Czerwony na twarzy lekarz podszedł i przedstawił się.

- Jestem Winsome. Właśnie mieliśmy zjechać na dół, żeby wam pomóc. Co się tam dzieje, do diabła? Z tego, co mówi Wolf rozumiem, że macie tam pacjenta-szaleńca, czy coś w tym rodzaju.

Otarłem pot z czoła. Tu, na górze, w chłodnym świetle poranka, wszystko co zaszło w cuchnącym mroku dziesiątego piętra wydawało się absolutnie nierealne. Ale Śpiewająca Skała został tam sam i wiedziałem, że muszę wrócić z pomocą.

- Cieszę się, że mógł pan przyjść, doktorze. Nie mogę teraz wszystkiego wyjaśnić... istotnie mamy tam bardzo niebezpiecznego pacjenta, nie może pan jednak zjechać tam z tymi wszystkimi ludźmi i tymi rewolwerami.

- Dlaczego nie? W sytuacji zagrożenia musimy się bronić.

- Niech mi pan wierzy, doktorze Winsome - zapewniłem drżącym głosem. - Jeśli zjedziecie tam z bronią, ucierpi wielu niewinnych ludzi. Potrzebuję tylko wirusa grypy, nic więcej.

Winsome prychnął gniewnie.

- To śmieszne. Macie tam jakiegoś dzikusa, który atakuje lekarzy, i chcecie wirusa grypy?

- Nic więcej - powtórzyłem. - Proszę, doktorze. Jak najszybciej. Spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczyma.

- Nie wydaje mi się, żeby miał pan prawo wydawać polecenia w tym szpitalu, proszę pana. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem będzie, bym ja i pozostali obecni tu dżentelmeni udali się prosto na miejsce wypadku i schwytali tego pacjenta, zanim spróbuje jeszcze kogoś pogryźć.

- Nic pan nie rozumie!

- Zgadza się - rzekł Winsome. - Zupełnie nie rozumiem. Wolf, jesteście gotowi?

- Gotowi, doktorze - odparł Wolf.

- Wolf - prosiłem. - Widziałeś, co się tam stało. Opowiedz im. Pielęgniarz wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, że dr Hughes został poraniony przez pacjenta. Powinniśmy zjechać na dół i załatwić tę sprawę raz na zawsze.

Nie wiedziałem, jak ich przekonać Rozejrzałem się, czy nie ma kogoś, kto mógłby mi pomóc, lecz wszyscy palili się do ataku na dziesiąte piętro.

I wtedy z kozetki odezwał się Jack Hughes.

- Doktorze Winsome - powiedział chrapliwie. - Nie wolno wam tam iść. Proszę mi wierzyć, nie wolno panu. Niech mu pan tylko da wirusa. Ten człowiek wie, co robi. W żadnym przypadku niech pan nie zjeżdża na dół. Winsome podszedł do niego i nachylił się.

- Jest pan pewien, doktorze Hughes? Wszyscy tu jesteśmy uzbrojeni i gotowi do działania.

- Nie można. Niech mu pan da wirusa i puści go na dół. Proszę mu pozwolić załatwić tę sprawę tak, jak uzna za stosowne.

Winsome poskrobał się po łysej, czerwonej czaszce.

- Dr Hughes odpowiada za tego pacjenta - zwrócił się do swojej wyprawy ratunkowej. - Muszę mu ustąpić. Na wszelki wypadek bądźmy jednak przygotowani.

Podszedł do biurka i z drewnianego pudełka wyjął wąską szklaną fiolkę wypełnioną przezroczystym płynem. Podał mi ją na wyciągniętej dłoni.

- Ten roztwór zawiera aktywnego wirusa grypy. Proszę się z tym obchodzić z najwyższą ostrożnością, bo będziemy tu mieli epidemię.

Delikatnie wziąłem fiolkę do ręki.

- Dobrze, doktorze. Rozumiem. I proszę mi wierzyć, postępuje pan słusznie.

Miałem straszną ochotę zabrać ze sobą rewolwer, choć wiedziałem, że byłoby to nierozsądne i niebezpieczne. Zabrałem jednak latarkę. Pospiesznie wróciłem do windy, nacisnąłem dziesiątkę i zjechałem w ciemność.

Gdy drzwi się otworzyły wyjrzałem ostrożnie w mrok.

- Śpiewająca Skała! - krzyknąłem. - To ja, Harry Erskine! Wróciłem!

Nikt nie odpowiadał. Przytrzymałem nogą drzwi windy, by się nie zamknęły.

- Śpiewająca Skała! - zawołałem znowu. - Śpiewająca Skała, jesteś tam?

Zapaliłem latarkę i poświeciłem w głąb korytarza, lecz widziałem tylko krótki kawałek przed zakrętem. Może Śpiewająca Skała nie słyszał mnie za rogiem. Będę musiał tam pójść i się rozejrzeć.

Przykucnąłem, zdjąłem buty i zaklinowałem nimi drzwi. Wolałbym nie czekać aż

winda wjedzie z parteru, gdy będzie mnie ścigać jedna z upiornych bestii Misquamacusa.

Świecąc sobie pod nogi poszedłem korytarzem w stronę pokoju Karen, miejsca bitwy szamanów. Było bardzo cicho, zbyt cicho, bym był spokojny. Nie wiem, czy odważyłbym się zawołać jeszcze raz. Czułem niemal lęk przed tym, że ktoś mógłby mi odpowiedzieć.

W miarę jak zbliżałem się do pokoju, moje nozdrza na nowo wypełnił ostry, mdlący odór krwi i śmierci. Skierowałem promień latarki wzdłuż korytarza, lecz nie dostrzegłem żadnego śladu Śpiewającej Skały. Może był wewnątrz, walcząc z Misquamacusem twarzą w twarz. A może wcale go tu nie było.

Cicho, ostrożnie przeszedłem ostatnie kilka metrów, kierując latarkę na zachlapaną krwią drzwi pokoju Karen. Słyszałem, że coś tam jest i porusza się, bałem się jednak myśleć, co to może być. Podchodziłem coraz bliżej trzymając się przeciwnej ściany korytarza, aż skoczyłem naprzód i oświetliłem wnętrze pokoju.

To był Śpiewająca Skała, pełznący na czworaka po podłodze. Z początku zdawało mi się, że nic mu nie jest, lecz kiedy padło na niego światło odrócił ku mnie głowę i zobaczyłem, co Misquamacus zrobił z jego twarzą.

Czując dreszcz grozy na karku przejechałem promieniem latarki po pokoju. Nie było ani śladu Misquamacusa. Uciekł i krył się teraz wśród smolistej czerni korytarzy dziesiątego piętra. Będziemy musieli znaleźć go i zniszczyć, uzbrojeni jedynie w latarkę i małą szklaną fiolkę zakażonego roztworu.

- Harry? - szepnął Śpiewająca Skała. Wszedłem i ukląknąłem przy nim. Wyglądał, jakby ktoś przejechał mu po twarzy siedmioma pasmami kolczastego drutu. Miał zerwaną skórę z policzka i popękane wargi. Krwawił obficie. Wyjąłem chustkę do nosa i najdelikatniej jak umiałem otarłem krew.

- Bardzo cię boli? - spytałem. - Co się stało? Gdzie jest Misquamacus?

Śpiewająca Skała starł krew z ust.

- Próbowałem go zatrzymać - szepnął. - Zrobiłem wszystko, co mogłem.

- Uderzył cię?

- Nie musiał. Rzucił mi w twarz garścią instrumentów chirurgicznych. Gdyby tylko mógł, zabiłby mnie.

W szafce przy łóżku znalazłem trochę gazy i bandaż. Po wytarciu krwi twarz Śpiewającej Skały nie wyglądała już tak fatalnie. Ochronne czary odchyliły większość skalpeli i próbników, które Misquamacus posłał w jego stronę. Kilka z nich wbiło się w ścianę aż po rękojeści.

- Masz tego wirusa? - spytał Śpiewająca Skała. - Poczekaj tylko, aż powstrzymam krwawienie i idziemy za nim.

- Mam. Nie wygląda to groźnie, ale Winsome twierdzi, że załatwi sprawę z tysiąckrotnym zapasem.

Śpiewająca Skała wziął fiolkę i przyjrzał się jej uważnie.

- Módlmy się, żeby poskutkowało. Nie mamy chyba zbyt wiele czasu.

Podniosłem latarkę. Podeszliśmy cicho do drzwi i zaczęliśmy nasłuchiwać. Nie było słyhać niczego prócz naszych tłumionych oddechów. Wśród pustych, mrocznych korytarzy czekała ponad setka pokoi, w których mógł się ukryć Misquamacus.

- Widziałeś, w którą stronę poszedł? - spytałem Śpiewającej Skały.

- Nie. Zresztą, minęło już pięć minut. Może być wszędzie.

- Jest zupełnie cicho. Czy to coś oznacza?

- Nie wiem. Nie wiem, co on zamierza zrobić. Chrząknąłem.

- Co ty byś zrobił na jego miejscu? Myślę o czarach? Śpiewająca Skała zastanawiał się przez chwilę, cały czas przyciskając do poharatanego policzka zakrwawiony tampon.

- Nie jestem pewien - odparł. - Trzeba spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Wydaje mu się, że ledwie kilka dni temu opuścił Manhattan siedemnastego wieku. Biały człowiek wciąż jest dla niego obcym i wrogim najeźdźcą znikąd. Misquamacus jest bardzo potężny, lecz najwyraźniej przestraszony. Co więcej, fizycznie stał się kaleką, a to nie wpływa dodatnio na jego morale. Przypuszczam, że wezwie na pomoc wszystko, co tylko zdoła.

Błysnąłem latarką w głąb korytarza.

- Masz na myśli demony?

- Oczywiście. Jaszczur-z-Drzew to zaledwie początek.

- Co w takim razie możemy zrobić?

Śpiewająca Skała tylko potrząsnął bezradnie głową.

- Jedna rzecz działa na naszą korzyść - stwierdził. - Jeśli Misquamacus zechce sprowadzić demony z najgłębszej otchłani, musi przygotować bramy, przez które zdołają przejść.

- Bramy? O czym ty mówisz?

- Wytłumaczę ci to możliwie najprościej. Wyobraź sobie, że istnieje mur pomiędzy światem duchów i światem fizycznym. Jeżeli Misquamacus zechce sprowadzić jakieś demony, musi wyjąć z tego muru kilka cegieł i stworzyć otwór, przez który przejdą duchy. Trzeba je także jakoś przywabić. Demony prawie zawsze żądają jakiejś zapłaty za swe usługi, jak Jaszczur-z-Drzew tego skrawka żywego ciała.

- Skrawka? Chryste, ładny skrawek. Śpiewająca Skała ścisnął mnie za ramię.

- Harry - powiedział cicho. - Stracimy więcej, zanim ta sprawa się skończy.

Spojrzałem na niego poważnie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że znaleźliśmy się w pułapce i że jest z niej tylko jedno wyjście.

- Dobrze - odparłem. Wcale nie było dobrze, ale nie mieliśmy wyboru. - Chodźmy go poszukać.

Wyszliśmy na korytarz i rozejrzeliśmy się. Cisza aż przygniatała. Słyszałem ruch cząstek powietrza, uderzających w moje bębny i bicie własnego serca. Tłumiony lęk przed spotkaniem z Misquamacusem lub jednym z jego demonów sprawiał, że drżeliśmy obaj i oblewaliśmy się zimnym potem. Śpiewająca Skała szcekał zębami, gdy badaliśmy pierwsze korytarze. Zatrzymywaliśmy się przy każdych drzwiach świecąc latarką przez szybę, by sprawdzić, czy szaman nie kryje się wewnątrz.

- Te bramy - spytałem Śpiewającej Skały, gdy skręcaliśmy w pierwszą odnogę. - Jakie one są? Indianin wzruszył ramionami.

- Jest wiele rodzajów. Aby sprowadzić takiego demona, jak Jaszczur-z-Drzew wystarczy krąg na podłodze, odpowiednie obietnice i zaklęcia. Lecz Jaszczur-z-Drzew nie jest szczególnie potężny. Stoi dość nisko w hierarchii indiańskich demonów. Żeby wezwać groźniejszego demona, jak Strażnik Masztu Wigwamu czy Wąż Wodny, musisz przygotować taką sytuację, by fizyczny świat wydał im się atrakcyjny.

- Sprawdź tamte drzwi - przerwałem świecąc latarką w szybę. Zajrzał do salki i pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że jest jeszcze na tym piętrze - powiedział. - Jeśli się przeniósł, będziemy mieli duże kłopoty.

- Schody są pilnowane - zauważyłem. Śpiewająca Skała uśmiechnął się krzywo.

- Przed Misquamacusem nic nie jest wystarczająco pilnowane.

Szliśmy ostrożnie zatrzymując się co kilka metrów, by zbadać pokoje, szafy i różne zakamarki. Zaczynałem się zastanawiać, czy Misquamacus w ogóle istniał, czy nie był tylko jakimś niezwykłym złudzeniem.

- Czy sam próbowałeś kiedyś wezwać demona? - spytałem. - Może moglibyśmy zebrać kilka po naszej stronie. Jeśli Misquamacus ściąga posiłki, to czemu nie zrobić tego samego?

Śpiewająca Skała uśmiechnął się znowu.

- Harry, chyba sam nie wiesz, co mówisz. Te demony to nie żarty, to nie poprzebierani ludzie. Największe z nich, najwyższe w indiańskiej hierarchii, mogą przybierać wiele postaci. Niektóre stale zmieniają kształt i całą swoją istotę. W jednej chwili są jak straszliwy bizon, w następnej jak jama pełna węży. Nie mają ludzkiego sumienia ani nie czują litości. Czy sądzisz, że Jaszczur-z-Drzew żałował Jacka Hughesa gdy odgryzał mu dłoń? Jeśli chcesz mieć jakieś demony po swojej stronie, musisz żądać od nich czegoś absolutnie okrutnego i nie przejmować się konsekwencjami, jeśli coś pójdzie nie tak jak trzeba.

- Chcesz powiedzieć, że są złe? - spytałem. Skierowałem snop światła w głąb korytarza, by sprawdzić jakiś podejrzany cień.

- Nie - odparł Śpiewająca Skała. - Nie są złe w ludzkim sensie tego słowa. Musisz jednak zrozumieć, że naturalne moce tej planety nie czują sympatii dla ludzkości. Matka Natura, niezależnie od tego, co wypisują o niej w katechizmie szkoły niedzielnej, wcale nie jest dobroduszną. Ścinamy drzewa i demony drzew zostają wydziedziczone. Budujemy kopalnie i kamieniołomy, niepokojąc demony ziemi i skał. Jak myślisz, skąd się bierze tyle historii o ludziach opętanych przez złe duchy na samotnych farmach? Byłeś kiedy w Pensylwanii? Widziałeś pentagramy i amulety, jakie noszą farmerzy, by odpędzały demony? Ci farmerzy rozbudzili duchy drzew i pól. Teraz za to płacą.

Skręciliśmy w kolejny boczny korytarz.



- Co to jest? - spytałem przystając.

Wpatrywaliśmy się w mrok. Musieliśmy odczekać ze dwie minuty, zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyliśmy migotliwy, niebieskawy blask świecący przez drzwi którejs z sal.

- Mamy go - rzekł Śpiewająca Skała. - Misquamacus jest tam. Nie wiem, co robi, ale na pewno nic, co by się nam spodobało.

Wyjąłem z kieszeni fiolkę z wirusem grypy.

- Mamy to - przypomniałem mu. - I cokolwiek on dla nas przygotował nie będzie gorsze od tego, co my mamy dla niego.

- Nie przeceniaj się, Harry - ostrzegł Śpiewająca Skała. - Z tego co wiemy, Misquamacus może być odporny.

- Doskonale, dodawaj mi odwagi! - spróbowałem zażartować. Cały czas jednak czułem dreszcze płynące wszystkimi nerwami mego ciała. Wiele bym dał za możliwość ulżenia swoim jelitom.

Zgasiłem latarkę i bardzo ostrożnie ruszyliśmy w stronę migotliwego światełka. Wyglądało jak blask palnika acetylenowego lub odbicie dalekiej błyskawicy. Różniło się tylko tym, że miało jakiś nieziemski charakter, niezwykle chłód, który przywodził na myśl gwiazdy oglądane w samotną zimową noc, gdy mrugają zimno, nieskończenie dalekie.

Dotarliśmy do drzwi. Były zamknięte. Światło padało przez niewielkie okienko i szparę przy podłodze.

- Sam zajrzysz, czy ja mam to zrobić? - spytał Śpiewająca Skała. Zadrzałem, jakby ktoś nastąpił na mój własny grób.

- Zajrzę. Ty zrobiłeś już dość.

Podszedłem bliżej i przycisnąłem się do ściany obok drzwi. Była dziwnie chłodna, a gdy zbliżyłem się do okienka zauważyłem, że szyba pokryta jest szronem. Szron - w ogrzewanym szpitalu? Wskazałem palcem, by zwrócić na niego uwagę Śpiewającej Skały. Skinął głową.

Ostrożnie przysunąłem twarz do okienka i zajrzałem do wnętrza. To, co zobaczyłem sprawiło, że całe ciało pokryła mi gęsia skórka, a włosy uniosły się jak kolce przestraszonego jeżozwierza.

## ROZDZIAŁ 8

### NAD CZERNIĄ

Misquamacus siedział niezgrabnie na środku podłogi podpierając ręką swe zdeformowane ciało. Całe umeblowanie sali, wyglądającej na wykładową, zostało odrzucone na boki, jakby przez gwałtowny wicher. Uprzątniętą w ten sposób podłogę Misquamacus poznał kredą. Dostrzegłem duży krąg, a wewnątrz niego dziesiątki kabalistycznych znaków i figur. Odrodzony czarnoksiężnik wznosił nad nimi lewą rękę i chrapliwym, natrętnym szeptem intonował jakieś zaklęcia.

Lecz nie krąg i nie rzucanie czaru tak mnie przeraziło, lecz mglista półprzejrzysta sylwetka, pojawiająca się i znikająca w środku koła - postać z migocącego błękitnego światła o zmiennych kształtach. Gdy osłoniłem oczy, udało mi się dostrzec niezwykłą, podobną do ropuchy istotę, która zdawała się drzeć i znikać, zmieniać się i rozpląwać.

Śpiewająca Skała podszedł cicho i stanął obok mnie przy okienku. Spojrzał tylko raz szepnął:

-- Gitche Manitou, ochroń nas, Gitche Manitou, osłoń nas przed krzywdą, Gitche Manitou, powstrzymaj naszych wrogów.

- Co to jest? - syknąłem. - Co się tam dzieje?

Śpiewająca Skała, zanim odpowiedział, dokończył swą inwokację.

- O, Gitche Manitou, udziel nam pomocy, O, Gitche Manitou, ocal nas od ran. Ześlij nam szczęście i dobry los przez wszystkie księżycy naszego życia.

- Śpiewająca Skała, co to jest?

- Gwiezdna Bestia - odparł Indianin wskazując obrzydliwą, zniekształconą sylwetkę podobnego do ropuchy stwora. - To najlepsze tłumaczenie jej imienia, jakie przychodzi mi do głowy. Nigdy jeszcze jej nie widziałem. Znam jej wygląd tylko z rysunków i z opowieści starych szamanów. Myślałem, że nawet Misquamacus nie odważy się jej przywołać.

- Dlaczego? - szepnąłem. - Czy jest aż tak niebezpieczna?

- Sama w sobie Gwiezdna Bestia nie jest szczególnie groźna. Może cię zniszczyć nawet się nad tym nie zastanawiając, lecz nie jest ani potężna, ani ważna. Jest raczej sługą istot wyższych. Łącznikiem.

- Chcesz powiedzieć, że Misquamacus chce ją wykorzystać jako posłańca... by wezwać inne demony?

- Coś w tym rodzaju - odparł Śpiewająca Skała. - Później ci wytłumaczę. Na razie najrozsądniej będzie wynieść się stąd.

- A wirus? Co z wirusem? Śpiewająca Skała, musimy przynajmniej spróbować go wykorzystać. Śpiewająca Skała odchodził już od drzwi.

- Zapomnij o nim. To był dobry pomysł, ale teraz już za późno. Przynajmniej na razie. Chodź, idziemy.

Zostałem na miejscu. Bałem się, lecz jeśli istniała jakakolwiek szansa zniszczenia Misquamacusa, chciałem ją wykorzystać.

- Śpiewająca Skała... możemy mu zagrozić wirusem! Powiedz, że jeśli nie zamknie tej bramy, zabijemy go! Na rany Chrystusa, warto chociaż spróbować!

Śpiewająca Skała zawrócił i zaczął odciągać mnie od drzwi.

- Za późno - powtórzył. - Czy nie rozumiesz, czym są te demony? Same w sobie są jak forma wirusa. Gwiezdna Bestia uśmieje się z twojej grypy i sprowadzi na ciebie najgorszą śmierć, jaką możesz sobie wyobrazić.

- Ale Misquamacus...

- Misquamacusa można by przestraszyć, Harry, ale gdy już wezwał demony, jest za późno. Zabicie go jest teraz bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Jeśli któraś z tych bestii przejdzie przez bramę, a Misquamacus umrze, nie będzie żadnego sposobu odesłania jej z powrotem. Popatrz, Harry. Chcesz ryzykować wypuszczenie tego potwora na Manhatan?

Gwiezdna Bestia drżała i migotała upiorną fluorescencją. Chwilami zdawała się tłusta i żarłoczna, chwilami zbudowana jedynie z falujących chmur. Roztaczała niemożliwą do opisanego atmosferę paraliżującej grozy, niczym rozjuszony, wściekły pies.

- Nie, Śpiewająca Skała - powiedziałem. - Muszę spróbować.

- Harry - prosił Indianin. - Bądź rozsądny. To nie ma sensu.

Lecz ja podjąłem już decyzję. Położyłem dłoń na zimnej jak lód klamce, gotów otworzyć drzwi.

- Daj mi jakiś czar albo cokolwiek dla osłony.

- Harry, czar to nie słuwa. Po prostu nie idź tam, to wszystko.

Przez kilka sekund zastanawiałem się, co ja u licha wyczyniam. Nie jestem materiałem na bohatera. Dysponowałem jednak bronią, mogącą zniszczyć Misquamacusa. I miałem okazję. Wydawało się jakoś łatwiejsze i bardziej logiczne próbować go zabić niż pozwolić mu robić swoje. Jeżeli istniało coś gorszego od Gwiezdnej Bestii, nie chciałem tego oglądać. A jedynym sposobem powstrzymania dalszych materializacji było pozbycie się szamana raz na zawsze. Policzyłem do trzech i z rozmachem otworzyłem drzwi.

Zupełnie nie byłem przygotowany na to, co zastałem wewnątrz. Było tak zimno, że poczułem się jak zamknięty w ciemnej lodówce. Chciałem pobiec naprzód, lecz moje nogi mogły się poruszać jedynie w zwolnionym tempie. Zdawało się, że każdy krok zajmuje całe minuty, gdy otwierając szeroko oczy brnąłem przez lepkie powietrze wznosząc dłoń ze szklaną fiolką.

Najgorszy jednak był dźwięk. Przypominał okrutny, zimny wicher, wyjący opadającą wciąż nutą, nigdy jednak nie niższą niż głuchy, jednostajny huk. W pokoju nie było wiatru, lecz niewyczuwalny huragan wył i ryczał, tłumiąc wszelkie poczucie czasu i przestrzeni.

Misquamcus odwrócił się do mnie, powoli, jak postać z koszmarnego snu. Nie zrobił najmniejszego wysiłku, by mnie zatrzymać ani by się bronić. Gwiezdna Bestia przekształciła się falowała jak sznury żabiego skrzeku albo smugi dymu.

- Misquamacusie! - wrzasnąłem. Słowa spływały mi z warg jak gęste krople topniejącego wosku i zdawały się zastygać w powietrzu. - Misquamacusie!

Zatrzymałem się nie dalej niż metr od niego. Musiałem zasłonić ręką ucho, by przytłumić ogłuszający jęk wichru, którego nie było. W drugiej ręce ścisnąłem fiolkę z grypą, wznosząc ją do góry niby święty krucyfiks.

- Misquamacusie! Oto niewidzialny duch, który uderzył w twój lud! Mam go tutaj, w tej butelce. Zamknij bramę... odeślij Gwiezdną Bestię... inaczej wypuszczę go!

Jakiś fragment mojego mózgu rejestrował krzyk Śpiewającej Skały: "Harry!

Wracaj!" Lecz huragan ryczał zbyt głośno, a moje gruczoły zbyt szybko pompowały adrenalinę. Wiedziałem też, że jeśli teraz nie przyciśniemy Misquamacusa do muru, to może już nigdy nie pozbędziemy się ani jego, ani demonów, ani żadnej cząstki straszliwego dziedzictwa magicznej przeszłości.

Jestem jednak jasnowidzem, nie szamanem i w żaden sposób nie mogłem sobie poradzić z tym, co zdarzyło się później. Poczułem w dłoni coś zimnego i wijącego się - fiolka zmieniła się w czarną, ruchliwą pijawkę. Niewiele brakowało, bym rzucił ją z obrzydzeniem, lecz w moim mózgu odezwało się ostrzeżenie: to złudzenie, jeszcze jedna sztuczka Misquamacusa - więc tylko ścisnąłem mocniej. Wtedy jednak czarnoksiężnik przechytrył mnie. Pijawka wybuchła płomieniem, a mózg nie był dość szybki, by pojąć, że to też złudzenie i powstrzymać w porę odruch. Odrzuciłem ją. Fiolka popłynęła powoli w stronę podłogi - nienaturalnie powoli, jak kamień tonący w przejrzystym oleju.

Przerażony, próbowałem odwrócić się i pognać do drzwi. Ale powietrze stało się gęste i ciężkie, a każdy krok wymagał olbrzymiego wysiłku. Dostrzegłem w drzwiach Śpiewającą Skalę wyciągającego ku mnie ręce, lecz zdawał się odległy o całe mile - wybawca stojący na brzegu, do którego nie mogłem dopłynąć.

Zmienna, przejrzysta sylwetka Gwiezdnej Bestii przyciągała mnie z nieodpartą mocą. Czułem, że mimo moich rozpaczliwych wysiłków jakaś siła wlecze mnie coraz dalej od drzwi, coraz bliżej środka magicznej bramy. Zobaczyłem, jak fiolka grypy zmienia kierunek lotu i płynie ku demonowi, kręcąc się i wirując niczym oddalający się w przestrzeń satelita.

Przeszyło mnie przeraźliwe zimno. Wśród pogrzebowego jęku nieruchomego huraganu widziałem chmury pary tworzonej przez mój oddech i gwiazdki szronu osiadające mi na ubraniu. Fiolka z wirusem zmieniła się w kryształ lodu i szkła. Dla Misquamacusa była teraz równie niegroźna, jak pistolet bez magazynka.

Obejrzałem się - nie mogłem się powstrzymać - by spojrzeć za siebie, na Gwiezdną Bestię. Choć szedłem z wysiłkiem w stronę przeciwną do bramy, ani odrobinę nie zbliżyłem się do drzwi. Moje stopy dzieliło ledwie kilka centymetrów od nakreślonego kredą kręgu, w centrum którego poruszał się straszny wir wzburzonego powietrza, jakim stała się przyciągająca mnie coraz bliżej Gwiezdna Bestia.

Misquamacus opuścił głowę i wyciągając lewą rękę ogłuszająco głośno zaintonował długie zaklęcie, które chyba podrażniło demona jeszcze bardziej. Potwór przypominał teraz niewyraźny rentgenowski obraz żołądka, poruszanego trawienną perystaltyką.

Walczyłem, lecz chłód był tak dokuczliwy, że trudno było skupić myśli na czymkolwiek prócz tego, jak przyjemnie byłoby się ogrzać. Mięśnie tężały od mrozu; ruch poprzez gęste jak olej powietrze, wśród wycia wichury, był niemal ponad moje siły. Wiedziałem, że pewnie poddam się w końcu i przyjmę wszystko, co przygotował dla mnie Misquamacus. Pamiętam, że osunąłem się na kolana.

- Harry! - wrzeszczał od drzwi Śpiewająca Skała. - Nie poddawaj się, Harry!

Próbowałem podnieść głowę, by na niego spojrzeć, lecz mięśnie szyi były jak skamieniałe. Niewiele zresztą widziałem przez grubą warstwę szronu, która narosła mi na rękach i brwiach. Śnieg oblepiał mi włosy, las lodowych igiełek wyrósł wokół nosa i ust, gdzie zamarzał oddech. Czułem obezwładniające tchnienie mrozu, słyszałem przerażający szum wichru.

- Harry! - krzyczał Śpiewająca Skała. - Ruszaj się, Harry! Ruszaj się!

Podniosłem rękę. Spróbowałem znowu się podnieść. Udało mi się jakoś odsunąć od bramy o kilka centymetrów, lecz Gwiezdna Bestia była zbyt silna, a zaklęcia Misquamacusa trzymały mnie jak w sieci.

Dostrzegłem zrzuconą na podłogę elektryczną maszynę do pisania, z grubo pokrytymi lodem klawiszami. Przyszło mi nagle do głowy, że jeśli rzucę czymś w Misquamacusa albo nawet w samą Gwiezdną Bestię, może zajmie ich to na kilka sekund i zdołam się uwolnić. Oto, jak mało rozumiałem potęgę demonów. Wciąż traktowałem je jak kowbojów i Indian. Wyciągnąłem przemarzniętą dłoń i ze straszliwym wysiłkiem podniosłem maszynę z podłogi. Było na niej tyle lodu, że ważyła chyba dwa razy więcej niż normalnie.

Odwróciłem się, padłem na plecy i cisnąłem maszynę ku magicznej bramie i niewyraźnej sylwetce demona. Jak wszystko inne tutaj, leciała po drugim łuku wirując wolno. Zdawało się, że minęło stulecie zanim przekroczyła granicę kręgu.

Nie wiedziałem, co może nastąpić. Leżałem tylko sztywny z zimna, zwinięty w kłębek jak embrion, czekając na chwilę, gdy wirująca maszyna osiągnie cel. Chyba zamknąłem oczy, może także na moment zasnąłem. Kiedy Człowiek zamarza, myśli

tylko o śnie, ciepłe i odpoczynku.

Maszyna do pisania dotknęła pulsującej sylwetki Gwiazdnej Bestii i wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Wybuchła deszczem metalu i plastiku, a ja przez sekundę tylko, dostrzegłem coś w tej eksplozji, coś niby bezcielesny grymas wściekłości. I choć nie miało kształtu ani formy, i natychmiast znikło bez śladu, pozostawiło pamięć obrazu w oku, jak gdyby ktoś błysnął fleszem w ciemności.

Gwiazdna Bestia skurczyła się. Zwoje chmur zwinęły się do wnętrza niby płatki upiornego morskiego anemonu. Żałobne wycie wzniosło się i opadło dziwnym, niespokojnym jękiem. Wiedziałem, że jeśli chcę się stąd wydostać, to teraz mam jedyną okazję. Podniosłem się i brnąłem do wyjścia nie patrząc za siebie.

Kiedy oprzytomniałem, siedziałem na korytarzu obok zamkniętych drzwi. Śpiewająca Skała kreślił wokół nich ochronne znaki mające, przynajmniej na pewien czas, uwięzić Misquamacusa w pokoju.

- Oszalałeś! - powiedział. - Zwariowałeś zupełnie! Stałem z włosów topniejący szron.

- Jeszcze żyję. Przynajmniej próbowałem dostać Misquamacusa. Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- Nie miałeś żadnych szans. Już by cię załatwił, gdyby nie moje ochronne czary. Zakaszlałem i podniosłem głowę, by na niego spojrzeć.

- Wiem, Śpiewająca Skała. Dziękuję. Musiałem spróbować. Jezu, ta Gwiazdna Bestia jest tak okropnie zimna... Czuję się jakbym przeszedł dwadzieścia mil w śnieżycy.

Śpiewająca Skała wstał i spojrzał przez okienko.

- Misquamacus nie rusza się. Bestia zniknęła. Sądzę, że czas, byśmy także się wynieśli.

- Co zrobimy? - spytałem. Śpiewająca Skała pomógł mi się podnieść. - I, co ważniejsze, jak myślisz, co zamierza zrobić Misquamacus?

Indianin błysnął latarką do tyłu, by upewnić się, że nic za nami nie idzie. Potem odparł:

- Wydaje mi się, że wiem, do czego on zmierza i uważam, że najrozsądniej będzie stąd zniknąć. Jeśli on robi to, co myślę, że robi, życie w tej okolicy stanie się

zdecydowanie niezdrowe.

- Przecież nie możemy go tak zostawić.

- Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Wprawdzie nie czyni swej magii tak spójną i potężną, jak się spodziewałem, ale nadal jest zbyt silny, by go ruszyć.

Szybkim krokiem szliśmy przez mroczne korytarze w stronę windy. Na dziesiątym piętrze panowała ciemność i cisza, a odgłos naszych kroków był przytłumiony, jakbyśmy biegli po trawie. Zadyszałem się zanim dotarliśmy do ostatniego zakrętu i zobaczyliśmy czekającą na nas z otwartymi drzwiami windę. Wyciągnąłem swoje buty z drzwi i wcisnąłem guzik ostatniego piętra. Z ulgą oparliśmy się o ściany. Czuliśmy, jak winda niesie nas w górę, ku bezpieczeństwu.

Kiedy wyszliśmy na jasne światło osiemnastego piętra, oczekiwał nas już liczny komitet powitalny. Dr Winsome wezwał policję i ośmiu czy dziewięciu uzbrojonych gliniarzy kręciło się między lekarzami i pielęgniarzami. Zjawiała się też prasa, a ludzie z CBS rozstawiali właśnie swoje kamery. Gdy tylko wyszliśmy podniósł się gwar pytań i okrzyków. Jedyne siłą mogłem się przepchnąć przez tych wszystkich ludzi do gabinetu Jacka.

On sam siedział w kącie z grubym bandażem na ręce, pilnowany przez pielęgniarza. Wyglądał blado i chorowicie. Najwyraźniej jednak odmówił wycofania się z pola walki.

- Jak tam? - zwrócił się do mnie. - Co się dzieje na dole?

Doktor Winsome, jeszcze bardziej czerwony na twarzy niż poprzednio, przepchnął się do przodu.

- Musiałem wezwać policję, panie Erskine - powiedział. - Uważam, że sytuacja zagraża bezpieczeństwu ludzi. Zrobiłem to dla bezpieczeństwa wszystkich zainteresowanych. To jest porucznik Marino i jak sądzę chciałby zadać panu kilka pytań.

Za Winsomem dostrzegłem dobrze mi znaną twarz, niechętny uśmiech i obcięte najeża włosy. Machnąłem ręką, a Marino skinął głową.

- Panie Erskine - zaczął przeciskając się bliżej. Pięciu czy sześciu reporterów skupiło się wokół nas wyciągając notesy, a ci z telewizji zapalili swoje światła. - Chciałbym dowiedzieć się od pana kilku szczegółów.



- Czy możemy porozmawiać w cztery oczy? - spytałem. - Nie wydaje mi się, żeby to było najlepsze miejsce. Marino wzruszył ramionami.

- Prędzej czy później prasa i tak się dowie. Proszę tylko powiedzieć, co się dzieje. Doktor Winsome zawiadomił nas, że macie niebezpiecznego pacjenta. Jak rozumiem, zabił już jednego człowieka, poranił lekarza i nie zamierza na tym skończyć.

Kiwnąłem głową.

- To prawda. W pewnym sensie.

- W pewnym sensie? Co to ma znaczyć?

- Właściwie on nie jest pacjentem. I nie zabił tego człowieka tak, jak rozumie się morderstwo. Nie, nie mogę tego panu tutaj wyjaśnić. Poszukajmy jakiegoś pustego gabinetu czy czegoś takiego.

Marino spojrzał na reporterów, kamery telewizji, policjantów i pielęgniarzy.

- Dobra - zgodził się. - Jeśli będzie panu łatwiej... Doktorze Winsome, czy znajdzie się jakiś pusty pokój?

Dziennikarze jęknęli z rozczarowaniem i zaczęli się awanturować o bezprawne zatajanie faktów, lecz porucznik nie ustąpił. Skinąłem na Śpiewającą Skałę i razem z Marino oraz jego zastępcą, detektywem Narro, zamknęliśmy się w biurze pielęgniarki oddziałowej. Reporterzy stłoczyli się przy drzwiach, więc rozmawialiśmy szybko i cicho, by nie mogli nas podsłuchać.

- Poruczniku - zacząłem. - To bardzo trudna sprawa i nie wiem, jak ją panu wyjaśnić. Marino wyciągnął nogi na biurku i wyjął paczkę Larków.

- Niech pan spróbuje - powiedział zapalając jednego.

- To jest tak: człowiek na dziesiątym piętrze jest szaleńcem opętanym manią zabijania. To Indianin i chce się zemścić na białych.

Porucznik Marino odchrząknął.

- Proszę mówić dalej - powiedział cierpliwie.

- Problem polega na tym, że to nie jest zwykły człowiek. Posiada pewne zdolności i umiejętności, których nie mają normalni ludzie.

- Potrafi jednym susem przeskakiwać wieżowce? - spytał Marino. - Biec szybciej niż kula z pistoletu? Śpiewająca Skała zaśmiał się ponuro.

- Jest pan bliższy prawdy, niż się panu zdaje, poruczniku.

- Mam rozumieć, że na dole macie Supermana? Czy raczej Super-czerwonoskórego?

Wyprostowałem się usiłując wyglądać na człowieka poważnego i godnego zaufania.

- To brzmi śmiesznie, poruczniku, ale niemal dokładnie odpowiada prawdzie. Ten Indianin na dole to szaman, który wykorzystuje swe magiczne siły, by wyrzucić zemstę. Ten oto Śpiewająca Skała sam jest szamanem z plemienia Siuksów Pomagającym. Kilkakrotnie ocalił już ludzkie życie. Myślę więc, że powinien pan wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

Marino zdjął nogi z biurka i spojrzał na Śpiewającą Skałę. Kilka razy zaciągnął się papierosem, po czym oznajmił:

- Niektórzy detektywi lubią wariackie sprawy. Wychodzą ze skóry żeby rozwiązać jakąś niesamowitą zagadkę czy coś podobnego. A co ja lubię? Ja lubię proste, jasne zabójstwa. Ofiara, motyw, narzędzie, wyrok. A wiecie, co mi się stale trafia? Wariackie sprawy. Oto co mi się trafia.

Śpiewająca Skała odsłonił swój poharatany policzek.

- Czy to wygląda wariacko? - spytał spokojnie. Porucznik Marino wzruszył ramionami.

- Powiem wprost - rzekł szaman. - Nie mamy zbyt wiele czasu i jeśli nawet teraz mi nie uwierzycie, to uwierzycie, gdy wszystko się zacznie. Mój przyjaciel ma rację. Ten człowiek na dole to indiański szaman. Nie będę nadwyręzał waszej wyobraźni tłumacząc, skąd się tu wziął i co robi na dziesiątym piętrze prywatnego szpitala. Zapewniam jednak, że jego siła jest jak najbardziej realna i wysoce niebezpieczna.

- Czy jest uzbrojony? - spytał detektyw Narro, młody policjant ubrany w elegancki niebieski garnitur i takąż koszulę w kratę.

- Nie w rewolwer - odparł Śpiewająca Skała. - Nie potrzebuje. Magiczna moc jest o wiele bardziej skuteczna niż broń palna. Co więcej, wasza broń jest wobec niego bezużyteczna i potencjalnie groźna dla was samych. Jeśli nawet nie dacie się przekonać, to uwierzcie przynajmniej temu. Proszę - żadnych rewolwerów.

- Więc czego mamy używać zamiast nich? uniósł brwi porucznik Marino. - Łuków i strzał? Śpiewająca Skała zmarszczył czoło.

- Pańskie żarty są nieco nie na miejscu, poruczniku. Nie ma nic zabawnego w tym, co dzieje się na dole. Przyda się panu każda pomoc i każda informacja, jaką może pan zdobyć.

- Dobrze - zgodził się Marino. - A co się dzieje na dole? - Niełatwo to wytłumaczyć - powiedział Śpiewająca Skała. - Sam nie jestem do końca pewien. Ale uważam, że Misquamacus, ten szaman, przygotowuje magiczną bramę, by przywołać indiańskie demony i duchy z przeciwnej strony.

- Przeciwnej strony czego?

- Przeciwnej strony fizycznego bytu. Ze świata duchów. Udało mu się już wezwać Gwiazdną Bestię, sługę i posłańca najwyższych w indiańskiej hierarchii demonów. Pan Erskine... cóż, widział Gwiazdną Bestię na własne oczy i ledwie przeżył.

- Czy to prawda, panie Erskine? - zainteresował się Marino.

- Prawda - kiwnąłem głową. - Mogę przysiąc. Proszę popatrzeć na moje ręce. Detektyw bez słowa obejrzał sine plamy odmrożeń.

- Niełatwo jest jakemukolwiek szamanowi przywołać istoty z tamtego świata - kontynuował Śpiewająca Skała. - Są bezlitosne i potężne. Dla najgroźniejszych nasz świat został zamknięty czarami i zaklęciami, rzuconymi zanim jeszcze biały człowiek postawił stopę na tym kontynencie. Szamani, którzy tego dokonali byli mistrzami swej sztuki. Dziś nie pozostał przy życiu nikt, kto mógłby się z nimi równać. Właśnie dlatego te manitou są takie groźne. Jeśli Misquamacus je uwolni, nikt nie zdoła odesłać ich z powrotem. Nie jestem nawet pewien, czy on sam będzie do tego zdolny. Detektyw Narro nie rozumiał dokładnie.

- Te istoty... zapytał. - Chce pan powiedzieć, że ukrywają się gdzieś w budynku?

Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- Są wszędzie wokół nas. W powietrzu, którym oddychamy. W lasach, w skałach, w drzewach. Każda rzecz ma swego manitou, swego ducha. Istnieją naturalne manitou nieba, ziemi czy deszczu, istnieją też manitou wszystkich przedmiotów stworzonych przez człowieka. Każdy indiański wigwam ma swego manitou, każda indiańska broń. Dlaczego jeden łuk strzela prosto, a inny wciąż chybia? Zależy to od wiary człowieka, który go trzyma i sympatii dla niego, jaką żywi manitou broni. Właśnie dlatego rewolwery mogą być niebezpieczne. Rewolwer także ma swego manitou, którego moc

zależy od zapachu i umiejętności, włożonych w produkcję, lecz wasi ludzie w to nie wierzą. Dlatego łatwo będzie zwrócić przeciw nim duchy ich własnej broni.

Porucznik Marino słuchał cierpliwie, lecz z każdym słowem Śpiewającej Skały wyglądał coraz bardziej i bardziej nieszczęśliwie. Detektyw Narro starał się pojąć, o co chodzi, ale zrozumiał tylko tyle, że Misquamacus jest psychopatycznym mordercą, mającym bandę ukrytych gdzieś w budynku wspólników. W jego świecie duchy i niematerialne cienie z zaświatów zwyczajnie nie istniały. Chciałbym, by nie istniały i w moim.

- Przez bramę, jaką przygotował - mówił dalej Śpiewająca Skała - Misquamacus chce, moim zdaniem, wezwać najstraszniejszego ze wszystkich duchów, Wielkiego Starucha.

- Wielkiego Starucha? - przerwał mu Marino. - Kto to jest Wielki Staruch?

- To odpowiednik waszego Szatana czy Lucyfera. Gitche Manitou to wielki duch życia i stwórca Indian, zaś Wielki Staruch jest jego odwiecznym wrogiem. W dawnych pismach Indian jest wiele wzmianek na jego temat, lecz autorzy nie są zgodni co do tego, jak wygląda i jak można go wezwać. Niektórzy twierdzą, że przypomina olbrzymią ropuchę wielkości kilku świń, inni że chmurę z twarzą utworzoną z węży.

- Ciężko by było wysłać list gończy na podstawie takiego opisu - prychnął Marino. Śpiewająca Skała pokiwał głową.

- Nie będzie pan miał okazji, poruczniku. Wielki Staruch to najbardziej żarłoczny i najstraszniejszy z demonów. Powiedziałem, że jest jak wasz Szatan, ale Szatan wydałby się przy nim dżentelmenem. Wielki Staruch jest istotą nieskończenie złowrogą i okrutną.

Zapadła długa cisza. Wreszcie porucznik wstał i poprawił rewolwer u pasa. Detektyw Narro zamknął notes i zapiął marynarkę.

- Dziękuję panom za informacje i pomoc - rzekł Marino.

- Teraz, jak sądzę, pójdziemy łapać przestępcę.

- Poruczniku - odezwał się Śpiewająca Skała. - Nie zabierze pan chyba pistoletu? Marino uśmiechnął się tylko.

- Pańska opowieść o demonach i duchach była bardzo zajmująca, panie Śpiewająca

Skała, ale ja jestem oficerem wydziału zabójstw. Szpital prosił nas, byśmy unieszkodliwili oszalałego pacjenta, który zabił już jednego z pielęgniarki i poranił lekarza. Moim obowiązkiem jest zejść na dół i wyciągnąć go stamtąd. Żywego lub umarłego, jak będzie wolał. Mówił pan, że jak on się nazywa? Mickey jak?

- Misquamacus - poprawił spokojnie Śpiewająca Skała.

- Poruczniku, ostrzegam pana...

- Nie musi mnie pan ostrzegać. Pracuję w tym fachu dłużej, niż pan sobie wyobraża i wiem, jak postępować w takich sytuacjach. Nie będzie żadnych kłopotów i nie będzie zamieszania. Wy macie tylko siedzieć spokojnie, dopóki wszystko się nie skończy.

Otworzył drzwi i dziennikarze natychmiast wpełnęli się do wnętrza. Śpiewająca Skała i ja staliśmy między nimi milczący, załamani i przerażeni, gdy tymczasem Marino wygłosił krótkie, dwuminutowe resume swoich planów.

- Zablokujemy całe piętro - poinformował. - Następnie przeszukamy wszystkie korytarze. W razie potrzeby wprowadzimy do akcji strzelców wyborowych i użyjemy gazów łzawiących. Załatwimy sprawę systematycznie. Będziemy regularnie nadawać do tego czubka ostrzeżenia, że jeśli nie wyjdzie spokojnie, będzie miał prawdziwe kłopoty. Posyłam też trzech ludzi windą, żeby odciąć mu drogę ucieczki.

Reporterzy zanotowali skrzętnie jego słowa, by natychmiast zarzucić go gradem pytań. Marino podniósł ręce prosząc o ciszę.

- Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia - oświadczył. - Możecie się przyglądać, jak go wykurzamy. Potem porozmawiamy o szczegółach. Czy wszyscy są gotowi?

- Gotowi, sir - potwierdził Narro.

Patrzyliśmy przygnębieni, jak ośmiu uzbrojonych ludzi znika na klatce schodowej. Porucznik z przenośnym interkomem stanął naprzeciw windy czekając na moment, gdy jego grupa bojowa dotrze na dziesiąte piętro. Trzech policjantów - dwóch w mundurach i detektyw Narro - stało przy nim z bronią w rękach, gotowych zjechać na dół i kilkoma strzałami zakończyć całą sprawę. Po dziesięciu czy piętnastu minutach niespokojnego wyczekiwania interkom zabrzączał.

- Jesteście już na dole? - spytał porucznik. Głośnik zatrzeszczał, po czym odezwał

się jakiś głos:

- Jest ciemno. Nie możemy zapalić świateł. Będziemy musieli używać latarek.

- Czy doszliście już do korytarza? - indagował Marino. - Widzicie coś podejrzanego?

- Właśnie minęliśmy drzwi. Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia poszukiwań. Na razie żadnych problemów.

Marino obejrzał się na Narro, wysuwając dłoń ze sterczącym w górę kciukiem. Trzech ludzi weszło do windy. Detektyw nacisnął guzik dziesiątego piętra. Śpiewająca Skała i ja nie patrzyliśmy na siebie, gdy zamykały się drzwi i światełka nad nimi zaczęły się zapalać: 18 - 17 - 16 - 15 - 14 i niżej. Zatrzymały się na 10.

- Jak idzie, chłopcy? - spytał Marino.

- Wszystko w porządku - dobiegł głos dowódcy grupy bojowej. - Na razie nie ma o czym meldować. Sprawdzamy każdy pokój bardzo dokładnie.

- Uważajcie na siebie - rzucił Marino.

- Jest rzeczywiście bardzo ciemno - usłyszeliśmy zniekształcony trzaskami głos detektywa Narro. - Latarki nie działają tak, jak powinny. Czy ktoś mógłby sprawdzić, co się stało z oświetleniem?

- Już sprawdzaliśmy - poinformował Winsome. - Nie znaleźliśmy żadnych uszkodzeń.

- Mówią, że sprawdzali i że nie mogą nic poradzić - przekazał porucznik. - Uważajcie i trzymajcie latarki z dala od siebie. Nie chcecie przecież być zbyt łatwym celem.

- Chryste! - szepnąłem do Śpiewającej Skały kręcąc głową. - Oni ciągle myślą, że mają przeciwko sobie szaleńca z pistoletem.

- Mamy kłopoty, sir - odezwał się przez interkom dowódca grupy bojowej. - Układ korytarzy piętra nie zgadza się z planem. Dwa razy już zatoczyliśmy koło i wygląda na to, że zaraz zrobimy to po raz trzeci.

- Iluzje - stwierdził cicho Śpiewająca Skała.

Jakiś reporter z gazety podniósł głowę z zaciekawieniem.

- Co? - spytał.

- Podaj swoje położenie - mówił Marino. - Obok jakiegoś pokoju stoicie?

- Numer tysięcy pięć, sir.

Porucznik pospiesznie sprawdził plan piętra.

- W takim razie - powiedział - przed wami powinien być zakręt w lewo, potem w prawo i znajdziecie się w następnym sektorze.

Przez chwilę panowała cisza.

- Sir... - odezwał się wreszcie głos. - Tu nie ma żadnego zakrętu. Nie może być. Stoimy przed ślełą ścianą.

- Bzdura, Petersen. Jest zakręt, tuż przed tobą.

- Nie ma zakrętu, sir. Musieli przebudować to piętro już po wydrukowaniu planów. Marino obejrzał się na Winsome'a, lecz ten pokręcił głową.

- Ludzie ze szpitala twierdzą, że nie - przekazał do interkomu. - Jesteś pewien, że to numer tysięcy pięć?

- Absolutnie, sir.

- Szukaj dalej. Chyba zaszła jakaś pomyłka. Może podejrzany pozmieniał numery pokoi.

- Sir?

- Nie mam pojęcia! Szukajcie dalej!

W tej samej chwili odezwał się detektyw Narro. Jego głos zdawał się dziwnie chrapliwy i pełen napięcia.

- Mamy tu pewne problemy? - warknął Marino. - Zlokalizowaliście podejrzanego?

- Sir... jest tu coś w rodzaju...

- Narro! Coś w rodzaju czego?

- Sir... jesteśmy...

Interkom trzeszczał jeszcze przez chwilę i zamilkł. Przez tę chwilę słyzałem żalony, monotony jęk nieistniejącego wiatru.

Porucznik Marino raz po raz naciskał przycisk wezwania.

- Narro! Detektyw Narro! Słyszycie mnie? Narro, co się tam dzieje?

Odezwała się grupa bojowa.

- Słucham - rzucił porucznik.

- Sir, zdaje się, że coś znaleźliśmy. Jest straszliwie zimno. Chyba nigdy w życiu nie było mi tak zimno.

- Zimno? O czym ty mówisz?

- Jest zimno, sir. Tak straszliwie zimno. Chyba będziemy musieli zawrócić. Latarki nie działają. Jest bardzo ciemno i bardzo zimno, sir. Nie wytrzymamy dłużej.

Porucznik Marino dźgnął w przycisk wezwania.

- Zostańcie tam! - krzyknął. - Do diabła, ludzie, co się z wami dzieje? Do diabła, co się dzieje tam na dole?

Zapadła cisza. Po raz pierwszy w pokoju pełnym dziennikarzy, kamerzystów i pielęgniarzy zrobiło się absolutnie cicho. Zauważyliśmy, jak niedostrzegalnie niemal uniosła się i opadła podłoga, jak gdyby poruszona przepływającą falą. Zamigotały światła.

Porucznik z trudem zachowywał spokój.

- Ściągnij ją tu - warknął do stojącego przy windzie policjanta. - Zjeżdżam na dół. Sam zobaczę, co się tam dzieje. .

Policjant przycisnął guzik i światełka zaczęły zapalać się w odwrotnej kolejności: 10 - 11 - 12 - 13 - 14. Marino wyjął z kabury policyjny rewolwer z krótką lufą i stanął pod drzwiami windy gotów wejść, gdy tylko się otworzą.

Światełka zatrzymały się na 18. Zaszumiał silnik i drzwi rozsunęły się. Wszyscy w pokoju wstrzymali z przerażeniem oddech.

Wnętrze windy wyglądało jak chłodnia w sklepie rzeźni-czym. Porwane, poszarpane zwłoki wszystkich posłanych na dół policjantów leżały w krwawych, oszronionych stosach. Klatki piersiowe, ramiona, nogi, porozrywane twarze - wszystko pokryte grubą warstwą białych kryształków. Śpiewająca Skała odwrócił się, a ja patrzyłem na niego i czułem się, tak samo jak on, bezradny i udręczony.



## ROZDZIAŁ 9

### POD CHMURĄ

Pół godziny później siedzieliśmy w gabinecie Jacka Hughesa z porucznikiem Marino i doktorem Winsome. Paliliśmy szybko i piliśmy jeszcze szybciej próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Tym razem Śpiewająca Skała, Jack i ja doczekaliśmy się czegoś więcej niż tylko sceptycznej obojętności. Powiedzieliśmy wszystko, co było nam wiadome o Misquamacusie i niezwykłych snach Karen Tandy. Nadal nie jestem pewien, czy porucznik Marino nam uwierzył, miał jednak na głowie wyróżniony oddział policji, więc jego sytuacja raczej nie sprzyjała kłótniom.

Światła migotały regularnie co pewien czas, dziwne drgania podłogi także zdarzały się coraz częściej. Marino wezwał posiłki, lecz skądkolwiek nadchodziły, nie spieszyło im się zbytnio. Interkom porucznika działał coraz gorzej, a w telefonach słychać było ciągle trzaski. Młody umundurowany policjant poszedł po pomoc piechotą, lecz on także nie dawał znaku życia.

- No dobrze - odezwał się kwaśno porucznik Marino. - Powiedzmy, że to magia. Powiedzmy, że wszystkie te bzdury są prawdą. Co możemy zrobić? Jak można zaarrestować manitou?

Śpiewająca Skała zakasłał. Wyglądał na wykończonego fizycznie i psychicznie. Nie wiedziałem, ile jeszcze wytrzyma. Podłoga uniosła się i opadła, a światło zamigotało dziwnym błękitnym blaskiem. Czułem się, jakbym płynął statkiem po wzburzonym morzu. Dalekie, monotonne wycie Gwiazdnej Bestii pogłębiało jeszcze wrażenie samotnej, morskiej podróży w nieznaną.

- Nie wiem, jak moglibyśmy powstrzymać teraz Misquamacusa - stwierdził Śpiewająca Skała. - Czujecie te drgania? To wstęp, zwiastujący przybycie Wielkiego Starucha. Według legend, Wielkiego Starucha zawsze poprzedzają burze, pojawiają się też jego ohydni słudzy. Dr Hughes może panu o nich opowiedzieć.

Jack bez słowa podał nam czarno-białą fotografię swej okaleczonej dłoni.

Pobudziliśmy szpitalnych fotografów, żeby specjalnie dla nas zrobili odbitkę. Porucznik przyjrzał się zdjęciu bez emocji i oddał je z powrotem.

- Jak pan myśli, co mogło zadać takie rany? - spytał Jack. - To ślady wąskich, ostrych zębów. Lew? Lampart? Aligator?

Marino spojrzał w sufit.

- Mogło to być każde z tych zwierząt - mówił Jack. - Ale ile lwów i aligatorów można znaleźć w centrum Manhattanu?

Detektyw pokręcił głową.

- Nie wiem, doktorze, i niespecjalnie mnie to interesuje. Przykro mi z powodu pańskiej ręki. Proszę mi wierzyć. Lecz o wiele bardziej przykro z powodu jedenastu martwych gliniarzy i chcę coś z tą sprawą zrobić. Redfern!

Niewysoki, młody policjant o bystrych oczach wsunął głowę przez drzwi.

- Słucham, sir.

- Jakież wiadomości od grupy posiłkowej?

- Rozmawiałem z nimi przez radiotelefon, sir. Twierdzą, że nie bardzo mogą dostać się do budynku.

- Że co?

- Tam jest porucznik Geoghegan, sir, z siedemnastego. Powiedział, że będą chyba musieli wyważać drzwi. Nie potrafią ich otworzyć.

Spojrzałem znacząco na Śpiewającą Skalę. Wyglądało na to, że Misquamacus odizolował szpital od zewnętrznego świata. Jeżeli czegoś jeszcze naprawdę się bałem, to właśnie uwięzienia w tym budynku, kiedy pojawi się Wielki Staruch. W miarę możliwości życzyłbym sobie znaleźć się wtedy w New Jersey, albo nawet w Ohio. Wyjąłem z paczki ostatniego papierosa i zapaliłem go drżącymi palcami. Podłoga zakołysała się znowu, a światła przygasły tak, że na chwilę zapadła całkowita ciemność.

- Wezwij ich jeszcze raz - warknął Marino. - Powiedz, że jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji i żeby lepiej dotaszczyli tu swoje tyłki zanim zaczniesz strzelaninę.

- Tak jest, sir.

Porucznik odwrócił się. Nie podobała mu się ta sprawa i nie próbował udawać, że jest inaczej. Sięgnął po butelkę bourbona, nalał sobie sporą porcję i wypił duszkiem,

szukając wzrokiem odważnego, który ośmieliłby się wątpić, że to wyłącznie w celach leczniczych. Potem otarł wargi grzbietem dłoni i oświadczył:

- No, dobra. Chcę poznać wszystkie znane sposoby zniszczenia Wielkiego Starucha. Wszystkie legendy, wszystkie bajdy, wszystko.

- Nie mogę ich panu opowiedzieć, poruczniku - pokręcił głową Śpiewająca Skała.

- Dlaczego nie?

- Bo nie ma nic do opowiadania. Nie ma sposobu zniszczenia Wielkiego Starucha. Gdyby był, już setki lat temu unicestwiliby go tamci czarnoksiężnicy, którzy umieli o wiele więcej niż my. Tymczasem zdołali tylko zatrzasnąć bramę, którą docierał do fizycznego świata.

- I twierdzi pan, że ten typ, ten Misquamacus, otwiera ją na nowo? Śpiewająca Skała wzruszył ramionami.

- Czuje pan te drgania? Wie pan, co to jest?

- Trzęsienie ziemi? - podsunął Marino.

- Nie, poruczniku. To nie jest trzęsienie ziemi. To początek akumulacji olbrzymiej ilości energii astralnej. Wyobrażam sobie, że Gwiezdna Bestia wynegocjowała już warunki pomiędzy Misquamacusem a Wielkim Staruchem i teraz szykują przejście, bramę. Taka brama wymaga kolosalnej energii i pozostaje otwarta tylko przez krótką chwilę. Tej samej ilości energii trzeba, by odesłać Wielkiego Starucha tam, skąd przyszedł. Nawet więcej, ponieważ nie będzie chciał wrócić.

- Miła perspektywa - zauważył z sarkazmem Marino.

- Nie możemy tracić nadziei - pocieszył nas Śpiewająca Skała. - Musi być jakiś sposób opanowania sytuacji, nawet jeśli nie zdołamy całkowicie zniszczyć Misquamacusa.

Zgniotłem papierosa. Pewna myśl przyszła mi właśnie do głowy.

- Ta maszyna do pisania, którą cisnąłem w Gwiezdną Bestię - powiedziałem. - Widziałeś ją, Śpiewająca Skało?

- Jasne. Uratowała ci życie.

- Właśnie. Kiedy wybuchła, a właściwie kiedy dotknęła sylwetki Gwiezdnej Bestii, jestem pewien, że coś zobaczyłem. To nie była twarz ani nic materialnego. Raczej jakby sam wyraz twarzy, bez ciała.

Śpiewająca Skała pokiwał głową.

- To, co zdawało ci się, że widzisz, było duchem, manitou maszyny do pisania. W starciu z manitou Gwiazdnej Bestii stał się widzialny, gdy momentalnie zużytkował całą posiadaną energię. Możesz się nim nie przejmować. Gwiazdna Bestia unicestwiła go bez śladu.

Zmarszczyłem brwi.

- Maszyna do pisania ma manitou?

- Naturalnie. Wszystko ma manitou. Pióro, kubek, kartka papieru. We wszystkim jest duch, silniejszy lub słabszy.

- Chyba zbaczamy z tematu - przerwał zirytowany porucznik Marino. - Chcemy się dowiedzieć, jak można się pozbyć tego Wielkiego Starucha.

- Chwileczkę - nie ustępowałem. - To może być ważne. Dlaczego manitou maszyny stał się z Gwiazdną Bestią? O co mogli walczyć?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Śpiewająca Skała. - Duchy walczą między sobą tak samo, jak istoty ludzkie. Na przykład duchy skał walczą z duchami wiatru i drzew. Przypuszczam, że w tym wypadku może chodzić o konflikt pomiędzy pradawną magią i techniką.

- Co masz na myśli? - Jack Hughes pochylił się, by lepiej słyszeć.

- Po prostu Gwiazdna Bestia to bardzo stary manitou, pochodzący z niepamiętnych czasów - wyjaśnił szaman. - Manitou maszyny jest częścią wielkiego manitou ludzkiej techniki. Muszą popaść w konflikt. Świat duchów w zaskakująco dużym stopniu jest odbiciem naszego świata.

- Przypuśćmy, że będziemy mieli techniczne manitou po naszej stronie - powiedziałem po chwili zastanowienia. - Czy nie zachcą nam pomóc? Nie sądzicie, że będą wolały poprzeć raczej nas niż Misquamacusa?

- Chyba tak - przyznał Śpiewająca Skała. - Ale do czego zmierzasz?

- Pomyśl, jeżeli w każdej maszynie, w każdym wytworze ludzkiej techniki jest manitou, to musi istnieć taki, który potrafi nam pomóc. Manitou maszyny do pisania był mały i słaby, ale jeśli znajdziemy innego, wielkiego i potężnego? Czy nie potrafiłby pokonać Wielkiego Starucha?

Porucznik Marino przetarł oczy.

- Dla mnie to za dużo - powiedział zmęczonym głosem. - Gdybym na własne oczy nie widział swoich jedenastu ludzi zabitych i zamrożonych, odprowadziłbym pana prosto do domu wariatów.

- Potrzebujemy maszyny o olbrzymiej mocy - zastanawiał się Jack Hughes. - Czegoś oszałamiającego.

- Hydroelektrownia? - zaproponowałem. Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- Zbyt ryzykowne. Duchy wody poddadzą się rozkazom Wielkiego Starucha i odbiorą wam energię.

- Może samolot? Albo statek?

- Ten sam problem.

Rozważaliśmy to jeszcze przez kilka minut. Podłoga zaczęła kołysać się tak gwałtownie, że pióra i spinacze zjeżdżały z biurka. Światła pociemniały, zgasły i zapaliły się znowu. Podłoga podskoczyła jeszcze raz i jedyna karta, jaką Jack dostał na Św. Walentego przewróciła się i sfrunęła pod krzesło porucznika Marino. Coraz wyraźniej słyszałem monotonne wycie wichru, a powietrze stało się pozornie tak gęste i duszne, jakbyśmy zaraz mieli się wszyscy podusić. Może ogrzewanie nie działało w tym pokoju zbyt dobrze, bo teraz zaczęło się robić nieznośnie gorąco.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Redfern.

- Ciągłe usiłują się włamać, sir - powiedział pełnym napięcia głosem. - Mieliliśmy łączność radiową i mówią, że stale próbują. Porucznik Geoghegan twierdzi, że budynek wydaje się kołysać i że widać jakieś dziwne niebieskie światło w oknach dziewiątego albo dziesiątego piętra. Czy mam powiedzieć ludziom, żeby się zajęli ewakuacją?

- Ewakuacją? - warknął Marino. - Po co?

- Sir, to przecież trzęsienie ziemi, prawda? Na ćwiczeniach uczyli nas, że w takich przypadkach należy ewakuować wysokie budynki.

Marino walnął dłonią w biurko.

- Trzęsienie ziemi? - powiedział z goryczą. - Cholernie bym chciał, żeby to było trzęsienie ziemi. Weź dwóch albo trzech ludzi i zobacz, czy można pomóc temu idiotcie Geogheganowi dostać się do środka. Idźcie schodami i uważajcie na dziesiątym piętrze.

- Tak jest, sir. Jeszcze jedno, sir.

- Słucham, Redfern.

- Detektyw Wisbech kazał przekazać, że przepuścił modus operandi tego mordercy przez Unitraka i jak dotąd nie znaleźli precedensu. Nikt tak nie zabija, sir. Nie przez zamrożenie.

Porucznik Marino westchnął ciężko.

- Dziękuję, Redfern - powiedział, po czym dodał, zwracając się do nas. - Oto macie przykład skuteczności metod policyjnych. Jedenastu ludzi zostaje porąbanych na kawałki i zamrożonych, a my musimy sprawdzić na komputerze, czy ktoś już wcześniej nie biegał po mieście i nie robił takich rzeczy. Co do diabła dzieje się dzisiaj z ludzką pamięcią?

Redfern zasalutował szybko i wyszedł. Podłoga znów drżała i chyba był zadowolony, że posyłają go na parter. Co więcej, wicher wył coraz głośniejsze, a trudno jest wytłumaczyć ludziom, którzy słyszą wicher, że wcale jej nie ma, a wiatr jest wiatrem zła z zaświatów.

- Chwileczkę - rzucił nagle Jack Hughes. - Jak pański detektyw połączył się z komputerem?

- Przez telefon - wyjaśnił Marino. - Unitrak jest dostępny dla całej policji stanu Nowy Jork. Jeśli ktoś potrzebuje informacji o skradzionych samochodach, zaginionych ludziach albo metodach popełniania przestępstw, otrzyma je w ciągu kilku sekund.

- Czy to duży komputer?

- Unitrak? Pewnie. Jeden z największych na wschodnim wybrzeżu. Jack Hughes spojrzał wymownie na Śpiewającą Skałę.

- Chyba znaleźliśmy tego technicznego manitou - oznajmił. - Ten komputer, Unitrak.

- To brzmi rozsądnie - skinął głową Śpiewająca Skała. - Czy ma pan numer telefonu, poruczniku?

- Zaraz, chwileczkę! - porucznik Marino był nieco oszołomiony. - Z tego komputera może korzystać wyłącznie upoważniony personel policji. Aby się do niego dostać potrzebny jest kod.

- Ma pan ten kod?

- Mam, ale...

- Żadnych ale - rzekł Śpiewająca Skała. - Jeśli chce pan pokonać istotę, która zabiła jedenastu pańskich ludzi, to nie ma pan innej możliwości.

- O czym wy mówicie? - zdenerwował się detektyw. - Chcecie mi wmówić, że potraficie wywołać cholernego ducha komputera departamentu policji?

- Czemu nie? - odparł Śpiewająca Skała. - Nie twierdzę, że będzie to łatwe, lecz manitou Unitraka z pewnością jest chrześcijański, bogobojny i oddany sprawie porządku i prawa. W końcu w tym celu zbudowano ten komputer. Manitou maszyny nie może przeciwstawić się podstawowej intencji, z jaką ta maszyna została skonstruowana. Jeśli uda mi się go przywołać, nada się doskonale. Historia się powtórzy.

- Co to znaczy: historia się powtórzy? Śpiewająca Skała potarł dłonią kark. Najwyraźniej był już bardzo zmęczony.

- Ten kontynent i jego indiańskie duchy zostały kiedyś pokonane przez białe manitou prawa i chrześcijaństwa. Sądzę, że może się to zdarzyć po raz drugi.

Porucznik Marino sięgał właśnie po swoją kartę kodową, gdy nagle powietrze jakby zastygło. Spojrzeliśmy na siebie niepewnie. Podłoga przestała się kołysać, za to wibrowała, jakby ktoś wiele piętér pod nami wiercił tunel w betonie. Daleko w dole, na ulicy, rozległy się odgłosy syren i sygnały wozów strażackich. Słyszeliśmy żalony jęk magicznego wichru.

Nagle zgasło światło.

- Nie ruszać się! Niech nikt się nie rusza, bo będę strzelał.

Zamarliśmy niby grupa kamiennych figur, nasłuchując i zastanawiając się, czy już jesteśmy atakowani. Czułem krople potu, spływające mi po policzku i szyi, aż na kołnierzyk. Pomieszczenia osiemnastego piętra stały się duszne i bezwietrzne. Najwyraźniej klimatyzacja także przestała działać.

Najpierw je usłyszałem. Biegnące, pędzące po ścianach jak upiorna rzeka. Dostrzegłem jak porucznik Marino podnosi swój pistolet, lecz nie strzela. Zmrozeni lękiem wpatrywaliśmy się w półmrok gabinetu. I wtedy je zobaczyliśmy. Przypominały widmowe szczury... całe potoki biegnących widmowych szczurów,

przelewających się po wszystkich ścianach. Pojawiały się znikąd i znikały w podłodze, jakby była zrobiona z mgły. Musiały ich być miliony, szeleszczących, drapiących ze wszystkich stron - ohydna fala kosmatych ciał.

- Co to jest? - spytał chrapliwie porucznik Marino. - Czym one są?

- Dokładnie tym, czym się wydają - odparł Śpiewająca Skała. - To towarzysze Wielkiego Starucha. W spirytystycznym sensie on jest szkodliwy, a to są szkodniki. Wygląda na to, że Misquamacus używa całego budynku szpitala jako bramy dla Wielkiego Starucha. Dlatego tak przewalają się po ścianach. Przypuszczam, że zbierają się na dziesiątym piętrze. Co potem... któż może wiedzieć.

Porucznik Marino nie powiedział ani słowa. Podał tylko kartę kodową komputera Śpiewającej Skale i wskazał palcem wybity na niej numer. Wyglądał na wstrząśniętego i oszołomionego, jak zresztą my wszyscy. Nawet dziennikarze i reporterzy z telewizji milczeli zaleknieni. Patrzyliśmy na siebie przerażonymi oczyma ludzi uwięzionych w tonącej łodzi podwodnej.

Śpiewająca Skała przeszedł do pierwszego z brzegu pustego pokoju i znalazł telefon. Stałem przy nim gdy wybierał numer, słyszałem buczenie sygnału i trzask automatycznej sekretarki. Patrząc uważnie na kartę porucznika Marino szaman odczytał serię cyfr i czekał, aż połączą go z Unitrakiem.

- Jak chcesz to zrobić? - spytałem. - Jak powiesz komputerowi, że potrzebujesz pomocy jego manitou? Indianin zapalił małe cygaro i dmuchnął dymem.

- Przypuszczam, że jest to kwestia użycia właściwego języka - powiedział. - A także przekonania operatorów, że nie jestem wariatem.

W słuchawce trzasnęło jeszcze raz i odezwał się rzeczowy damski głos.

- Unitrak. O co chodzi? Śpiewająca Skała odchrząknął.

- Dzwonię z upoważnienia porucznika Marino, Departament Policji, Nowy Jork. Porucznik Marino chciałby się dowiedzieć, czy Unitrak posiada duchową egzystencję.

Przez chwilę panowała cisza. Potem głos powiedział:

- Co? Proszę powtórzyć.

- Porucznik Marino chciałby się dowiedzieć, czy Unitrak posiada duchową egzystencję. Znowu moment ciszy.

- Zaraz... co to za dowcipy?



- Proszę... niech pani tylko przekaże pytanie. Usłyszeliśmy westchnienie.

- Unitrak nie jest zaprogramowany do udzielania odpowiedzi na takie pytania. Unitrak jest komputerem roboczym, a nie jedną z tych waszych uniwersyteckich zabawek do układania wierszy. Czy to już wszystko?

- Proszę zaczekać - powiedział błagalnym tonem Śpiewająca Skała. - Proszę przekazać Unitrakowi jedno bardzo ważne pytanie. Proszę spytać, czy ma jakieś dane o Wielkim Staruchu.

- Wielkim kim?

- Wielkim Staruchu. To... ktoś w rodzaju przywódcy przestępczego gangu.

- Która sekcja? Oszustwa, zabójstwa, podpalenia... co?

- Zabójstwa - odparł Śpiewająca Skała po chwili namysłu.

Czekaliśmy chwilę.

- "Wielki" jak Wielki Piątek?

- Zgadza się.

- Dobrze. Proszę czekać.

Słyszeliśmy dalekie buczenia i trzaski, gdy wybijano na kartach pytanie Śpiewającej Skały. Indianin wiercił się niespokojnie z cygarem w ręku. Straszny jęk widmowego wiatru nie milkł ani na chwilę. Podłoga znów zadygotała.

- Nie wierzę, żeby to się udało - szepnął Śpiewająca Skała zakrywając dłonią mikrofon. - Już wkrótce Wielki Staruch przejdzie przez bramę.

- Czy jest jeszcze coś, co można by zrobić? - syknąłem. - Jakiś inny sposób powstrzymania go?

- Musi być inny sposób. W końcu dawni czarnoksiężnicy zdołali zamknąć Wielkiego Starucha w otchłań innego świata. Lecz nawet gdybym wiedział jak, nie sądzę, bym potrafił tego dokonać.

Czekaliśmy w milczeniu na odpowiedź Unitraka, gdy nagle poczułem jakby nudności. Z początku sądziłem, że to od kołysania i drgań podłogi, lecz po chwili zdałem sobie sprawę, że przyczyną jest zapach. Przenikliwy, ohydny, mdlący zapach, przywodzący mi na myśl królika, którego kiedyś kupiłem i który okazał się zepsuty. Pociągnąłem nosem, skrzywiłem się i spojrzałem pytająco na Śpiewającą Skałę. Nadchodzi - oznajmił, na pozór bez emocji. - Wielki Staruch nadchodzi.

Usłyszałem na zewnątrz jakieś krzyki, zostawiłem go więc ze sLUCHAwką w ręku i wyszedłem sprawdzić, co się dzieje. Grupa lekarzy i pielęgniarek zebrała się wokół kamerzysty z CBS. Przecisnąłem się do Jacka Hughesa. Wyglądał źle. Był blady i ręka wyraźnie mu dokuczała.

- To ten reporter - powiedział. - Filmował właśnie i nagle upadł. Trząśł się, jakby go prąd poraził, ale to chyba nie to.

Przepychając się przez tłumek dotarłem do nieprzytomnego kamerzysty. Był młody, jasnowłosy, ubrany w dzinsy i czerwoną koszulkę. Oczy miał zamknięte, a twarz zmienioną i bladą. Dolna warga drżała mu i wykrzywiała się w dziwnym grymasie. Jeden z internistów przygotowywał właśnie strzykawkę ze środkiem uspokajającym.

- Co się stało? - spytałem. - Miał jakiś atak?

Internista starannie wbił w ramię igłę i przycisnął tłoczek. Po chwili grymas twarzy zniknął, a drgawki niemal ustały, ograniczając się do rzadkich, pojedynczych skurczów mięśni.

- Nie wiem, co mu się stało - odparł lekarz. Był młody, miał starannie uczesane włosy i okrągłą, świeżo wygoloną twarz.

- Wygląda mi to na ostry szok psychiczny. Prawdopodobnie opóźniona reakcja na wszystko, co się tu dzieje.

- Zabierzmy go gdzieś, gdzie będzie go można wygodnie ułożyć - odezwał się doktor Winsome.

Trzech czy czterech ludzi pobiegło po wózek, a reszta, zniechęcona i przestraszona, rozeszła się by oczekiwać na kolejnego ducha, który da nam odczuć swoją obecność. Usłyszałem porucznika Marino, jak mówi coś rozdrażniony do telefonu. Rozmawiał z grupą idącą nam na pomoc. Najwyraźniej wciąż nie mogli dostać się do budynku. Coraz więcej syren odzywało się z ulicy, a po oknach przesuwwały się plamy światła reflektorów. Za godzinę, może dwie, zaczną świtać, jeśli dożyjemy, by to zobaczyć. Ohydny smród Wielkiego Starucha wypełniał powietrze. Dwie czy trzy osoby wymiotowały. Temperatura zmieniała się od nieznośnego gorąca do nieprzyjemnego chłodu, jak gdyby cały budynek zaczął gwałtownie gorączkować.

Wróciłem do Śpiewającej Skały. Notował właśnie jakieś liczby na skrawku gazety.

Zdawał się ożywiony i podniecony.

- Myślisz, że coś z tego będzie? - spytałem, gdy skończył pisać.

Śpiewająca Skała uważnie przyjrzał się liczbom.

- Nie jestem pewien. Coś jednak mamy. Operator komputera powiedział, że nie mają danych o nikim, kto nazywa się Wielki Staruch, a sprawdził wszystkie znane przestępcze pseudonimy do dziesięciu lat wstecz. Unitrak podał jednak wiadomość i ciąg liczb.

- Jaką wiadomość?

- Cóż... operator przetłumaczył mi ją. Brzmi: Wydruk Procedury Wywołania. A potem liczby.

- Czy to coś pomoże? - pytałem, wycierając czoło brudną chusteczką. - Czy te liczby coś oznaczają?

- Chyba tak. W każdym razie Unitrak odpowiedział. A skoro tak... może zrozumiał, czego oczekujemy.

- Chcesz powiedzieć, że te liczby - wskazałem palcem - informują, jak wezwać jego manitou?

- Możliwe. Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy. Usiadłem na krześle. Miałem dość.

- Śpiewająca Skała, wszystko to wydaje mi się trochę za bardzo naciągane. Wiem, co robiłem i wiem, co widziałem, ale nie wmawiaj mi, że zbudowany z funduszy publicznych komputer powie nam, jak wywołać swojego własnego ducha. To po prostu szaleństwo.

Śpiewająca Skała pokiwał głową.

- Rozumiem cię, Harry i mam te same wątpliwości. Mogę tylko powiedzieć, że tu oto mamy wiadomość od Unitraka, i że te liczby zgadzają się z odpowiednimi rytuałami stosowanymi dla przywoływania manitou obiektów stworzonych przez człowieka. Prawdę mówiąc, są to jedne z najprostszych rytuałów. Nauczył mnie ich szaman Sarara z plemienia Paiute, kiedy miałem zaledwie dwanaście lat. Uczyłem się wywoływać manitou butów, rękawic, książek i wszelkich innych przedmiotów. Potrafiłem sprawić, by w książce bez dotykania odwracały się kartki.

- Ale książka jest książką, Śpiewająca Skała, a tu mamy komputer za parę

milionów. Jest potężny. Może nawet okazać się groźny.

Szaman pociągnął nosem. Smród Wielkiego Starucha przyprawiał o mdłości.

- Nie istnieje nic groźniejszego niż to, czego wkrótce doświadczymy - stwierdził. - Jeśli już mamy zginąć, to przynajmniej śmiercią bohaterów.

- Śmierć mnie nie interesuje. Nawet bohaterska. Śpiewająca Skała położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie myślałeś tak, kiedy sam stanąłeś przeciw Gwiezdnej Bestii.

- Nie. Ale teraz myślę. Dwa razy w ciągu jednej nocy to za wiele.

- Co to był za hałas? - spytał szaman zmieniając temat. - Czy ktoś został ranny? Wyjąłem papierosa z leżącej na biurku paczki.

- Raczej nie. To ten kamerzysta z CBS. Łaził dookoła i filmował, aż nagle upadł. Chyba ma epilepsję albo coś w tym rodzaju.

- Filmował? - Śpiewająca Skała zmarszczył czoło.

- Zgadza się. Myślę, że chciał nagrać wszystkich, którzy się tu zebrali. Padł, jakby dostał po głowie. Nic więcej nie wiem, nie było mnie przy tym.

Szaman zamyślił się na chwilę. Potem szybkim krokiem wyszedł na korytarz i zbliżył się do reporterów CBS. Było ich pięciu czy sześciu. Stali niespokojni, palili papierosy i zastanawiali się co zrobić dalej.

- Ten wasz kolega - zagadnął Śpiewająca Skała. - Nic mu się nie stało?

- Chyba nie - odpowiedział jeden z dziennikarzy, niewysoki, krępy mężczyzna w śliwkowej koszuli i okularach z grubymi szklami. - Zajęli się nim lekarze. Mówią, że wyjdzie z tego. Powiedz pan, co tu się właściwie dzieje? Czy to prawda z tymi złymi duchami?

Śpiewająca Skała zignorował pytanie.

- Czy wasz kolega miewał wcześniej takie ataki? - indagował dalej.

- Nigdy nie słyszałem - wolno pokręcił głową reporter. - O ile wiem, dziś był pierwszy raz. Nigdy nie mówił, że ma padaczkę ani nic takiego.

Indianin sposepniał.

- Czy ktoś jeszcze używał wtedy kamery? - zapytał.

- Nie. Mamy tu tylko jedną. Nie wie pan, co to za ohydny smród?

- Mogę? - zapytał Śpiewająca Skała wyjmując z torby przenośną kamerę telewizyjną. Była wgnieciona w miejscu, gdzie upuścił ją padający reporter, ale działała. Któryś z techników, ponury mężczyzna w dżinsowych spodniach i kurtce, pokazał mu, jak umocować ją na ramieniu i jak patrzeć przez wizjer.

Podłoga zadrżała, jak pies osiągnący orgazm lub dygocący ze strachu. Światła znowu przygasły, a posepny jęk wichru rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Lekarze, dziennikarze i policjanci tłoczący się w pokoju krzyczeli coś w panice. Nie śmieliśmy nawet myśleć, co może się dziać w innych oddziałach i gabinetach. Zresztą, w niczym nie mogliśmy im pomóc. Porucznik Marino wciąż siedział przy telefonie czekając na wiadomość od grupy posiłkowej. Stracił jednak resztki nadziei. Odpalał jednego papierosa od drugiego, a jego twarz miała twarde, ponure wyraz.

Gdy podłoga uspokoiła się, Śpiewająca Skała włączył kamerę, przystawił oko do czarnej gumy wizjera i zaczął systematycznie oglądać pokój. Zajrzał wszędzie w każdy kąt i za każde drzwi. Reporterzy z CBS przyglądali mu się z niepokojem, gdy chodził dookoła. Widoczne napięcie jego szczupłego ciała zdradzało, jak bardzo jest podniecony.

- Co ten facet robi, do cholery? - odezwał się jeden z techników.

- Psst - uciszył go kolega. - Może próbuje wykryć skąd tak śmierdzi.

Po kilku minutach poszukiwań Śpiewająca Skała odłożył kamerę, skinął na mnie i zaczął szeptać cicho i szybko, by nikt nie mógł go usłyszeć.

- Chyba wiem, co się stało. Przeszły tędy demony, które zawsze towarzyszą Wielkiemu Staruchowi. Teraz odeszły, zapewne na dziesiąte piętro, by zebrać się wokół Misquamacusa. Kamerzysta musiał je widzieć.

- Widział je? Jak?

- Jest taka stara historia o Indianach wierzących, że nie mogą się fotografować, ponieważ aparat ukradnie im dusze. W pewnym sensie jest to prawdą. Obiektyw, choć nigdy nie zdoła skraść ludzkiego manitou, może go jednak dostrzec. Dlatego jest tak wiele zdjęć, na których duchy, niewidoczne w chwili fotografowania, pojawiają się w niewyjaśniony sposób, gdy zrobi się odbitki.

Chrząknąłem.

- Chcesz powiedzieć, że kamerzysta zobaczył te duchy przez wizjer? I dlatego

dostał ataku?

- Tak myślę. Najlepiej chodźmy z nim porozmawiać, o ile jest przytomny. Gdyby nam powiedział, jakie zobaczył demony, moglibyśmy przewidzieć, kiedy pojawi się Wielki Staruch.

Zawołaliśmy Jacka Hughesa i wyjaśniliśmy, co się dzieje. Nic na to nie powiedział, ale zgodził się gdy Śpiewająca Skała spytał, czy można porozmawiać z kamerzystą. Zamienił kilka słów z doktorem Winsome, po czym zaprowadził nas do gabinetu zabiegowego.

- Bądźcie ostrożni - odezwał się któryś z internistów. -- Ten człowiek przeżył silny wstrząs i nie wytrzyma długiej rozmowy.

Śpiewająca Skała nie odpowiedział. Pochylił się nad bladym jak ściana kamerzystą i szepnął:

- Słyszysz mnie? Czy słyszysz, co mówię? Chory skulił się tylko.

- Czy słyszysz, co mówię? - powtórzył Śpiewająca Skała. - Czy wiesz, gdzie jesteś? Nie było żadnej reakcji. Lekarze wzruszyli ramionami, a któryś z nich powiedział:

- Jest w stanie głębokiego szoku. Nie wiem, co mu się przydarzyło, ale jego świadomość jak gdyby cofnęła się w głąb i nie reaguje na bodźce. Typowy objaw w ostrych przypadkach. Dajcie mu trochę czasu.

- Nie mamy czasu - mruknął pod nosem Śpiewająca Skała. Wyjął z kieszeni marynarki naszyjnik z dziwnie malowanych paciorków i delikatnie położył go na głowie kamerzysty. Jakiś lekarz próbował protestować, ale umilkł uciszony przez Jacka.

Śpiewająca Skała zamknął oczy i zaczął recytować zaklęcie, chyba w języku Siuksów. Tak mi się przynajmniej wydawało. Nie jestem lingwistą i jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógł mówić po francusku.

Z początku myślałem, że zaklęcie nie podziałało. Kamerzysta leżał blady i tylko od czasu do czasu zaciskał palce i bezgłośnie poruszał wargami. Kiedy jednak Śpiewająca Skała wykreślił w powietrzu nad jego głową magiczną figurę, chory otworzył nagle oczy. Były szkliste i nieprzytomne, lecz otwarte.

- Teraz powiedz, przyjacielu - przemówił łagodnie Indianin - co zobaczyłeś w swojej kamerze.

Reporter zadrzał, a w kąciku ust pojawiły mu się bąbelki śliny. Wyglądał jak człowiek w ostatnim stadium syfilisu albo wścieklizny. W jego umyśle odcisnęło się coś tak potwornego, że nie potrafił tego wymazać z pamięci. Nie potrafił nawet umrzeć.

- To... to... - jąkał się.

- Mów, przyjacielu - powtórzył Śpiewająca Skała. - Rozkazuje ci mówić. Nie stanie ci się krzywda. Gitche Manitou będzie cię chronił.

Reporter zamknął oczy. Przez chwilę myślałem, że znowu stracił przytomność, lecz po kilku sekundach zaczął mówić, wyrzucając szybki, niezrozumiały niemal, potok słów.

- To pływało, płynęło, przepłynęło przez pokój i w poprzek pokoju jednocześnie i złapałem to tylko na moment, sam brzeg, jak ośmiornica, ośmiornica z falującymi mackami, falowała, ale to było wielkie, nie wiem jak wielkie, tak się przestraszyłem, że coś jest w mojej głowie, jakby ktoś ukradł mi mózg. Tylko krótkie ujęcie, tylko w przelocie.

Śpiewająca Skała słuchał jeszcze przez chwilę, lecz kamerzysta nie powiedział nic więcej. Potem ostrożnie zdjął mu z głowy paciorki.

- No tak - stwierdził. - To chyba to.

- Nic mu nie jest? - spytałem. - To znaczy, on chyba nie...

- Nie - potwierdził szaman. - Nie umrze. Nigdy już nie będzie taki sam jak przedtem, ale nie umrze.

- A ta ośmiornica? Wiesz, co to było?

- Tak - rzekł Śpiewająca Skała. - Ten człowiek został wyróżniony możliwością zobaczenia czegoś, co przed wiekami zostało wygnane z ziemi. Nie widział tego w całości i pewnie tak dla niego lepiej. Wielki Staruch jest znowu między nami.

## ROZDZIAŁ 10

### KU ŚWIATŁU

Wyszedłem z gabinetu zabiegowego na korytarz, podążając za Śpiewającą Skałą. W jego czarnych oczach znów błyszczał początkowy zapał, który przygasał wolno w ciągu tej długiej, męczącej nocy.

- To jest to, Harry - oznajmił. - Idziesz mi pomóc?

- To jest co? Co się dzieje, do diabła? Śpiewająca Skała oblizał wargi. Był rozgorączkowany i z trudem chwycił oddech.

- Wielki Starach przybył. Zmierzyć się z nim... czy rozumiesz, co to oznacza dla szamana? To tak, jakby chrześcijanin zyskał szansę walki z Szatanem w jego własnej postaci.

- Śpiewająca Skała...

- Musimy to zrobić. Nie zostało nam wiele czasu. Musimy tam zejść i walczyć.

- Gdzie zejść? Chcesz powiedzieć, że na dziesiąte piętro?

Śpiewająca Skała urósł, niby napompowany magicznym wiatrem. Był cały spięty i pełen lęku, a jednocześnie zdecydowany zaryzykować życie w walce z największym złem mitycznej Ameryki. Gdy milczałem odwrócił się po prostu i ruszył w stronę schodów tak szybko, że z trudem go dogoniłem.

Obejrzał się, gdy złapałem go za rękaw.

- Śpiewająca Skała - przekonywałem. - Na litość boską, tam zginęło jedenastu uzbrojonych ludzi. Sam widziałeś, co się z nimi stało.

- Już za późno - odparł Indianin. - Wielki Staruch tu jest. To co nas czeka będzie o wiele gorsze.

- Śpiewająca Skała...

Wyrwał mi rękę i otworzył drzwi na ciemną klatkę schodową.

- Idziesz ze mną? - spytał. - Czy zostajesz tutaj?

Słyszałem straszliwe jęki bezwietrznego huraganu, odbijające się echem od ścian i



włosy jeżyły mi się na karku. Ohydny fetor Wielkiego Starucha wisiał w powietrzu. Z dołu dobiegały odgłosy przywodzące na myśl ryciny Doreego przedstawiające piekło, demony, bestie i bezimienne stwory krążące wśród nocy - stwory, które wpędzały człowieka w szaleństwo, stwory skaczące, pełzające i wijące się w mrokach przerażonej wyobraźni.

Przełknąłem ślinę. Nieważne, jak bardzo się bałem, nie mogłem puścić go tam samego.

- Idę - powiedziałem przeciskając się obok niego na betonowy podest. Czułem, że za chwilę zabraknie mi odwagi.

Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi ogarnął nas duszny mrok. Schodziliśmy ostrożnie, wymacując każdy stopień i trzymając się poręczy. Każdy cień wywoływał dreszcz strachu, od każdego szelestu serce skakało do gardła. Mógłbym przysiąc, że słyszę kroki pod nami, tuż poza polem widzenia, lecz nie było czasu by zatrzymać się i nasłuchiwać.

- Śpiewająca Skała - szepnąłem. - Co chcesz zrobić?

- Próbuję coś wymyślić - odparł cicho Indianin. - Trudno mi ocenić sytuację, póki sam wszystkiego nie zobaczę. Mam tylko nadzieję, że potrafię w odpowiedni sposób i we właściwej chwili przywołać manitou Unitraka. I jeszcze, że nie jest on nastawiony do nas tak wrogo jak do Wielkiego Starucha. Zawsze należy się z tym liczyć.

Odchrząknąłem.

- A gdyby się poddać? Mogłoby to ocalić wielu ludzi. Jeśli będziemy walczyć, Bóg jeden wie, ilu z nich ucierpi.

Śpiewająca Skała pokręcił głową.

- To nie jest walka w takim sensie, do jakiego jesteś przyzwyczajony. To akt zemsty indiańskiego czarownika w imię wszystkich cierpień, zdrad i rzezi, jakich doznał jego lud z rąk białego człowieka. Nie możesz poddać się komuś, kto szuka zemsty. Misquamacus ustąpi dopiero wtedy, gdy wszyscy zginiemy. A co do Wielkiego Starucha...

- Co z Wielkim Staruchem?

- Nie wiem, jaką umowę zawarł z nim Misquamacus - wzruszył ramionami Śpiewająca Skała. - Ale Wielki Staruch znany jest w kulturze Indian Pueblo pod

imieniem Wielkiego Żarłoka. Szczep Paiute nazywa go inaczej: Ten-Który- Pożera-w-Otchłani. Sam możesz wyciągnąć wnioski.

Schodziliśmy w ciemności wciąż niżej i niżej. Żałosne wycie i jęki wichru stawały się coraz głośniejsze i bardziej przygnębiające. Zacząłem odczuwać pulsujący ból głowy i z trudem potrafiłem skupić wzrok. Skóra mnie swędziała, jakby całe ubranie było pełne pcheł. Gdybym mógł teraz wybierać, uciekłbym i pozwolił Wielkiemu Staruchowi, Temu-Który- Pożera-w-Otchłani, na wszystko co najgorsze.

- Zbliżamy się - zauważył Śpiewająca Skała. - Dlatego tak źle się czujesz. Masz, załóż te paciorki. Nie jest to wiele, ale powinno ochronić cię od prostszych sztuczek i iluzji.

Ogłuszeni przez ryk wichury dotarliśmy do dziesiątego piętra. Śpiewająca Skała wyjął kawałek papieru, na którym zapisał podane przez Unitraka liczby i przyjrzał się im dokładnie. Wystawił kciuk do góry, po czym delikatnie pchnął drzwi wiodące w korytarze, gdzie czaił się Misquamacus i gdzie materializował się Wielki Staruch, ten straszliwy, wrogi manitou z minionych wieków.

Smród wręcz uniemożliwiał oddychanie. Korytarze były puste, lecz wszędzie słyszało się przenikliwe drapanie, którego nie zagłuszał nawet jęk wichru. Zdawało się, że dookoła roją się szczury, ściągane przez smród zgnilizny roztaczany przez Wielkiego Starucha. Śpiewająca Skała obejrzał się, jakby chciał się upewnić, że wciąż jestem przy nim, po czym ruszył w stronę pokoju Karen Tandy - miejsca, gdzie po raz pierwszy pojawił się Misquamacus.

Ryk astralnego huraganu Gwiazdnej Bestii męczył i irytował. Narastał w miarę zbliżania się do celu. Czułem się tak, jakby ktoś szarpał mi nerwy zardzewiałą piłą. Cały czas słyszeliśmy szcurze drapanie, jak gdyby towarzyszyła nam upiorna eskorta niewidzialnych gryzoni. Raz miałem wrażenie, że jeden z nich wskoczył mi na plecy i długo, z obrzydzeniem otrzepywałem koszulę.

Śpiewająca Skała rozpoczął swą inwokację. Przywoływał duchy narodu Siuksów, by chroniły nas przed pochłaniającym wszystko złem Wielkiego Starucha, wzywał manitou powietrza, skał i gleby, demony chorób i zarazy, by poraziły Misquamacusa. Z trudem rozróżniłem jego głos wśród wycia nieziemskiego wiatru. Wyczułem jednak, że szcurza eskorta zaczyna nas traktować z pewnym niechętnym szacunkiem.

Skrećiliśmy za róg i nagle ciemność przeszły rozbłyśki jaskrawego światła, pojawiające się w powietrzu wokół nas. Śpiewająca Skała wzniosł dłonie do góry i światło skupiło się na nich, by spłynąć na betonową podłogę. To była błyskawica-która-widzi, pierwszy znak, że Misquamacus wie o naszej obecności.

Dotarliśmy do odgałęzienia, prowadzącego bezpośrednio do pokoju Karen Tandy. Błyskawica-która-widzi przepędziła większość widmowych szczurów, lecz wycie wichury nie ustawało. Pojawił się także rzeczywisty wiatr, wiejący nam mocno prosto w twarz. Śpiewająca Skała skinął ręką i pochyleni do przodu szliśmy dalej, coraz bliżsi nieuniknionego starcia z Misquamacusem i Wielkim Staruchem. Wycie i jęki huraganu uniemożliwiały rozmowę. Przez drzwi pokoju Karen dostrzegliśmy rozbłyśki astralnego światła - zimną energię, tworzącą bramę dla najpotężniejszej i najstraszniejszej z legendarnych istot.

Wreszcie - zmagając się z huraganem - dotarliśmy do samych drzwi. Śpiewająca Skała zajrzał pierwszy i natychmiast cofnął się ze zgrozą. Zasłonił twarz rękami drżąc, jakby poraził go prąd. Zajrzałem także. Przeważenie i lęk sparaliżowały mnie do tego stopnia, iż myślałem, że nigdy nie zdołam ruszyć się spod tych drzwi.

Zło wypełniało pokój - cuchnący dym sączył się bezustannie z dwóch ogni, które Misquamacus rozpałił w metalowych miskach, po obu stronach astralnej bramy. Na podłodze wyrysowany był krąg najdziwaczniejszych i najbardziej złowieszczych postaci, jakie w życiu widziałem, wszystkie wykreślone starannie i pomalowane czymś, co musiało być krwią policjantów porucznika Marino. Były tam niezwykle kozły, jakieś okropne stwory podobne do olbrzymich robaków i nagie kobiety rodzące odrażające bestie. Obok kręgu przysiadł zdeformowany i kaleki, słabo widoczny w kłębach dymu Misquamacus. Lecz nie on budził największą grozę, ale to, co dostrzegaliśmy niewyraźnie wśród najgęstszych oparów - wrzący wir złowrogiego cienia rozrastający się w mroku, podobny do ośmiornicy albo kłębowiska węży, jaszczurek i potworów.

Najstraszniejsze było to, że rozpoznałem Wielkiego Starucha - zrozumiałem, że zawsze był blisko mnie. Był lękiem przed dziwnymi kształtami dostrzeganymi w zmarszczkach zasłon i tapet, grozą twarzy pojawiających się w słojach drewna szaf, strachem czającym się na ciemnych schodach i w ledwie widocznych odbiciach w

lustrach i okiennych szybach. Tutaj, w wijącym się zmiennym kształcie odkryłem, skąd pochodzą moje z dawna zapomniane lęki i niepokoje. Za każdym razem, gdy słyszysz nocą w sypialni bezcielesny oddech, za każdym razem, gdy rzucone niedbale na oparcie krzesła ubranie zdaje się zmieniać w posępną, mnisią postać, kiedy wydaje ci się, że słyszysz kroki za sobą na schodach - to wroga obecność Wielkiego Starucha, atakującego z nienawiścią zamki i pieczęcie, które nie wypuszczają go z tamtego świata. Misquamacus wznosił ramiona i zawył tryumfalnie. Oczy, zwierzęce i szatańskie, płonęły złowrogim blaskiem, a ciało lśniło od potu. Ręce umazał po łokcie we krwi, gdy wyrywał kości z trupów policjantów, by kreślić nimi magiczne znaki. Za nim, niewidoczna niemal wśród dymu, wiła się i skręcała ohydna, przerastająca postać Wielkiego Starucha.

- Już, Harry! - krzyknął Śpiewająca Skala. - Pomóż mi teraz! Już! Teraz!

Zakrył twarz rękami i zaczął recytować liczby i słowa, niekończącą się inwokacją do jego własnych duchów i do wielkiego ducha techniki białych. Objąłem go mocno i skoncentrowałem wszystkie siły swego wylęknionego umysłu na jednym tylko wezwaniu: Unitraku... Unitraku... Unitraku. Ryk wichru sprawiał, że nie słyszałem co mówi, lecz całym sobą starałem się go podtrzymać, osłonić, gdy on próbował zwyciężyć Misquamacusa i mglistą postać Tego-Który-Požera -w -Otchłani.

Była taka chwila, gdy wydawało się, że odniesie sukces. Z oszałamiającą prędkością wyrzucał słowa, śpiewał i pochylał się, szybciej i szybciej, zwiększając moc wezwania dla technicznego manitou Unitraka. Lecz przez cały czas Misquamacus także recytował zaklęcia i wskazywał nas ręką, jakby chciał zachęcić Wielkiego Starucha, by nas pochłoniął. Dostrzegłem ruch wśród kłębow dymu, jakieś postacie, przerażające ponad ludzkie wyobrażenie - kształty bardziej upiorne i straszniejsze niż widywałem w najgorszych sennych koszmarach. Z mrocznej chmury Wielkiego Starucha zaczęły się wysuwać mgliste macki. Wiedziałem, że pozostały nam już tylko sekundy. Napięcie sparaliżowało mi mięśnie i niemal odgryzłem sobie język.

I wtedy Śpiewająca Skala osłabł nagle i osunął się na kolana. Przyklęknąłem obok, odrzuciłem z oczu zwichrzzone huraganem włosy i wrzasnąłem, by walczył dalej.

Spojrzał na mnie. Jego twarz wyrażała jedynie strach.

- Nie mogę! - krzyknął. - Nie mogę przywołać Unitraka! Nie potrafię! To manitou

białych! Nie posłucha mnie! Nie przyjdzie!

Nie mogłem uwierzyć. Spojrzałem przez ramię na Mis-quamacusa, obiema rękami wskazującego w naszą stronę, na ciemne węże Wielkiego Starucha rozwijające się nad głową szamana. Wiedziałem, że to już koniec. Wyrwałem z dłoni Śpiewającej Skąły pomięty świstek papieru i odczytałem go w widmowym świetle astralnej bramy.

- Ocal mnie, Unitraku! - wykrzyknąłem. - Ocal mnie! -- i raz po raz wykrzykiwałem liczby. - UNITRAAAKU! NA MIŁOŚĆ BOSKĄ, UNIIITRAAAKUUU!

Śpiewająca Skąła jęknął przerażony kuląc się w moich ramionach. Misquamacus, z twarzą wykrzywioną drapieżnym uśmiechem, płynął ku mnie w powietrzu wyciągając ramiona i podkurczając swe zdeformowane nogi, a wokół niego wyrastały zmienne, straszne kształty Wielkiego Starucha.

Milczałem przez chwilę. Potem - ponieważ niczego innego nie umiałem wymyślić - uniosłem ramiona tak, jak to robił Misquamacus i wypowiedziałem to, co uznałem za zaklęcie.

- Unitraku, wyślij swego manitou by unicestwił tego czarnoksiężnika. Unitraku, strzeż mnie od ran. Unitraku, zatrzaś-nij bramę do wielkiej otchłani tamtego świata i odpędź tego straszliwego ducha.

Misquamacus podpłynął bliżej i w odpowiedzi zaczął recytować inwokację do Wielkiego Starucha. Jego słowa, ciężkie i mroczne, przebijały się przez wycie huraganu niczym drapieżne bestie.

- Unitraku! - ryknąłem. - Przybądź, Unitraku! Przybywaj!

Misquamacus był już niemal przy mnie. Jego diabelskie oczy lśniły niesamowitym blaskiem w ciemnej, błyszczącej od potu twarzy. Wykrzywił wargi w grymasie bólu, wysiłku i nienawiści. Kreślił w powietrzu kręgi i niewidzialne diagramy, ściągając złowrogi wir Wielkiego Starucha, przygotowując swymi czarami najstraszniejszą śmierć, jaką zdołał dla mnie wymyślić.

- Unitraku - szepnąłem niesłyszalnie wśród ryku wichury. - O Boże, Unitraku.

To nastąpiło tak nagle i gwałtownie, że z początku nie zrozumiałem. Myślałem, że Misquamacus poraził mnie błyskawicą-która-widzi, albo że cały budynek rozpada się na kawałki. To był ogłuszający hałas, głośniejszy nawet od wycia huraganu,

elektryczny trzask napięcia milionów woltów, ryk jakby tysiąca jednoczesnych zwarć. Jaskrawa procesja rozżarzonych siatek przesłoniła pokój, oślepiające symetrią rzędy błyszczących obwodów, po których pełzały białe i błękitne iskry.

Misquamacus runął na ziemię, szerniały, zwęglony, zalany krwią. Spadał z zamkniętymi oczami jak bezwładny kawał mięsa, przyciskając ręce do ciała.

Pulsujące blaskiem siatki utworzyły mur między mną a ciemną sylwetką Wielkiego Starucha. Widziałem, jak demoniczny stwór kurczy się i skręca - jakby zdziwiony i zalękniony. Napięcie sieci było tak wielkie, że mogłem patrzeć tylko przez półprzymknięte oczy i z trudem dostrzegałem drżący cień demona.

Nie miałem żadnych wątpliwości, czym jest ta oślepiająca zjawka. To był manitou, duch, wewnętrzna istota komputera Unitrak. Moje zaklęcie - inwokacja białego człowieka - ściągnęła odwet ducha białych ludzi.

Wielki Staruch kipiał, roztaczając potężne kręgi ciemności. Wydał z siebie jęk cierpienia, który przerodził się we wściekły ryk, wznoszący się aż do bólu, wchłaniający mnie swą ogłuszającą, wibrującą głębią, tunelem rozwrzeszczanej furii, od której dygotały ściany i trzęsła się podłoga.

Lśniaca siatka manitou Unitraka przygasła i zamigotała, lecz tylko po to, by po chwili rozbłysnąć jeszcze mocniej - niszczący wybuch technicznej potęgi, przyćmiewający wszelkie wizje i wszelkie dźwięki. Czuję się tak, jakbym runął w kocioł płynnej stali, tonąc w blasku i grzęznąc w szumie.

Słyszałem tylko jedno - głos, którego nie zapomnę do końca życia, głos kogoś krzyczącego w straszliwym cierpieniu, wciąż i wciąż, aż do granic mej wytrzymałości. To był głos wyrywanych nerwów, rozszczepianych zmysłów, torturowanej duszy. To był Wielki Staruch. Jego przyczółek w materialnym świecie wypalała bezgraniczna, niepojęta dla niego moc Unitraka. Święty płomień współczesnej techniki spychał go z powrotem ku mglistym, ponurym legowiskom pradawnych płaszczyzn astralnych.

Rozległ się szum, chlupanie, bulgot i brama, którą wyrzynał na podłodze Misquamacus zaczęła zbiegać się do środka, wsysając mglistą postać Wielkiego Starucha tak, jak wentylator wciąga dym. Moc rozgorzała raz jeszcze w straszliwym rozbłysku i zapanowała cisza.

Przez pięć, może dziesięć minut leżałem niezdolny do ruchu i oślepiiony. Kiedy w

końcu udało mi się wstać, zielone siatki obwodów wciąż pływały mi przed oczyma. Powłóczyłem nogami jak starzec, potykając się o meble i objijając o ściany.

Po chwili wzrok wrócił do normy. Tuż obok, wśród szczątków szafek i krzeseł leżał Śpiewająca Skała. Mrugał oczami powoli odzyskując przytomność. Skurczone, spalone ciało Misquamacusa pozostało tam, gdzie upadło. Ściany pokoju wyglądały jak po pożarze, a plastikowe żaluzje stopiły się i spływały długimi pasmami.

Najbardziej jednak wstrząsnęła mną blada, szczupła postać stojąca cicho w rogu - wycieńczona, podobna raczej do ducha, niż do dziewczyny, którą znałem. Nic nie mówiłem, wyciągnąłem tylko ręce, by powitać ją znowu w świecie, którego o mało co nie opuściła na zawsze.

- Harry - szepnęła. - Ja żyję, Harry. W tej właśnie chwili wpadł do pokoju szukający nas porucznik Marino z rewolwerem w ręku.

Siedziałem ze Śpiewającą Skałą na lotnisku La Guardia pod spizowym popiersiem samego La Guardii. Paliliśmy ostatniego papierosa przed odlotem. Szaman wyglądał jak zawsze elegancko, w lśniącym garniturze i okularach w rogowej oprawie. Plaster na policzku był jedynym śladem minionych wydarzeń.

Słyszeliśmy gwar rozmów i huk silników odrzutowców na pasie startowym, a pomarańczowe popołudniowe słońce lśniło na zimowym niebie.

- Trochę mi smutno - powiedział.

- Smutno? - zdziwiłem się. - Z jakiego powodu?

- Z powodu Misquamacusa. Gdyby tylko dał nam szansę wytłumaczenia wszystkiego, gdybyśmy mogli się porozumieć...

Zaciągnąłem się papierosem.

- Teraz już trochę za późno. Pamiętaj też, że zabiłby nas bez wahania. Dlatego musieliśmy go zniszczyć.

Śpiewająca Skała pokiwał głową.

- Może kiedyś spotkamy się z nim w bardziej sprzyjających okolicznościach. Wtedy porozmawiamy.

- On przecież nie żyje... prawda? Co masz na myśli mówiąc: "spotkamy się z nim"?

Śpiewająca Skała zdjął okulary i przetarł je czystą białą chusteczką.

- Ciało umarło, lecz nie możemy być pewni, że manitou także został zniszczony -

wyjaśnił. - Może przeniósł się tylko na wyższy poziom egzystencji, gotów przyłączyć się do tych, którzy istnieją tylko poza materialnym bytem. Niewykluczone, że znowu powróci na ziemię, by żyć w czyimś ciele.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że wszystko to mogłoby się powtórzyć? - spytałem zaniepokojony.

- Kto wie... - wzruszył ramionami Indianin. - Są we wszechświecie tajemnice, o których nie mamy pojęcia. To, co zdołamy poznać podczas naszego fizycznego życia, jest jedynie małym fragmentem całości. Istnieją niezwykle światy w światach, a w nich jeszcze dziwniejsze. Warto o tym pamiętać.

- A Wielki Staruch?

Śpiewająca Skala wstał i podniósł walizkę.

- Wielki Staruch - powiedział - zawsze będzie wśród nas. Jak długo istnieją ciemne noce i niewyjaśnione lęki, zawsze będzie w pobliżu Wielki Staruch.

Nie odezwał się więcej. Uścisnął mi tylko dłoń i odszedł do samolotu.

Dopiero trzy tygodnie później udało mi się wybrać do Nowej Anglii. Pojechałem samochodem. Śnieg ciągle jeszcze przykrywał pola i domy, niebo miało kolor różu, a pomarańczowe, blade słońce kryło się za drzewami.

Dotarłem na miejsce przed zmierzchem i zaparkowałem Cougara przed frontem eleganckiego białego domku w stylu kolonialnym. Drzwi otworzył Jeremy Tandy, żwawy i chłodny jak zawsze. Wyszedł, by mnie przywitać i odebrać bagaże.

- Tak się cieszymy, że wreszcie pan nas odwiedził, panie Erskine - powiedział z całą serdecznością, na jaką potrafił się zdobyć. - Musiał pan mieć ciężką podróż.

- Nie było tak źle. Lubię prowadzić w trudnych warunkach.

Weszliśmy. Pani Tandy powiesiła mój płaszcz na wieszaku. Było ciepło, przytulnie i miło. Salon pełen był antycznych sprzętów - głębokich kolonialnych foteli i sof, mosiężnych lamp, ozdób na ścianach i obrazów z życia wsi.

- Zje pan pewnie coś gorącego - powiedziała pani Tandy, a ja miałem ochotę ucałować ją za to.

Potem usiedliśmy przy kominku. Jeremy Tandy nalał mi dużą whisky, a jego żona krzątała się w kuchni.



- Jak się czuje Karen? - spytałem. - Lepiej? Kiwnął głową.

- Jeszcze nie chodzi, ale jest w dużo lepszym nastroju. Później może pan ją odwiedzić. Przez cały tydzień nie mogła się tego doczekać.

Wolno sączyłem whisky.

- Ja też - stwierdziłem nieco zmęczonym głosem. - Nie śpiam zbyt dobrze, odkąd to wszystko się skończyło. Jeremy Tandy spuścił głowę.

- Wie pan... cóż... my też nie.

Rozmawialiśmy o niczym, a potem pani Tandy wniosła danie z ryby. Było smakowite i gorące. Zjadłem je z apetytem, wpatrzony w trzaskający na kominku ogień.

Później poszedłem na górę, do Karen. Leżała blada i wychudzona, ale jej ojciec miał rację - przybierała na wadze i powrót do zdrowia był tylko kwestią czasu. Przysiadłem na skraju zasłanego wzorzystą pościelą łóżka. Rozmawialiśmy o jej hobby, o jej planach na przyszłość, o wszystkim z wyjątkiem Misquamacusa.

- Doktor Hughes powiedział mi, w zaufaniu, że byłeś bardzo dzielny - oświadczyła po pewnym czasie. - Mówił, że to, co się zdarzyło nie ma nic wspólnego z tym, co pisały gazety. I że nikt by im nie uwierzył, gdyby powiedzieli prawdę.

Ująłem jej rękę.

- Prawda nie jest szczególnie ważna. Sam nie bardzo mogę w nią uwierzyć.

- Chciałam ci tylko podziękować - uśmiechnęła się przyjaźnie. - Uważam, że zawdzięczam ci życie.

- Nie ma o czym mówić. Może pewnego dnia zrobisz dla mnie to samo. Wstałem.

- Muszę już iść. Twoja matka prosiła, żeby cię nie męczyć. Potrzebujesz jak najwięcej spokoju.

- Dobrze - odparła ze śmiechem. - Zaczyna mnie nudzić to leżenie w łóżku, ale chyba muszę to jakoś wytrzymać.

- Powiedz, jeśli czegoś potrzebujesz. Książki, pisma, owoce. Wystarczy jedno słowo.

Otworzyłem drzwi, żeby wyjść i wtedy Karen powiedziała:

- De boot, mijnheer.

Zamarłem. Miałem wrażenie, że ktoś kładzie mi na ramionach dwie lodowato

zimne dłonie. Odwróciłem się.

- Co powiedziałaś?

- Be good, my dear - odparła Karen uśmiechając się ciągle. - Tylko tyle. Bądź zdrow, mój drogi.

Zamknąłem drzwi do jej pokoju. Podest za nimi był cichy i ciemny. Stary kolonialny dom trzeszczał pod ciężarem śnieżnej pokrywy.

- Tak właśnie pomyślałem - mruknąłem do siebie ruszając na dół.

## NOTA O AUTORZE

Jeszcze do niedawna jeden z najbardziej popularnych i cenionych w świecie pisarzy horroru - jakim jest Graham Masterton - był otoczony nimbem tajemniczości. Kim jest jeden z najbardziej poszukiwanych przez czytelników pisarzy? Prawie nic o nim nie wiadomo, nie udzielał wywiadów, nie brał udziału w spotkaniach z czytelnikami - znany był jedynie ze swych doskonałych książek. Dopiero wiosną tego roku udzielił wywiadu dwumiesięcznikowi Fear, gdzie po raz pierwszy jego gorący wielbiciele dowiedzieli się, że autor tak przerażających i mrocznych horrorów, jak choćby Pariah (Wyklęty) czy Mirror (Zwierciadło piekiel), jest czterdziestotrzyletnim Anglikiem, mieszkającym z żoną i trzema synami w uroczym wiejskim domku w Epsom, w sąsiedztwie znanego na całym świecie toru wyścigowego Derby.

Ze wszystkich współczesnych pisarzy horroru Graham Masterton wyróżnia się wyjątkową umiejętnością budowania nastroju, pełnego grozy i narastającego zagrożenia, oszałamiającym tempem narracji oraz realistycznością opisu nawet najbardziej makabrycznych scen. Bez wątpienia ma rację San Francisco Chronicle pisząc o nim jako o jedynym pełnoprawnym żyjącym spadkobiercy tradycji Edgara Allana Poe i jest to sąd nie na wyrost.

Twórca Manitou urodził się w 1946 roku w Edynburgu, Szkocja, w rodzinie zawodowego żołnierza. Początkowo pracował jako dziennikarz a potem wydawca w czasopismach dla dorosłych panów. Być może fakt ten wpłynął na to, że jego książki nie stronią od pikantnych scen i mimo iż opisują to co niezwykle i cudowne są przerażająco przekonujące i realistyczne.

1974 rok przynosi wiele zmian w jego życiu. Żeni się z Wiescką, która jest jego agentem literackim; z pochodzenia Polka mówiąca wciąż po polsku, oraz pisze swój pierwszy horror, Manitou. I to jak pisze! Książka od razu staje się światowym bestsellerem. Na jego podstawie w 1978 roku nakręcono film, cieszący się także wielkim powodzeniem, w którym główną rolę zagrali: Tony Curtis, Susan Strasberg, Burgess Meredith i Michael Ansara. W tym samym roku przychodzi na świat jego

pierwszy syn, Roland.

Lęk o nienarodzone jeszcze dziecko oraz lektura Buffalo Bill Annual podsunęły mu myśl o napisaniu powieści o czerwonoskórym szamanie, odradzającym się we współczesnym Nowym Jorku i mającym zamiar pomścić klęskę sprzed wieków.

Od tego czasu Graham Masterton napisał ponad dwadzieścia horrorów, w tym między innymi ciąg dalszy Manitou.

Wiele jego książek otrzymało nagrody. W 1978 roku za Charnel House otrzymał nagrodę Special Edgar (Wallace) przyznawaną przez Mystery Writers of America. W 1983 Srebrny Medal przyznawany przez West Coast Review of Books dla najlepszego horroru (za Tengu). W 1987 roku jego horror z elementami fantasy Night Warriors (Wojownicy Nocy) otrzymał nominację na najlepszy horror jaki wydano w 1987 roku. Książki Grahama Mastertona czytane są nie tylko w USA i Wielkiej Brytanii ale także tłumaczone są na wiele języków. We Francji na przykład jako pierwszy obcokrajowiec otrzymał Prix Julia Yerlanger za najlepszy horror.

W 1989 roku wydał w USA antologię opowiadań najznakomitszych pisarzy horroru Scare Care, dochód z której przeznaczył na pomoc dzieciom poszkodowanym. I nie była to jego ani pierwsza ani ostatnia akcja dobroczytna.

Na wieść o tym, że jego książki będą tłumaczone na język polski napisał, że w rodzinnym kraju żony, z chęcią przestraszy na śmierć czytelników - tym razem po polsku.

opracował dr Tadeusz Zysk